



Andrzej Zaniewski

**CYWILIZACJA
PTAKÓW**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Gołębom, Kawkom, Srokom
i wszystkim Uskrzydłonym,
które pomogły mi w pisaniu tej powieści...*

Who shall recount the terror

*of those ruined streets?
And who shall dare to look
where all the birds with golden beaks
Stab at the blue eyes
of the murdered saints?
Kto opowie o lęku spustoszonych ulic?
Kto odważy się patrzeć,
jak ptaki złotymi dziobami
wykluwają błękitne oczy
zamordowanych świętych?
Thomas Merton*

PROLOG

Cień padł na wody płosząc srebrne ławice ryb. Delfiny unosiły głowy, lecz ich krótki wzrok nie pozwalał dojrzeć Przejrzystego Wędrowca. Mewy, rybitwy i wydryki uciekały niepewne zamiarów nie znanego przyszysza.

Wypoczywające na falach albatrosy uznały Go za srebrną chmurę zwiastującą silny wiatr ze wschodu.

Mógł być mirażem, złudzeniem odbitym w drobinach pary i wulkanicznych popiołach...

Mógł być również wyobrażeniem, marzeniem, tęsknotą każdej ryby, ptaka, ssaka.

Gdy zniżył lot i nad niezmierną szarością rozpostarł skrzydła, usłyszały wołanie, wezwanie, ostrzeżenie.

Krzyczał przenikliwie, donośnie, przeraźliwie, błagalnie. Ptaki skuliły się, zadrżały, jakby je sparzył promień lub uderzył gwałtowny podmuch. Zakwiliły, zaśpiewały, zaklekotały, zaświstały, zaćwierkały. Leciał nie zważając na ich głosy zagubione w jego potężnym wołaniu.

Nikt jeszcze nie widział takiego Przejrzystego Olbrzyma, przypominającego jednocześnie gołębia i kruka, jastrzębia i orła. Zbliżał się do wyspy zamieszkałej przez rybaków i marynarzy, którzy go znali i uważali za przyjaciela.

Już z daleka zrozumiał, że stało się, że Ziemia, na którą powrócił, nie jest tą samą Ziemią, że więcej tu śmierci niż życia.

Wraki statków, łodzie zasypane piaskiem, ruiny, gruzowiska, porywane dachy domów, maszty rozchwiane i połamane, martwe latarnie morskie, bezludne miasta. Cisza, martwota...

Po brzegach wyją zdziczałe psy rozwłóczące kości swych dawnych panów... Z rozbitych okien wylatują kruki, gołębie, mewy... A ludzie? Wyginęli? Wymarli? Wybili się sami? Wymordowali? Nie ma ludzi. Nie widać ich. Stało się...

Zbliża się wieczór. W powietrzu krążą jerzyki, nietoperze, sowy.

Wielki Ptak leci dalej...

Ląd. Wbite w brzeg zamarłe kadłuby okrętów.

Tu też nie ma ludzi. Tylko wyschnięte szkielety, objedzone z mięsa, obok szkieletów łodzi zasypywanych piaskiem przez wiatr.

Przywołuje, czeka. Odpowiadają mu przebudzone ptaki z gniazd założonych w dawnych siedzibach ludzi.

Ptak, w którego istnienie nie wierzyłeś, leci nad Ziemią, którą opuścił przed wiekami, zostawiając ją samą sobie i człowiekowi. Dzisiaj szuka człowieka. Daremnie szuka go teraz w ciemnościach nocy, jak niegdyś szukał w jasności dnia.

Lecz człowieka nie ma albo On, Kosmiczny Ptak, Ptak – Bóg znaleźć go nie potrafi.

Brzask... Z wysoka widzi półwysep wybiegający w morze olbrzymią zielonopłową nogą.

Zniża się, nurkuje... Jego cień prześlizguje się po bijących skrzydłami w miłosnym uniesieniu ciemnoszarych kawkach. To błękitnooka Mi i szarooki Kro przeżywają swe szczęście.

Nasienie Kro sływa po piórkach Mi, aż do steku rozszerzonego wielokrotnym składaniem jaj. Zajęci sobą nie dostrzegli odbłasku piór Wiecznego Ptaka, nie przelękli się bezszelestnie przesuwającego się nad wyniosłą kopułą białoپیórego, przejrzystego zarysu.

Ptak mknął dalej nad świątyniami, pałacami, budowlami. Znał te miejsca ze swych poprzednich przelotów i teraz starał się je sobie przypomnieć, rozpoznać.

Bielejące szkielety ludzi nie tyle go przerażały, co niepokoiły. Krążył nad miastem, nad ogrodami pełnymi porannych cieni.

Sroki Dow i Pik od dawna ścigały się i przedrzeźniały. Dow niedawno stracił swą Sar...

Kuna przegryzła jej krtań, kiedy zapędziła się w chaszczę za ciężką od nektaru pszczołą.

Pik wylęgła się z jaja Sar i właśnie tego południa dojrzała do miłości, uległa silnemu i doświadczonemu Dow. Między gałęziami winorośli

oślepiło ją słońce. Zakryła oczy błoną i nie dostrzegła nadlatującego cienia. Musnął ją skrzydłem w tej samej chwili, gdy nasienie Dow rozlało się rozkosznym ciepłem na jej grzbiecie i popłynęło między piórami ku miejscu, które spęczniało tęsknotą przez młodziutką srokę jeszcze nie pojowaną. Rozkosz wstrząsnęła skrzydłami, pazury zacisnęły się mocniej na włóknistej gałęzi. Pik krzyknęła ze szczęścia i radości...

Ptak przemknął nad nimi nie dostrzeżony, by jeszcze raz wrócić nad położone na wzgórzach miasto.

Długo już krążył nad Ziemią nie mogąc rozpoznać pamiętanych miejsc, posągów, wzgórz.

Pionowo wleciał ku słońcu, ponad drobne chmurki, by z wysoka raz jeszcze przyjrzeć się Ziemi, którą tak dawno pozostawił samą sobie.

Z tej zawrotnej wysokości wydawała się nie zmieniona.

Może śniłem? Może to wszystko jest snem? Może Ziemia nadal należy do ludzi?

Rzucił się w dół jak promienna kula i rozwinął skrzydła nad posągami, wśród których gołębica Jahu czule zaciskała swój dziób na dziobie Om, swego wieloletniego samca, z którym wysiedziała i wychowała wiele gołębic pokoleń.

Spadał właśnie ku ziemi, gdy Om wskoczył od tyłu na zapraszająco wygięty grzbiet Jahu, chwycił ją dziobem za puch na karku i gwałtownie załomotał skrzydłami. Jahu rozkraczyła się, wparła nogami w marmurowy gzyms, rozwarty dziób oparła o kamień, czując ściekające w nią ciepłe mleczko. Jahu nie jest młoda, zbliża się do końca swych dni. Om pochodzi z jaja, które zniosła i wysiedziała niedawno, kiedy związanego z nią Gena schwytał sokół i zaniósł na pożarcie swemu potomstwu.

Jahu dostrzegła Przejrzystego Olbrzyma wypełnionego jasnością słońca, a może jasnością własną. Zadrżała z pokornego przejęcia i zdumienia. Zamknęła oczy.

Przeleciał nad zwartymi w miłosnym przeżyciu gołębiami nawet ich nie dostrzegając. Cień jego skrzydeł musnął zakochaną parę, czego Om, wyrzucający z siebie strużkę nasienia, nie zauważył.

Znowu frunął nad wybrzeżem, znajdując wszędzie opuszczone miasta i wioski, zrujnowane porty, przerdzewiałe wraki, próchniejące łodzie, nieruchome stocznie...

Wszędzie mieszkaly zwierzęta i ptaki polujace na siebie, pozerajace sie, tropiace i wzajemnie niszczac.

Skręcił na północ, przeleciał nad olbrzymim miastem zamarłym w kotlinie i znalazł się wśród gór. Zniżył lot ku błękitnej tafli jeziora i dotykając piórami fal gasił pragnienie zimną, przezroczystą wodą.

Wzniósł się i okrążył brzeg rozległego basenu, nad którym pochylały się wyniosłe, szklane budowle... Miasta były opuszczone, statki zatopione lub przechylone na bok. Wszędzie wdzierały się rośliny, porosty, mchy, trawy, krzewy, lasy.

Niespokojny długo krążył nad górskimi szczytami płosząc sępy, orły, jastrzębie, po czym skierował się na wschód.

Zbliżył się ku źródłom rzeki, którą znał od dawna, i mknął z jej biegiem zaglądając do położonych nad nią miast.

Pił z jej nurtu ciesząc się chłodem i lekkimi uderzeniami fal, które chwycił olbrzymim dziobem.

Nagle dostrzegł przed sobą długi stalowy most.

Lekko uderzył go skrzydłem i most zadrżał, zadygotał, zachwiał się jęcząc, jakby to uderzenie zabolalo lub zraniło. Przytrzymujące go grube liny napięły się, naprężyły i pękły ze świstem.

Most runął w nurt rzeki, a ptaki gnieźdzące się w jego masztach i przęsłach rzuciły się do panicznej ucieczki.

Zgiełk mew, rybitw, łabędzi, cyranek, kaczek, gęsi, kormoranów i wszystkich, których gniazda zostały nagle stracone, zmiażdżone i pogrzebane, przeraził Przejrzystego Ptaka. Zatoczył krąg nad pobojo-wiskiem. Błyskawicznie wzbił się między chmury, wyżej i wyżej, aż rzeka w wieczornym świetle wydała się tylko wąskim pasmem wpadającym do odległego morza srebrzystym klinem. Leciał na wschód zanurzając się w nadchodzącej nocy. Powietrze stawało się coraz rzadsze i chłodniejsze, niebo czarniejsze, a gwiazdy płonęły mocniej.

Nagle zobaczył koronę słońca pełną wybuchów, ognistych pióropuszy i gazowych obłoków... Znowu był poza ziemią, w ciemnej przestrzeni kosmosu, blisko własnego gniazda, wśród nieśmiertelnych ptaków o przejrzystych skrzydłach.

Daleko pomiędzy gwiazdami dojrzał pędzący punkt, statek z ziemi, który wyruszył przed wiekami, przemierzający kosmos, przestrzeń i czas. Powracali...

Przyspieszył.

Lekko skręcił.

Leciał w przeciwnym kierunku.

Błękitnookie

O czym śnisz ciemny ptaku,
srebrzysto – mroczny druhu,
gdy z zacienionej wnęki
przyzywasz mnie, przywołujesz,
jak kiedyś wołała mnie matka.

Ostrze światła przecięło powiekę.

Ujrzałem długie dzioby, niebieskie oczy z czarnymi kropkami źrenic i granatowo połyskujące pióra rodziców.

– Jeść! – rozwarłem dziób. – Jeść!

– Jeść! – rozwarły się szeroko dzioby, otoczone żółtymi naroślami.

– Cierpliwości! – Mi obdzielała nas kawałkami dużej gąsienicy.

– Macie! – Kro rozdzielał nasączone śliną kawałeczki mięsa.

Odlecieli. Wrócili. Wcisnęli mi w gardło wijącego się pędraka.

Co za rozkoszna sytość. Zamknąłem powieki.

Przebudzenie. Widnokrąg rozszerzył się, rozjaśnił, zbiegające się ściany wypełniło światło z otworów rozmieszczonych w równej odległości. Kopułę pokrywają plamy, obrazy barw i pozornych ruchów, bo mury są przecież nieruchome.

Boję się ich wewnętrznego, spłaszczonego życia, spadającego

blasku, pełnego cieni i pół-
cieni.

Strach ustępował, im dłużej i głębiej widziałem...

Ptaki podobne do Mi i Kro utknęły w otworach, wylatywały, opadały, wzbijały się, zawisały w powietrzu przesłaniając i odsłaniając światło.

Rozglądałem się nadal przestraszony, a równocześnie zubożniały na wszystko poza głodem wypełniającym żołądek. Bolało w kiszkiach, przełyku, krtani.

- Jeść!

- Jeść! - skarżą się dzioby.

Mi i Kro obdzielają nas wydobywanymi z podgardla nasionami, kawałkami owoców, muchami, dżdżownicami.

Usypiam w ciepłe ich skrzydeł.

Gorące powietrze wypełnia kopułę. Mi i Kro wachlują nas skrzydłami. Serca biją szybciej.

Rozwieram dziób, by więcej schłodzonego powietrza dostało się do płuc.

Mi sący mi w gardło gęstą, ciepłą ślinę.

Cienie przesuwiają się, żar opada.

Cienie wydłużają się.

Mi wynosi białe kule naszych odchodów.

Światło słabnie, wewnątrz ciemnieje.

Półmrok, mrok, noc.

Przykryty skrzydłem Mi oddycham miarowo.

Pierwsze spojrzenie z gniazda, spod falistych osłon baldachimu.

Niżej, pod nami, skłębiona, spleciona masa czerwieni, fioleto, brązu, bieli, szarości. Wygląda to niemal jak plamy na ścianach, tylko bardziej wypukłe, przestrzenne. Wszędzie okrągłe, podłużne, białe, sztywne kształty objadane przez gryzonie buszujące pośród zamarych istot.

Pośrodku bezskrzydły przewodnik zastygł w jasnej szacie z białym, wydłużonym czubem na głowie i pękniętą wzdłuż złocistą gałęzią.

Mi i Kro uczą nas latać.

Szybko poruszające się zwierzęta podchodzą, wgrzyzają się w rozrzucone kości, piszcza, skaczą. Szczury, węże, lisy, kuny, jeże, łasice polują wzajemnie na siebie.

Najruchliwszy, najciekawszy, najodważniejszy z nas, Res, spada z baldachimu na białą, podłużną sylwetkę.

Mi i Kro krzyczą, rozpaczają. Lecą ku trzepoczącemu niezgrabnie skrzydłami Resowi.

Unoszą się nad nim, daremnie wskazując drogę powrotną.

Res bije skrzydłami przerażony i niespokojny, chociaż jeszcze nie rozumie, czego powinien się bać.

Mi i Kro zaalarmowali już pozostałe kawki. Czarne stado, do którego przyłączają się gawrony i wrony, krąży wokół Resa, chcąc dodać mu otuchy.

Patrzę w dół zdrewniały ze strachu, a Res stoi i nawołuje, przywołuje.

– Zabierzcie mnie do gniazda! Moje skrzydła nie chcą mnie unieść! – skarży się nerwowymi ruchami ciała.

Mi i Kro krzyczą coraz głośniej, dostrzegając coś, czego jeszcze nie zauważyłem.

Spomiędzy białych fałd wypęła ledwie widoczny wąż. Wije się powoli, przesuwa ku nie-wprawnie podskakującemu Resowi.

Mały ptak dostrzega niebezpieczeństwo, widzi.

Chce wykonać skrzydłem obronne pchnięcie, otwiera dziób jakby atakował.

Wąż nie zważa na uderzenia kawek, okrąża go i chwyta w szeroko rozdziawioną paszczę.

Wciąga, wsysa wśród rozpaczliwych krzyków Mi i Kro.

Res usiłuje wydostać się z uścisku, lecz wąż wchłania go w siebie. Res krzyczy, a rozwarty dziób jeszcze przez długą chwilę wygląda z paszczy gada.

Wąż cofa się, sunie zygzakami pośród czerwieni, fioletu, bieli i czerni. Wpęza pod białą szatę dawnego przywódcy bezskrzydłych.

Mi i Kro zataczają kręgi, jeszcze wzywają Resa, jeszcze przywołują. Wracają do gniazda dopiero, gdy żołądki zmuszają nas do wrzaskliwego rozwarcia dziobów.

Najedzony wpatruję się w biały kształt na posadzce w nadziei, że Res stamtąd wyleci, odbije się skrzydłami i powróci na dach baldachimu.

Czekam od wschodu do zachodu światła. Czekam i pamiętam.

Czekam, a moje skrzydła obrastają piórami, co dzień stają się silniejsze i pewniejsze.

Wiem, że mogą mnie unieść i ponieść, dokąd będę chciał.

Już wierzę w ich siłę.

Razem z Mi i Kro okrążam baldachim, wlatuję pod kopułę i powracam.

Frunę wokół kopuły, a Mi i Kro lecą za mną.

Nadal czekam na powrót Resa.

Biały kształt leżący w dole przyciąga wzrok.

Zlatuję w dół. Ostrożnie obchodzę poszarpane strzepy, wyzierające kości. Dotykam dziobem miękkiego białego czuba, który zsuwa się z żółtawej czaszki.

Wierzę, że Res jest wewnątrz, tylko dlaczego nie może wyfrunąć?

Nagle między fałdami dostrzegam ściśnięty pęk piór i kości. To dziób Resa z żółtymi naroślami, chociaż bledszy i wyschnięty, to jego nogi i pazury nieruchome i zeszywniałe.

Zaniepokojona Mi siada obok na rozsypanych błyszczących naczyniach.

- Niebezpiecznie! Niebezpiecznie! Odlatujmy! - porusza głową ku górze.

Resa nie ma. Res - najsilniejszy, najciekawszy z piskląt, nie istnieje. Wypluta przez węża kupka pierza, pazurów i kostek leży wśród butwiejących szmat.

Odbijam się nogami, uderzam skrzydłami. Jestem w gnieździe na szczycie srebrzystego baldachimu.

Żyję.

Rozległy plac otoczony kamienną kolumnadą. Oszałamia nas blaskiem, harmonią i wielkością. Bałem się, jak zawsze boją się młode ptaki. Mi i Kro stoją wśród białych posągów i chcą nauczyć nas latać. Każde spojrzenie w kamienną przepaść wywołuje dreszcze lęku. Dostrzegam dygocące nogi Fre, rozbiegane spojrzenie Peg, drżący dziób Dir. Lękamy się tej ogromnej przestrzeni, którą chcemy poznać dzięki sprawności skrzydeł, pazurów i wzroku.

Niżej pod nami przelatywały ptaki, mnóstwo różnych ptaków.

Jaskółki i jerzyki powracały do gniazd ukrytych pod gzymsami i kolumnami. Gołębie krą – żyły szlakiem wytyczonym przez kształty kolumnady. Gawrony, sójki, wrony, kawki fruwały lub spacerowały po placu szukając jedzenia. W widocznych stąd gajach mieszkały czaple i żurawie.

Dzikie gęsi, kaczki i kormorany wygrzewały się na dachach. Na stojącym pośrodku obelisku siedział nieruchomo stary, czarno – biały sęp z długą nagą szyją.

- Fruwajcie! – Mi szturchnęła mnie dziobem.
- Fruwajcie! – zamachał skrzydłami Kro.
- Boję się! – jęknąłem, wyduszając białą grudkę kału.
- Nie! – rozszerzyły się z przestrachu oczy Fre.
- Nie chcę! – zaprotestował Dir.
- Jestem za słaba! – skuliła skrzydła Peg. Mi i Kro skoczyli w przepaść, zatoczyli niewielkie koło i wylądowali z powrotem.
- To łatwe!
- To proste!
- To wasze życie!

Jaskółka przemknęła między nami, poczułem na grzbiecie pęd jej skrzydeł. Krzyknąłem, nastroszyłem się, skuliłem.

Mi i Kro spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Poderwali się, wzbili błyskawicznie, by przewrócić się w powietrzu, zapikować wprost na nas, gwałtownie skręcić i spokojnym, leniwym lotem poszybować ku odległym krańcom kolumnady.

- Nie odlatujcie! – krzyknęła Peg.

– Nie zostawiajcie mnie samej! – jęczała Fre.

– Lećcie za nami! – odkrzykiwali oddalając się ku strzelistym kolumnom.

Ich lot krzyżował się z lotami szpaków, kosów, sójek, wron, wróbli...
Wytrzeszczaliśmy oczy, by nie zgubić rodziców.

Są już po przeciwległej stronie, wypatrują, czy lecimy za nimi.

Granatowy gawron o srebrzystofioletowym połysku podskoczył do mnie z wyciągniętym ze złości dziobem.

Otoczyła nas lśniąca czernią chmara.

Fre, Peg i Dir z przerażeniem patrzyli na zaczepnie wyciągnięte kłapiące dzioby!

– To nasze miejsce!

– Wynoście się stąd! – zapędzały nas ku krawędzi.

Spojrzałem na tamtą stronę, gdzie jeszcze przed chwilą widziałem Mi i Kro. Wracali po-spiesznie, zaniepokojeni pojawieniem się gawronów.

Skoczyłem i bijąc gwałtownie skrzydłami frunałem wprost na nich. Peg leciała ciężko obok mnie, wytrzeszczając przerażone oczy.

Już. Jesteśmy blisko. Staramy się lecieć jak oni, prostym, równym lotem, raz wznoszącym, raz ślizgowym, bez niepotrzebnego uderzania skrzydłami. Oni nie poruszają skrzydłami tak często jak my, a mimo to wznoszą się szybko i z większą łatwością.

– Patrzcie! – pokazują. – Wystarczy szeroko rozłożyć skrzydła, aby powietrze uderzało od dołu, i już się wznosicie.

Staramy się, podpatrujemy, powtarzamy, a Mi i Kro krążą między nami dodając otuchy.

Dołem przelatują pelikany o wielkich skórzastych dziobach. Dir rozpedzony i przejęty lotem zderza się z ciężkim ptakiem, koziółkuje i opada. Dopiero tuż nad placem zaczyna się wznosić i po chwili znowu jest wśród nas.

Pelikany siadają na kolumnadzie, leniwie rozczesują pióra, zmywając je wydzieliną z dziobów.

Inne młode kawki lecące z rodzicami przecinają nam drogę. Popi-

sują się wzbijając pionowo w górę i gwałtownie spadając. Staram się je naśladować.

– Jastrząb! – krzyczy Mi.

– Uważajcie! – ostrzega Kro.

Para jastrzębi krąży nad placem w poszukiwaniu łatwego łupu. Kro i Mi porozumiewają się z kawkami, wronami, gawronami, które znajdują się na placu.

– Odpędzimy ich! – tłumaczy Kro. – Uciekną, jeżeli otoczmy je chmarą.

Jastrzębie wypatrzyły kilka młodych gołębi. Pikują w dół, chwytają zatrwożoną zdobycz.

Kurczowo wczepione w gzyms ledwie opierzone pisklęta niezdarnie podnoszą skrzydła w beznadziejnej obronie. Pustułki chwytają je, porywają, odlatują.

Widzę jak młode ptaki szamocą się w ostrych i twardych szponach, Mi, Kro i inne krukowate lecą za nimi z wraskiem.

Przeżalone gołębie wznoszą się razem z nami. Odrywamy się od ścigających i wolno kołujemy nad placem.

Stary sęp na obelisku nie odwraca głowy, chociaż Mi niemal musnęła go skrzydłem. Jego oczy wypatrują padliny. Patrzy w dół, ponieważ wie, że i tak nie będzie już w stanie wzbić się wysoko. Tu, na placu, po każdej nocy pozostają resztki krwawych łowów i uczt, a wiele niedołączonych i starzejących się zwierząt bezgłośnie umiera w cieniu kolumnady. Wtedy sęp sfruwa z obelisku i pożera świeże, jeszcze stygnące zwłoki. Pozostało mu tylko tyle sił, by podfrunąć na obelisk, gdzie nie dopadną go wilki.

Wie, że w nocy bestie krążą wokół obelisku, stają na tylnych łapach, zadzierają głowy, wdychają w nozdrza zapach pożartej przezeń padliny. Chciałyby go dopaść, gdy śpi. Dreszcze przenikają ciało sępa.

W dzień, gdy rozszarpuje trupy, boją się zbliżyć. Patrzą przekrwionymi ślepiami, ukazują żółte kły i czerwone jęzory.

Mi leci wzdłuż kolumnady, gdyż chce pokazać nam wyczekujące wilki. Leżą pod rozgrzаныmi kolumnami, mrużąc w słońcu oczy.

Wąchają porozrzucone kości bezskrzydłych. Młode wilczki barszkują wśród szkieletów, rozwlekają żebra, piszczele, kręgi.

Nagle wilki rzucają się w pogoń za nieostrożnym, zbłąkanym zajęcem. Spod kolumny dobiega pisk szaraka, któremu potężna łapa strzaskała kręgosłup.

Sęp odwraca się ku wilczej uczcie. Dla wychudzonego starego ptaka liczy się każdy kęs pozostawiony przez drapieżniki. Siadamy. Spomiędzy spękanych płyt wyrastają wyschnięte źdźbła traw, ziół, mchów. Łapię drobne czerwone chrząszcze wybiegające ze spękań i szczelin. Szczyt budowli, we wnętrzu której mieści się nasze gniazdo, wygląda jak wierzchołek olbrzymiej góry, a otaczająca nas kolumnada, jak wyniosła krawędź przepaści, po której spacerujemy. Zanurzam dziób w szczelinie między kamieniami. Językiem wyczuwam smak wilgoci.

– Chcę pić! – staję przed Mi z roztrzepotanymi skrzydłami.

Patrzemy na potężną kolumnadę, na spiętrzony, przykryty jasną kopułą gmach, i nagle chcemy powrócić do naszego zacisznego, spokojnego gniazda nad spiralnie skręconą kolumną baldachimu. Czy zdołamy wzlecieć aż tak wysoko? Mi i Kro wlatują niemal pionowo i powracają. My też musimy tak wzlecieć.

Znowu frunę i ląduję na głowach posągów wieńczących kolumnadę.

– Lećcie za nami! Czekamy!

Fre, Peg i Dir zrywają się za nimi. Peg zostaje nieco z tyłu i nagle, spłoszona furkotem goniących się wróbli, leci przed siebie płaskim lotem między nakładające się na siebie, niemal niewidoczne kapitele. Uderza głową w kamienny trzon i z krzykiem osuwa się w dół.

Mi i Kro zlatują do niej natychmiast. Po chwili rozbita Peg podnosi się i staje, lekko chwiejąc się i zataczając.

Jest przerażona, na wpół przytomna, ogłuszona uderzeniem. Po dłuższej chwili ponownie wzbija się w powietrze. Razem z Mi i Kro ląduje obok nas na balustradzie.

Oczy Peg stały się dziwne. Źrenice zwężają się, rozszerzają. Po-

trząsa głową, usiłuje prostować szyję.

Z kolumnady przelatujemy na bliższy dach, ku półkolistym oknom olbrzymiej kopuły.

Siadam na gzymsie obok Fre. Mi i Kro pozostali z Peg i Dir. Dir już wraca zmęczony, pazurkami wczepia się w porowaty gzyms. Mi też przyleciała i razem lecimy do gniazda.

Przed zanurzeniem w zacienionym otworze oglądam się i widzę, jak Peg daremnie uderza skrzydłami po blaszanej płaszczyźnie, usiłując się wspinać.

- Leć, bo zginiesz! - ponaglają Kro, lecz Peg osuwa się w dół po pochyłości.

Wystraszony wpadam do gniazda. Drżąc z przejęcia wciskam się w wymoszczoną piórami i gałązkami przestrzeń pod zwieńczeniem baldachimu. Mi zostawia nas, leci do Kro i małej Peg.

Oczekujemy przytuleni do siebie, usypiający.

Wracają sami, bez Peg.

Zanurzam głowę, przycicham, rozbijam skrzydłami wodę. Zamykam oczy i wciskam się pod powierzchnię. Słyszę przytłumiony szum, trzask, trzepot kąpiących się ptaków. Woda otacza uszy, nozdrza i dziób.

Wszystkie kawki myją się w szeroko rozlanej kałuży podgrzanej słońcem.

Wyskakuję, otrząsam się, dziobem ściągam z lotek nadmiar wilgoci. Rozkładam skrzydła w gorącym suchym powietrzu.

Czuję rozkoszny chłód, lekkość, czystość piór i puchu bez kurzu, złuszczeń, pasożytów.

Lekki wiatr szybko osusza skrzydła. Ogarnia mnie niepohamowana wola lotu. Tam pod niepełną białą tarczą księżycy jest nasze gniazdo. Może dotknę tej białej krągłej plamy na jasnoblękitnym niebie.

- Lecę!

Wzbijamy się nad wzgórza, na których stoi miasto. Krążymy nad wieżami, dachami, placami, łóżyskami strumieni.

Ześlizgujemy się, spływamy między drzewa, gaje i zarośla wciska-

jące się w każdą szczelinę betonu, asfaltu, szkła i stali.

Ciężkie, brunatne niedźwiedzie wciągają po kamiennych schodach dzika z rozszarpaną krtanią.

Opadamy na okrągłe mury otaczające wewnętrzny kamienisty plac zarośnięty suchymi chaszczami.

Niedźwiedzie węszą, oblizują się, wpatrują w cienie lecących wysoko ptaków, wyciągają łapy, jakby chciały nas schwytać.

Z półkolistego okna odrywa się para jastrzębi.

– Tędy! – wołam, wlatując w prześwit między murami.

– Tędy! – powtarzają Kro, Mi, rodzeństwo i wszystkie kawki, które przyłączyły się do naszej gromady.

Lecą za mną... Dlaczego lecą za mną?

Zgadniają się z moim wyborem drogi? Uznały, że jest słuszny?

Jeszcze niżej, tuż nad kamienne rumowisko pokrywające ulicę.

Przyspieszam, przyspieszamy.

Jastrzębie nie chcą ścigać szybkich czarnych ptaków o ostrych dziobach. Wśród drzew oliwnych wypatrzyły kilka synogarlic.

Lecę ku białej tarczy, najwyżej jak umiem. Za mną szumią skrzydła całej kawczej rodziny.

Lecą za mną jak za przywódcą. Oglądam się, patrzę na nich ze zdziwieniem i radością.

Czy przywódcą może być młody ptak, który jeszcze nie założył gniazda?

Nurkuję nad kolumnadą i ogrodami otaczającymi kopułę. I znowu wszystkie kawki lecą moim śladem. Dlaczego?

Jutro. Wyfruniesz o brzasku. Oderwiesz się od metalowej osłony baldachimu.

– Lecę! – zawołasz.

Odpowiedzą ci głosy rodziców, rodzeństwa, wielu ptaków, które teraz wzbijają się za tobą, słuchają cię, kierują się szumem twych skrzydeł, jakbyś był przywódcą.

Jakbym był? Przecież jestem.

Plamy na ścianach układają się w pejzaże, korytarze i przestrzenie. Krążąc w pewnej odległości od nich, odczuwam nagle pokusę poznania tych zakątków rozświetlonych porannym słońcem.

Złudzenie.

Plamy pokrywają twardą ścianę, o którą mógłbym się rozbić lub zabić.

Siadam na próchniejącej, podziurawionej przez korniki ławie i patrzę.

Tam na ścianach pochylają się, chodzą, żyją zastygli nieruchomi... Tu ich szkielety leżą na ulicach, w domach, wśród blach, za szybami i w miękkich biało – szarych legowiskach...

Tam, wokół ich głów, lśnią złociste kręgi, jak nastroszony, prześwietlony puch jasnych ptaków... Tu, w pustych czaszkach chętnie gnieźdzą się jaszczurki, drobne węże, myszy, osy lub trzmiele.

Światło wędruje po ścianach, przesuwając się, wydobywając szczegóły, których poprzednio nie zauważałem.

Z półmroku wyłania się wiszący nagoskóry bezskrzydły z cierniami na głowie. Krople krwi sączą się z jego czoła, dłoni, stóp, boku. Wkoło klęczą inni bezskrzydli, wpatrują się w niego, jakby na coś czekali. Wyżej zapłonął ptak. Ależ to gołąb... Gołębicą, jak te z pobliskiego gzymsu. Czyżby i ją chcieli pojmać i pożreć?

Stroszę pióra i kraczę cichutko dla dodania sobie odwagi.

Wtem wśród bezskrzydłych dostrzegam uskrzydłych, pokrytych bielą, ze złotymi rogami przy ustach. A więc niektórzy mieli skrzydła? Już wiem. Odkryłem. Zrozumiałem. Ci bezskrzydli, z głowami otoczonymi światłem, to ich przywódcy.

Jeżeli pochylali się przed gołębicą, to ona była ich przewodnikiem, przywódcą, bogiem.

Bóg... Pojęcie, którego dotąd nie znałem, którego do końca nie pojmuję, które przeczuwam.

Zawrót głowy. Kręcę się w kółko, wiruję wymachując skrzydłami, a bezskrzydli krążą dokoła, ich twarze zbliżają się, przenikają w moje źreni-

ce i mózg.

Zatrzymuję się przy szarzejących na murze gałęziach. Do czerwonych jabłek pełnie wąż, podobny do tych, które widuję codziennie. Tam gołębnice, tu wąż. Czyżby i jego czcili bezskrzydli? Pytania. Pytania? Czym są pytania? Czy inne ptaki też pytają? Czy też myślą? Jestem sam wśród pytań i wątpliwości. Pytania powodują moją samotność. Obok kawki szukają korników tłukąc dziobami w drewniane deski, tropią mysz za odstającymi listwami.

Fre trąca mnie dziobem, zaprasza do zabawy. Nie mam ochoty podskakiwać, gonić, podszczypywać, przekomarzać się z Fre.

Poznałem więcej, niż przewidywałem, że poznam kiedykolwiek, i muszę przemyśleć to w samotności.

Szybko wznoszę się w powietrze. Uciekam od zgietku.

Zawiedziona Fre krzyczy ze złością.

Nad bramą dostrzegam cień sroki. Sartoris!

Zagłębia dziób w piersi nie opierzonego piszczącego gołębia.

Rozrywa.

Pchnął głębiej, zanurza, zaciska.

Wyczuwa pulsujący gorący płyn.

Szarpnął.

Wyciągnął mały zakrwawiony ochłap, jeszcze pulsujące serce.

Krzyczę. Odwracam głowę. Lecę przed siebie.

Aż do wieczora rozmyślam o nieruchomej gołębnicy nad głową ukrzyżowanego i o słabym nagim pisklęciu zabitym przez czarno – białą srokę.

Gładka, płaska, lśniąca płaszczyzna morza zachwycała mnie, zadziwiła, oszołomiła. Brodziłem po piasku, wpatrując się w daleką linię, gdzie woda styka się z niebem, mówiłem, rozmawiałem z samym sobą o zadziwieniu, nie zaspokojonej ciekawości, niepewności, lęku i tęsknotach, jakie zrodziła we mnie ta niezwykła siwobłękitna przestrzeń.

Zbliżyłem się do wody i schwytałem szamocącą się krewetkę. Przełknąłem, zatrzepotałem skrzydłami zdziwiony własną obecnością w

miejscu tak odmiennym od wszystkiego, co poznałem. Uderzyła mnie drobna fala, jaka przy bezwietrznej pogodzie powstaje przy brzegu.

Poczułem wodę w uchu, dziobie, na skrzydłach.

Otrząsałem krople z piór, zgarniałem wilgoć z puchu na piersiach. Złościłem się i gniewałem na migocące fale. Nasza kolonia spacerowała po płytkich przybrzeżnych kałużach, podobnie jak ja przeżywając pierwsze zetknięcie z morzem.

Mewy, rybitwy, kormorany, perkozy, łabędzie wchodzą do wody bez obaw, nie boją się zmożenia piór, obezwładnienia wilgocią, utopienia. Siadają na falach, unoszą się, pływają, nurkują, wyławiają smakołyki, których my, kawki, wyszukujemy na brzegach.

Morska woda jest słona, gorzka, niesmaczna, wywołuje pieczenie w gardle. Haust wody, który przypadkiem dostał się do mojego dzioba, ciąży teraz w żołądku jak kamień.

Mewy odpędzają nas od cuchnącego, rozdętego wilka leżącego na brzegu. Szeroki pas piachu między morzem a zaroślami obsiadły muchy i motyle.

Gołębie zamieszkujące z nami kopułę żerują obok. Rozpoznaję znajome ptaki, błękitne, szare, brązowe, białe, różowe. Kroczą po piasku zbierając wszystko, co da się zjeść. Dalej leżą zardzewiałe stalowe kadłuby, porozrywane, porozbijane, pogięte. Wodne ptaki zakładają tam gniazda.

Uderzam dziobem w wyrzuconą przez falę granatową małżę. Walę ze wszystkich sił. Wapienna pokrywa pozostaje zamknięta.

Głośno rozpowiadam o swej bezradności, szukając zrozumienia u starszych kawek. Mi chwyta pazurami muszlę, ostrożnie podważa krawędź, odciąga dziobem. Już. W środku leży biały podłużny kształt miękkiej, słonawy, smaczny.

Usiłuję schwytać dziobem uciekającą falę, kiedy zniecka uderza mnie następna. Odskakuję, otrząsając pióra, do których przylepiają się ziarna piasku.

Przelatujemy wzdłuż brzegu za przesuwającym się słońcem. Po-

między stalowymi kadłubami przeżartymi rdzą roi się od narybku, raczków, krabików, ziaren nawiewanych przez wiatr z pobliskich wzgórz.

Mi i Kro usypiają na pochylonym srebrzystym maszcie w cieniu wyniosłej, stalowej ściany.

Też stałem się senny. Słońce praży niesamowicie. Czarna wysoka ściana budzi ciekawość.

Wzrokiem mierzę odległość do szczytu. Lecę. Pochylona stalowa płaszczyzna, przeżerana przez sól, wiatr, wilgoć. Gniazda mew na nadbudówkach pokrytych odchodami. Wlatuję przez wybite okienko. Czaszka bezskrzydłego w resztkach granatowego okrycia szczyrzy ku mnie żółtawe zęby. Przeciągi dudnią w blaszanych przewodach. Idę ostrożnie wzdłuż żelaznej krawędzi po rozstonecznionym, parzącym nogi pokładzie. Część stalowego kolosa zanurzona jest w morzu, a część wbita dziobem w piaszczysty brzeg.

Szeroko uchylona krawędź stalowej klapy. Boisz się zajrzeć? Zaciemnione wnętrze jest chłodne i głębokie jak przepaść.

Walczę z własną ciekawością. Wabią mnie chłód i cień. Chcę sfrunąć, lecz powstrzymuje mnie strach. Biegam po rozgrzanym pokładzie... Wracam. Znowu zaglądam, usiłując dojrzeć, co jest tam na dnie. Powtórnie uciekam, przestraszony własną odwagą.

Wróciłem. Skaczę w chłodną cichą przestrzeń.

Lecę długim, przyciemnionym korytarzem wewnątrz zardzewiałego stalowego kolosa.

Pośród tych ścian trzepot skrzydeł i bicie serca potężnieją, rozrastają się, obrastają echem i powracają do mnie ogłuszającym łoskotem. Puch jeży się na głowie, dziób rozchyła w przerażeniu, skrzydła uderzają coraz ciężej.

Opadam na wygiętych ku górze skrzydłach. Siadam na leżących na dnie beczkach. Dyszę ciężko, łapiąc chłodne powietrze. Szum, który mnie przytłaczał, znika. Szmer drobnych fal uderzających w stalowy kadłub wydaje się łagodny, daleki. Nade mną, tuż przy krawędzi, wiszą głowami w dół nietoperze otulone błoniastymi skrzydłami. Nieruchome wyglądają jak

skórzaste, przywiędłe liście.

Z góry, przez otwór, którym wleciałem, sączy się światło.

Strach. Jestem sam, bez Mi, Kro i rodzeństwa, na dnie rozległej, wydłużonej hali otoczonej stalowymi ścianami.

- Przylećcie! Jestem tu! - wołam.

Echo odbija głos, wielokrotnia, pomnaża.

Boisz się własnego głosu?

Dno zasłane rdzewiejącym żelastwem, skrzyniami, szpulami. Z popękanych beczek wylała się zastygła już żywica. Szept, szelest, szmer. Rybitwa ze złamanym skrzydłem leży między beczkami z trudem unosząc głowę. Wpadła tu prowadzona taką samą ciekawością jak ty...

Otwiera dziób, chce krzyknąć. Nie ma sił. Tylko szept.

- Przylećcie! Jestem tu! - wołam patrząc w światło.

Czy to daleki krzyk Kro?

- Lecę! Gdzie jesteś? Lecę! Gdzie jesteś?

- Jestem tutaj! - powtarzam. Wysoko na ścianie pojawiają się cienie kawek. Patrzą przerażone w czeluść.

- Czy możesz fruwać? - pytają.

Wzbijam się do światła. Umierająca rybitwa bezskutecznie próbuje poderwać się, oderwać od dna. Po chwili jest tylko małą, niewyraźną plamą.

Uderzenia skrzydeł znowu przeobrażają się w łoskot. Mi i Kro czekają na krawędzi. Oślepiiony jaskrawością i blaskiem dnia opadam na rozpalony, rozgrzany pokład.

- Po co? To niebezpieczne! - karci mnie Mi, lekko trącając dziobem w kark.

Opadamy na piasek, daleko od statku.

Słońce przesuwają się na zachód. Mi i Kro rozglądają się, sprawdzają, czy młode ptaki, które po raz pierwszy przyleciały nad morze, są z nami.

Zbieramy się na wydmie w pobliżu stalowych kolosów. Po błękitnie krążą jaskółki, jerzyki, skowronki. Chciałbyś je doścignąć? Składam skrzydła do lotu, lecz powstrzymuje mnie Kro.

- Poczekaj!

Z zadrością patrzę na szybkie, krążące wysoko ptaki, których nie udało mi się dogonić i prześcignąć.

Chmara srebrno – czarnych kawek oczekuje na krzyk przewodnika.

Wołamy, czekając aż przylecą wszystkie, nawet te, które odfrunęły daleko.

Na skraju wydmy leżą wysuszone szkielety. Zbielałe, próchniejące, częściowo zasypane piaskiem.

Szkielet bezskrzydłego, podobny do tych, które widzę codziennie.

Szkielet olbrzymiej ryby przypominający drobne ościste szkieleciki znajdujące na brzegu rzeki.

Szkielet łodzi o drewnianych żebrach zbitych ćwiekami.

Widzę wiele szkieletów ludzi, ryb i łodzi na wydmie zalanej słońcem, skąd za chwilę poderwiemy się do ostatniego wieczornego przelotu.

- Odlatujemy! - zawołasz i wszystkie ptaki wyruszą za tobą.

Śnię o płonących ptakach. Ich pióra wybuchały jaskrawo, syczały i tylko krzyk wewnątrz tych ognistych kul świadczył, że jeszcze żywy ptak daremnie chciał wyrwać się z okrywającej go płomiennej powłoki.

Bezgłośny krzyk we śnie trwa krótko. Zamiera błyskawicznie. I już nie wiem, czy śniłem naprawdę, czy tylko krzyczałem z wyśnionego strachu? Rzuciłem się do ucieczki, by po przefrnięciu niewielkiej odległości usiąść na gałęzi lub murze i wyciągnawszy dziób w stronę płomienia, o którym tylko śniłem, ostrzegać przenikliwym głosem.

Ogień zobaczyłem lecąc nad morze.

Jak zwykle wyleciałem rano w poszukiwaniu żeru. Mi i Kro przestali już nas dokarmiać.

Nad morze lataliśmy przeważnie w zwartej grupie, by uniknąć szybkich drapieżnych ptaków. Gdy widziały nas razem, umykały tchórzliwie, przestraszone ogłuszającym wraskiem.

Tym razem nie zauważyłem jastrzębi, zobaczyłem natomiast chmurę dymu, która przecinała nam drogę. Otoczył nas dym i ciepłe powietrze rozcinane uderzeniami skrzydeł. Swąd podrażniający płuca i gar-

dła, który pojawił się na tak znacznej wysokości, wywołał panikę.

Część ptaków gwałtownie uciekała wzwyż, część rozproszyła się, inne zboczyły i lotem ślizgowym zaczęły opadać.

Wpadłem w chmurę rozrzedzonego dymu. W dziobie i krtani poczułem ohydny, piekący smak, a w głowie wirujący szum.

– Spadam! – krzyknąłem, z trudem utrzymując równowagę. Uniosłem w górę skrzydła i opadałem wprost ku szalejącym czerwonym wirom.

Wiatr uderzał z boku i chyba tylko dzięki temu nie wpadłem w ogień. Usiadłem niedaleko na szarym betonowym budynku. Wokół rozpalonych ścian rozpaczliwie kręciły się gołębie, których piskłeta znajdowały się w płomieniach. Gołębice zbliżały się do żaru, by po chwili wycofać się i uciec przed wystrzeliwującymi snopami iskier.

Płonące ptaki. Wystarczyła iskra, by wywołać wybuch piór, by ptak zapłonął jak sosnowa gałąź.

Ten gołąb nie miał już szansy ratunku.

Pióra zapłonęły gwałtownym, silnym ogniem, a on szamotał się w środku wiedząc, że ginie.

Trzaskom płomieni, które wspinały się coraz wyżej i wyżej, towarzyszyły piski piskląt.

Małe gołębie tłukły opierzonymi skrzydłami w szyby i gzymsy, biegały, podskakiwały, staczały się po ukośnych dachach, zderzały się, wskakiwały na siebie, osuwały w płomienie.

Wkoło rozchodził się smród spalonych piór i mięsa. Zrozumiałem, że ogień jest moim śmiertelnym wrogiem, zabójcą, przed którym będę uciekał zawsze i wszędzie.

Z gałęzi, na którą wiatr rzucał niebezpieczne, parzące iskry, przefrunąłem na ceglana wieżę, skąd widziałem nie tylko ogień, lecz horyzont, w głąb którego płynęła czarna skłębiona smuga dymu.

Rozproszone gryzącymi wyziewami kawki powoli zlatywały się, zbierały wokół mnie, narzekając i zerkając niespokojnie na płonący gmach. Czekały na sygnał, by odlecieć. Byłem najsilniejszy, najlepiej opierzony, najbardziej opanowany. Przy mnie spokojniej patrzyły w ogień.

Chciałem widzieć i wiedzieć.

Nie odlatywałem, czekałem, pokrzykując nerwowo w stronę pożaru, jakby dla dodania sobie odwagi.

Osmalone małe gołębie piszczwały z bólu i strachu, a ich dorosłe rodziny krążyły, opadały, wzbijały się w zadymione niebo, usiłowały wrócić do gniazd zasłoniętych ogniem, zrozpaczone zawisały w powietrzu.

Nagle z budynku trysnął olbrzymi płomień. Schwytał najbliższą lecącą ptaki, zamieniając je w wirujące, płomienne gwiazdy. Huk wstrząsnął okolicą. Budynek zachwiał się, zachybotał, pochylił, runął, zniknął w tumanach iskier i dymu.

Gorący oddech owiewał skrzydła.

– Uciekajmy! – krzyknąłem.

Większość kawek i tak była już w powietrzu. Pod nami, w dole, pozostały dymiące gruzy.

Frunęliśmy coraz szybciej, jakby w obawie, że ogień i tu może sięgnąć. Uspokoila nas dopiero ciemnoniebieska linia morskiego brzegu.

Z tyłu, od morza, uderzał w skrzydła ciepły wiatr przyspieszający nasz lot. Słońce zachodzące za linią wzgórza rozjaśniało wnętrza dolin, kotlin, wąwozów, lasów. Znam te miejsca z wielokrotnych przelotów, a jednak zmiany światła powodują, że ilekroć nad nimi lecę, tylekroć widzę je inaczej, poznaję szczegóły, których poprzednio nie dostrzegałem.

Zdążę chyba powrócić do gniazda zanim znikną ostatnie promienie, przed okresem szarości, kiedy sowy tak chętnie zaczynają polowanie.

Lecę wprost na błyszczący punkt, kopułę wyrastającą wśród dawnego, olbrzymiego miasta bezskrzydłych. Tam oczekują mnie Mi, Kro i wszystkie zaprzyjaźnione ptaki pilnujące swych gniazd.

Cień przesłonił srebrzystą biel dalekiego celu.

Niebezpieczeństwo?

Chmury są wysoko, nie ma mgieł... Szpaki, sikorki, wróble lecą zwykle niżej, a na taką wysokość wzbijają się tylko podczas odlotów. Bocian? Biel bociana z tej odległości błyszczałaby w zachodzącym słońcu ostrym blaskiem.

Cień pojawił się ponownie, pulsuje rytmicznie, lecąc wprost na mnie. Zniżam lot i dopiero teraz widzę samotnie szybującego jastrzębia. Jest głodny, poluje. Dostrzegł mnie, wytropił w niebieskobiałej przestrzeni. Teraz podchodzi łukiem, chce zaatakować z boku.

Nurkuję, zapadam między korony drzew i, klucząc między nimi, lecę na wschód.

Wpada za mną między drzewa, starając się przeciąć mi drogę. Czuję go za sobą... Przemykam między krzewami i nagle wpadam w szczelną ścianę zieleni. Wciskam się między sterzące gałęzie, a wokół narasta wrzask, przeraźliwy, napastliwy, groźny. Skrzeczenie srok zasiedlających ciemnozielone wysokie drzewa, które ocaliły mi życie.

Przycupnąłem na gałęzi. Błękitno – biało – granatowa chmara rozjuszonych srok atakuje napastnika dziobami, szponami, skrzydłami. Jastrząb wycofuje się, ucieka pod słońce wiedząc, że ścigające go ptaki unikają oślepiającego światła.

Za sobą słyszę wściekły krzyk i granatowo – srebrzysta kula z wydłużonym ogonem zrzuca mnie z gałęzi. To powracające z pogoni za jastrzębiem rozjuzzone sroki. Nastroszone, nerwowo bijące pióra ogonów, szybko uderzające skrzydła, wyciągnięte, pulsujące szyje, groźnie rozwarte dzioby. Ścigają mnie w gąszczu splecionych sztywnych gałęzi, których ostre końce wydzierają mi kępki pierza. Prześlizguję się w dół ku rozrośniętym nad ziemią pniom przechodzącym w korzenie.

Wypadam na gładki, nie zarośnięty twardy pas, po którym niegdyś poruszali się bezskrzydli. Białoszare szkielety próchnieją pod drzewami, wśród rdzewiejącego złomu, przy betonowych płytach, na progach rumowisk. Szkielety większe i mniejsze, o długich włosach przylepionych do czaszek, lub łyse, błyszczące nagością kości. Piszczele, żebra, kręgi wystają pomiędzy rozdartych tkanin, wyzierają wyschnięte i zwietrzałe.

W tych szczątkach gnieźdzą się węże, jaszczurki, ropuchy, nornice, drobne ptaki, skorpiony, pająki, ślimaki, mrówki... Tyle różnorodnego pokarmu, podczas gdy tam, w mieście, ptaki często nie mają co jeść.

Chcę zapamiętać to miejsce. Jutro przylecę tu z kawczą gromadą.

Zdyszany przysiadam na przyprószonym pyłem żelaznym wzgórk. Za szybą też siedzą szkielety z szeroko rozwartymi szczękami... Wyglądają, jakby chciały schwytać mnie zębami przez uchyloną szybę. Srocza chmara otacza teraz wypełzającą z oczodołów czarną długą żmiję.

Te żmije są przekleństwem ptaków. W nocy wspinają się po pniach drzew, owijają wokół gałęzi, wybierają z gniazd pisklęta i jajka. Rozwścieczone sroki atakują boki gada, unikając spotkania z jadowitym językiem i kłami. Żmija skręca się, unosi ku górze łeb odstraszać intruzów. Sroki wrzeszczą, skubią dziobami, podbiegają i odskakują.

Żmija syczy, unosi płaski łeb, jakby za chwilę miała rzucić się na gromadę ptaków. Błyskawicznie jednak chowa się z powrotem w martwej klatce żeber. Sroki usiłują schwytać jej ogon, lecz dzioby ześlizgują się po zgrubiałych łuskach.

Podrywam się, frunę nisko nad nie znaną okolicą, zasłoniętą rozłożystymi koronami drzew.

Poprzez gałęzie widzę kołujące pustułki. Kryją się między rozśniętymi koronami dębów.

Z góry jestem niemal niewidoczny, lecz wiem, że bystre oko jastrzębia potrafi wyśledzić nawet szarego gołębia na tle szarego asfaltu, a moja czerń z delikatnym połyskiem fioletu rysuje się ostro w poświacie zachodzącego słońca.

Wysokie drzewo o ciemnych, zielonych, miękkich gałęziach. Przysiadam na konarze i ze złością wyrwam tkwiący w skrzydle cierń.

Bojaźliwie rozglądam się po nie znanej okolicy.

Klatki, pręty, wysepki otoczone rowami.

Za kratami szkielety ptaków, zwierząt, wysuszone, zastygłe, znie ruchomiałe. Wczepione dziobami, zębami, pazurami w twarde pręty.

Nie opuściły pułapek i klatek, do których zapędzili je i zamknęli bezskrzydli.

Zamknięte, zaryglowane drzwi, żelazne siatki, okratowane ściany, skąd wieczorny wiatr przynosi woń stęchlizny.

Wed pochodzi z gniazda mieszczącego się w szczycie okrągłej

czerwonej budowli, niedaleko kopuły skrywającej naszą siedzibę.

Uskrzydłony posąg stał na wieży wznoszącej się nad wodą i mostem, również otoczony skrzydlatymi postaciami. Ich głowy są dobrym punktem obserwacyjnym.

Kim były zwierzęta, które nazywam bezskrzydłymi?

Czyżby miały skrzydła? Te posągi o płaskim, białym wzroku?

Czy karmiła je wilczyca, o czym świadczą małe postacie umieszczone pod jej brzuchem?

A może bezskrzydli rodzili się z wilków?

Tylko te skrzydła na posągach? Zimne, nieżyjące – może skamieniałe?

Czyżby niektóre z tych zwierząt były uskrzydłone? A inne poruszały się wyłącznie na nogach? Dlaczego pośród znajdowanych kości nigdy nie widziałem kości ich skrzydeł?

Te myśli nie dają mi spokoju, chociaż dla mojego ptasiego życia nie mają znaczenia. Cóż z tego, że mieszkające tu przed nami istoty miały skrzydła, jeżeli tych istot już nie ma?

Podczas tych i podobnych rozmyślań dostrzegłem na głowie uskrzydłonej figury lśniący białą punkt.

– Co to?

Biała kawka! Fre gniewnie nastroszyła pióra.

Tymczasem Wed z rodzeństwem i rodzicami uczyła się fruwać wokół uskrzydłonej postaci, wzbijając się, koziołkując w pozornym spadaniu, niekiedy kryjąc za czerwonymi ścianami, przysiadając na dłoniach, głowie i skrzydłach kamiennego zwierzęcia.

Biel jej upierzenia nabierała chwilami niezwyklej świetlistości i jaskrawości, zwracając ogólną uwagę. Na tle matowych murów, zaśniedziałych dachów, zszarzałych i zapylnych płaszczyzn przypominała jaskrawy kwiat, błysk wody, blask szkła. Biel płaszczyzn i przedmiotów była nieruchoma, co najwyżej migotliwa, natomiast Wed poruszała się, wlatywała, przenosiła się z głowy na postument, z postumentu na czerwony gzyms, na kamienną framugę. Nagle wczepiła się pazurami w występ mu-

ru, bijąc gwałtownie skrzydłami, by nie opaść niżej.

Srebrnobiały płomień! Trzepoczący w pajęczynie motyl! Patrzyły na nią wszystkie ptaki.

Biel wyzywała, krzyczała, przywoływała. Nawet pelikany ze szczytów kolumnady zwróciły obwisłe dzioby ku błyszczącej w oddali gwieździe.

Sokół krążący nad placem przypatruje się białej roztrzepotanej plamie.

– Uważaj! – krzyknąłem.

– Widzę! – odpowiedziała Fre. – Nam przecież nie zagraża.

Tymczasem Wed oderwała się od ściany i wylądowała pośród swej siwo – czarnej rodziny.

Sokół odwrócił głowę. Świetlisty ptak, mała kawka nie zaspokoiłaby głodu oczekujących w gnieździe piskląt.

– Lecę i nie spadam! Umiem latać! – chwaliła się Wed, mknąc jak biała błyskawica ku uskrzydłonej postaci.

Zdyszana, z rozwartym dziobem wylądowała na uniesionym mieczu, a za nią rodzice i rodzeństwo.

Była szczęśliwa, szczęśliwa nie tylko dlatego, że udało jej się wlecieć samodzielnie, lecz że to ona właśnie pierwsza poderwała się do lotu, a dopiero za nią polecili rodzice, bracia, siostry.

Za mostu rozległ się ogłuszający wrzask srok. To Sartoris z wyciągniętym dziobem i nastroszoną głową, przestępując z nogi na nogę, krztusił się ze złości.

– Jej biel nam zagraża! Jej biel zagraża wszystkim ptakom! Jej biel przywołuje drapieżniki! – rozumiałem poszczególne zdania z długiego monologu rozjuszonej sroki. – Ona musi odejść! Ona odejdzie! Zabiję ją!

– Zabić! Wypędzić! Zabić! Wypędzić! – krzyczały podniecone ptaki.

Oczy Sartorisa raz po raz zachodziły białą błoną nienawiści. Sroki naśladowały jego ruchy, gesty, słowa.

Wzbił się niemal pionowo. Leciał szybko, bijąc skrzydłami, ku kawkom siedzącym na głowie, ramionach i skrzydłach pomnika. Zatrzymał

się nad nią, zawisł nad śnieżnobiałą, świetlistą Wed, krzyżąc nienawistnie.

- Uciekaj! Bo zabijemy!

- Zabić! Zabić! - powtarzały sroki, latając wokół przerażonych kawek.

Kawki, wrony, gawrony słuchały, słuchały, słuchały. Przenikliwe dźwięki wdzierały się do uszu, drażniły, gniewały. A wszystkiemu winien był biały, lśniący punkt wśród kamiennych skrzydeł.

Wściekłość, złość, nienawiść ogarnęły wszystkich. Nawet mnie...

- Uciekaj! Jesteś inna! - wygrażały kawki.

- Uciekaj, bo sprowadzisz niebezpieczeństwo!

- Uciekaj, bo wypatrzą cię jastrzębie!

Zachwycona pierwszym udanym lotem Wed ze zdziwieniem wsłuchiwała się w gniewne okrzyki nie wiedząc, że są skierowane przeciw niej. Dopiero gdy Sartoris zawisł tuż nad nią, zrozumiała, że wyciągnięte pazury i rozwarte z oburzenia dzioby właśnie jej zagrażają.

Wszystkie kawki, wrony, gawrony i sroki podburzone przez Sartoriśa ruszyły ku niej podniecone, rozeźlone. Wed i jej rodzina rozpierchły się, ukryły głęboko w gnieździe.

Patrzyłem, rozumiałem, gniew minął. Biel Wed nie budziła już mojej nienawiści. Zobojętniałem. Widziałem jak znajome kawki krążą, złorzeczą, grożą, lecz nie czułem już złości.

Nadal spokojnie siedzę na kamiennej głowie, na moście...

Dlaczego nie lecę, nie wypędzam, nie prześladuję? Dlaczego nie oburza mnie jej biel?

Dlaczego nie odczuwam nienawiści do odmieńca?

Wed ukryła się w gnieździe. Leży i chwyta powietrze szeroko otwartym dziobem. Wie, że w końcu będzie musiała wylecieć z gniazda, a wtedy? Rodzice, rodzeństwo już patrzą na nią inaczej. Wed jest jedną z nich, lecz jednocześnie jest inna, lśniaca, biała z kremowobiałym dziobem, bez błękitnej szarości w oczach.

Wed należy do nich i nie należy. Wed będzie ściagać niebezpie-

czeństwa, pogonie, troski, klęski, lęk i strach. Na nich i na siebie.

Wszystko, co jej zagraża, zagraża nam, zagraża wam, stale będzie zagrażało.

Biel przywoła krogulce, kanie, sokoły, pustułki, a gdy znajdzie się na ziemi – kuny, łasice, lisy, wilki.

Biel stanie się przekleństwem. Ore – jej ojciec – nie rozczesuje już puchu na jej główce i nie wkłada do dzioba przyniesionych pędraków. Wed daremnie prosi, błagalnie porusza skrzydłami. Tylko Tri, jej matka, niekiedy dokarmia ją gąsienicami.

Wed nie wylatuje przez kilka dni. Siedzi w szczelinie i powoli zapomina o przykrym spotkaniu z nienawiścią.

Wylatuje.

Wylatuje z młodymi kawkami, które też nauczyły się latać. Wylatuje z rodzicami. Ore przygląda się jej niemal z wrogością.

Krążą wokół uskrzydłonego kamienia, którego biel jest matowa i spokojna, podczas gdy ona wygląda jak błyszczący, ruchliwy płomyk.

Promienie załamują się w stosinach piór, prześwietlają, przenikają na wskroś delikatny puch na jej głowie. Wed frunie ku tej promiennej, gorącej kuli światła, która daje ciepło i radość. Znad rzeki kołuje ku kolumnadzie.

– Lecę, lecę, lecę! – ogłasza swe szczęście. Cień pada na skrzydła, przesłania oczy. Wed odwraca się, sprawdzając przyczynę niespodziewanego przyćmienia światła.

Z boku uderzają ciężkie skrzydło. Z góry spada gruby wroni dziób. I znowu cios skrzydłem.

– Uciekaj stąd! Uciekaj i nie wracaj!

– Zabić ją! Zabić ją! Zabić!

– Obca!

– Inna!

Wie, że to właśnie ją prześladują, że musi uciekać, że grozi jej śmierć. Uderzona w szczyt skrzydła ostrym haczykowatym dziobem dostrzega czerwone krople krwi spływające po białych piórkach.

Krzyczy i opada ku lecącym blisko Ore i Tri.

Tri krzyczy i ucieka... Wed leci tuż za jej czarnymi skrzydłami.

Wtedy jej ojciec Ore uderza ją z boku w pierś.

– Uciekaj stąd! – krzyczy. – Uciekaj!

– Dlaczego? – skarży się Wed, unikając kolejnego ciosu.

Wysokie mury powtarzają jej skargę. Oddala się. Oddala się coraz bardziej, aż staje się białym punktem, nie większym od spadającego pióra.

Waha się, czy nie powrócić do gniazda, ale drogę odcinają jej prześladowcy...

Zapominałem o Wed. Życie toczyło się dalej, od wschodu do zachodu słońca, od szarości poranka do szarości wieczoru.

W lesie coraz gęściej zarastającym miasto, wśród kamiennych progów zobaczysz białe pióra splamione krwią. Może to ślad Wed! A może to inny ptak stał się łupem drapieznika?

W płytkim wygrzebanym w ziemi dole słyszę ujadanie wilczego potomstwa. Może Wed skryła się tam pod drzewami?

Może wysledziły ją te same żółte wilcze ślepiea wpatrzone teraz w ciebie, siedzącego na niedostępnej gałęzi.

Lśniący, czarny gawron chodzi po balustradzie. Przystaje, ziewa, przysypia, kracze, patrzy w niebo, zawsze na północ.

Zaczyna się starzeć. Przy dziobie rozszerzają się wyłysiałe, złuszczone wgłębienia, a wokół oczu powiększyły się szare obwódki.

Z dawnej fontanny, spośród skał i olbrzymich postaci, przywołują gawrona młode granatowo – czarne gawronice, lecz on nie odpowiada, jakby ich nie widział. Od czasu do czasu schodzi do płytkich kałuż, łyka kilka kijanek lub larw komarów i powraca na balustradę.

Lśniący czarny gawron czeka na swą gawronicę. Zar czeka na swą Dor od dawna. Wierzy, że Dor wróci, że przyleci, że znowu będzie z nim. Ich gniazdo znajduje się w pobliżu, w ruinach zarośniętych powojami, wśród gzymsów nad szarymi kolumnami. Mieszkali tu od dawna, szczęśliwi w odosobnieniu.

Zar i Dor latali nad morze jak my, i jak my wracali.

Kto przylatywał pierwszy, siadał na balustradzie starej fontanny i czekał.

Jak zwykle wyruszyli nad morze z gromadą gawronów, kawek, wron.

Rozdzielił ich silny wiatr, sztorm, burza. Zar, zepchnięty w morze, powrócił. Dor nie wróciła.

Zar wielokrotnie przemierzył we wszystkich kierunkach trasę tamtej wędrówki.

Szukał jej wszędzie, gdzie zatrzymywali się razem, w gajach, na wydmach, na wzgórzach, na wieżach, przy źródłach, w skałach, na wrakach statków, w ruinach miast.

Dor nigdzie nie było.

Zar szukał nadal, daremnie.

Postanowił więc czekać tam, gdzie zawsze siebie oczekiwali.

Teraz też stoi na jednej nodze, z oczami zasłoniętymi białą błoną i czeka.

Przyzwyczailem się do niego jak do szarych głazów leżących wokół na placu. Ilekroć tędy przelatuję, wiem, że zobaczę go stojącego na balustradzie lub spacerującego po niej. Kiedy siadam w pobliżu, nie odgania mnie, tylko patrzy i od czasu do czasu bezgłośnie rozwiera dziób. Jego oczy są dziwnie zamglone, jak oczy poranionych ptaków, przeżywających długotrwały ból. Odwraca się powoli, odchodzi ku kamiennym postaciom siedzącym na skałach i zastyga w bezruchu jak one.

Kim byli bezskrzydli, poruszający się na tylnych, dłuższych odnóżach, podczas gdy krótsze zwisały po bokach wyprostowanych ciał?

Pozostawili wiele budowli, dróg, znaków, śladów, szkieletów.

Wiem o nich mało, lecz moja ptasia wyobraźnia mówi mi więcej niż ruiny i szczątki.

Dlaczego zginęli?

Te zaborcze zwierzęta wierzyły, że ziemia jest ich własnością, ich wyłącznym terytorium.

Zapewne nigdy nie przypuszczały, że w przyszłości ziemia może

należać do istot tak kruchych i wrażliwych jak ptaki.

W swej zarozumiałości bezskrzydłe drapieżniki, które zabijały, pożerały i niszczyły wokół siebie wszystko, uważały się za silniejsze od innych. Sądziły, że stworzone zostały na podobieństwo Boga, którego przedstawiały w postaci zbliżonej do własnych wizerunków, na obraz i podobieństwo swoje.

Tylko gdzieniegdzie ukazując wizerunek gołębia, pelikana lub orła bezskrzydli zbliżali się do prawdy. Dziś wiem, że Bóg jest odwiecznym, najmądrzejszym ptakiem, i to my, ptaki, zostałyśmy stworzone na jego podobieństwo, a ludzie wiedząc o tym i zazdroszcząc nam, od początku starali się podporządkować sobie nasz świat. I prawdopodobnie trwałoby to nadal, gdyby nie walki i choroby wyniszczające ich powoli.

Jeżeli jednak ludzie wyginęli, jeżeli nadal giną wilki i szczury, to skąd wiemy, że nie zaczną ginać ptaki i w przyszłości nie skończymy jak ci, którzy panowali tu przed nami?

Od morza lecą białe błyszczące w słońcu mewy, z którymi żyjemy w przyjaźni, chociaż porywają nam pisklęta i pożerają jajka. Ruchy ich skrzydeł są silne, stateczne, pewne. Mewy lecą do naszego miasta, w kierunku siedlisk pozostawionych przez ludzi. Wiele ptaków zakłada tam gniazda, chociaż brak wody w pobliżu zmusza je do częstych lotów na wybrzeże.

Czy jak bezskrzydli staniemy się kiedyś wyschniętymi, szarymi szkieletami, wśród których walczyć będą ze sobą szczury i węże? Czy Bóg – Ptak pomoże nam? Czy...

Kwilą kormorany przelatujące nade mną... Odlatuję za nimi w stronę miasta.

Z wysoka widać, że świat został ukształtowany przez bezskrzydłych i dostosowany do ich potrzeb. Te wszystkie pasy, przecinające ziemię, i pozbawione roślin, te wysokie gniazda, które tworzyli po to, by w nich mieszkać, rzeki wciśnięte w proste, wysokie wały, zmuszające nurt do jak najszybszego przepływania... Stosy żelastwa, sterty cuchnących odpadków, ich odchody...

Świat służył bezskrzydłym i wszędzie widać ich szczątki. Bezskrzydły przywódca z białym czubem i złotym konarem, leżący pod kopułą, gdzie się urodziłem, nie spodziewał się śmierci.

Dlaczego nie odeszli? Dlaczego nie uciekli? Co ich zaskoczyło?

Ptaki starają się unikać niebezpieczeństwa, a jeżeli to niemożliwe, odlatują jak najdalej.

Dlaczego nie uczynili tak bezskrzydli?

Rozsiane kości błyszczą w promieniach słońca jak znaki. Ostrzeżenia? Przerżenia?

Kormorany skręcają na północ. Lecę samotnie, uderzając miarowo skrzydłami, jak zawsze, gdy jestem nasycony i bezpieczny.

Złudzenie.

Drobne chmury przesłaniają słońce. Przez białe strzępy mgieł widzę płomienną tarczę.

Przesuwa się na tle przezroczystych chmur, dzięki którym mogę patrzeć w nią bez obaw, że wypali mi oczy.

Wiatr chłodzi i uspokaja. Gdy dotknę ziemi, zanurzę dziób w zimnej smacznej wodzie, zbierającej się w kamiennych otworach.

Stalowe drzewa, wzniesione przez bezskrzydłych, połączone były linami. Większość lin została zerwana przez wichry i siadające na nich ptaki. Dostrzegam rzędy odpoczywających tu jaskółek.

Krążą w zawrotnym pędzie, wyprzedzając mnie co chwila. Zazdroszczę im szybkości i zwrotności, jakiej nigdy nie osiągnę.

Po co były bezskrzydłym te stalowe drzewa od krańca do krańca horyzontu? Czy wznosili je dla zmęczonych lotem ptaków? Lecę nad tymi drzewami, by w każdej chwili umknąć przed wygłodzonym jastrzębiem, obserwującym wieczorny horyzont.

Ile par bystrych oczu pragnących krwi widzi mnie w tej chwili?

Czuję na sobie ich spojrzenia, głód, ból ich głodu.

Patrzą z góry, ze starych wież wzniesionych przez bezskrzydłych na chwałę swego Boga.

Mogą mnie zaatakować z dołu, z boku, z góry. Wbijają się szpona-

mi w miękkie podbrzusze pokryte jedynie puchem, zaciskają uścisk i porywają do gniazda.

Przeraziła mnie tamta śmierć, którą widziałem tak blisko, na wyciągnięcie skrzydła.

Drapieżniki wybierają przeważnie gołębie. Wolą je od drobnych krukowatych, których dzioby są twarde i mogą zagrozić im uderzeniem w oko, ucho lub palce. Gołębie i szczyry, pisklęta i jaja to najłatwiejszy łup. Ciemny ptak o silnych pazurach i twardym dziobie jest na samym końcu ich myśliwskich zamierzeń.

A może czuwa nad nami Bóg – Ptak? Może ze wszystkich ptaków dał nam najwięcej zdolności i siły do przetrwania?

Może Bóg jest kawką i jego szaroniebieskie oczy widzą mnie w tej właśnie chwili, nad szarymi budynkami, nad placem, po którym włóczą się wilki, nad wyschniętym rowem i wieżą, skąd dochodzi przyzywający zgiełk moich współplemieńców?

Kiedy przychodzi głód, głodni pożerają głodnych. Polowanie trwa.

Mięso żyjące, by podtrzymać swe życie, potrzebuje mięsa zabitego.

Im większy głód, tym większa potrzeba zabijania. I chociaż dziś głód został zaspokojony, zabija się na zapas, w obawie przed głodem jutrzejszym.

Stwardniały śnieg. Pazury ścierają się na lodzie, palce krwawią, dziób boli od daremnych uderzeń.

Głód doskwiera coraz boleśniej, coraz głębiej.

Zdarzało się, że wycieńczone, zagłodzone ptaki budziły się rano do ostatniego lotu po to, by za chwilę spaść roztrzaskując się o lód lub kamienie. Te, które jeszcze żyły, rozdziobywały ich wnętrzości, oczy i mózg.

Lisy, łasice, tchórze, kuny podbiegały wówczas i rzucały się w ptasi tłum pochylony nad zamierającym ptakiem. Chłód paraliżował, męczył, odbierał nadzieję, że przeżyjesz, dożyjesz, przetrwasz. Trwały więc bezużyteczne łowy silniejszych na słabszych, wygłodzonych, którym trzewia ścisnęła gwałtowna potrzeby przełknięcia czegokolwiek, na tych, którzy już zrezygnowali i czekali śmierci. Gniazda przestały być schronieniem, po-

nieważ w każdej chwili mógł zakraść się do nich drapieżnik lub wtargnąć oszalały z głodu, a niegdyś przyjazny ptak.

Do niedawna sowy polowały głównie na szczury i gołębie. Teraz wdzierały się w nocy do kawczych gniazd, chwytaly dziobem od tyłu za szyję, łamiąc kręgi, i uciekały z łupem w szponach.

Wróble, sikorki, skowronki, gile, jemioluszki, zięby ukrywały się w najwęższych szczelinach i zakamarkach, dokąd groźne ptaki nie mogły się dostać.

Głód i strach, że w każdej chwili można zostać pożartym, że jest się bezsilnym wobec zimna i zawiei, do których nikt w tym mieście nie był przyzwyczajony, wywoływały ciągłą podejrzliwość, nieufność i nienawiść wobec każdego obcego ptaka, który próbował schronić się w głębi naszego ogromnego mieszkania.

Zaczynała się wrzaskliwa gonitwa, przeganianie intruza, który wtargnął na nasze terytorium. Ptaki atakowały go z nienawiścią, wałąc skrzydłami, dziobami, szponami. Obcy uciekał najkrótszą drogą, byle dalej od prześladowców.

Kolonia kawek zamieszkująca pod kamienną czaszą czuła się dotychczas bezpieczna. Docierał tu co prawda śnieżny pył nawiewany podmuchami wiatru z wysoko umieszczonych otworów, jednak w gniazdach wysłanych strzępami papieru, skrawkami tkanin i piórami było ciepło i przytulnie.

Niestety, zimno nie ustępowało i do wnętrza wtargnęli niespodziewani groźni przybysze.

W chronionym kolorowymi szybkami oknie kopuły zamieszkały białe sowy polujące na łasice i szczury buszujące wśród leżących na posadzkach szczątków. Teraz sowy atakowały nas, kawki i gołębie śpiące w ciepłych, zacisznych gniazdach.

W nocy często rozlegał się donośny krzyk i ptaki tuliły się do siebie drżąc z przerażenia.

Kro i Mi muskały dziobami nastroszone karki chcąc nas uspokoić. Spaliśmy jednak nerwowo, kwiląc przy tym jak niezaradne pisklęta.

Budziłem się co chwila, nasłuchując głosów z ciemności. Pisk gryzonia porywanego z posadzki dawał szansę przeżycia, bo oznaczał, że sowa znalazła tej nocy inny pokarm. Często w pobliżu rozlegał się przeraźliwy łopot skrzydeł i przedśmiertne gruchanie schwytanego gołębia.

Pozostałe rzucały się wówczas do panicznej ucieczki i długo krążyły w ciemności pod kopułą, rozbijając się o ściany, posągi i kolumny, budząc panikę w innych gniazdach.

Wpatrywałem się w mrok próbując sprawdzić, czy nie zagraża mi skrzydlate niebezpieczeństwo. Wiedziałem, że Mi, Kro i cała rodzina również nie śpią, kuląc się i wciskając jak najgłębiej w poślanie. Niekiedy rozkładałem skrzydła, przykrywałem nimi swe rodzeństwo chcąc nie tyle obronić je przed niespodziewanym atakiem, co uspokoić. Czuły bicie mojego serca i to pozwalało im usnąć.

Budził nas głód. Wnętrznoci domagały się wypełnienia jakimkolwiek pokarmem. Zbierałem dziobem śnieżny pył, lecz to wywoływało jedynie bolesne skurcze żołądka.

– Jeść! – wyprężyły się skrzydła zeszywniałe od chłodu.

W dole żerowały wilki. Z podkulonymi ogonami, z żebrami okrytymi wychudzoną skórą, węszyły wśród zmurszałych kości, próchniejącego drzewa i przegniłych tkanin. Szczęki miażdżyły resztki tego, co pozostało z nie znanych nam istot. Wilki chwyciły wypłoszone przy okazji szczury, łasice, uśpione i zamrożone ropuchy, węże i jaszczurki.

Szczerzyły kły i warczały, a zamieszkujące pod kopułą ptaki patrzyły przerażone, jak w ich paszczach zniknęło wszystko, co jeszcze nadawało się do zjedzenia. Wydawały się nienasycone w wyszukiwaniu i tropieniu jakichkolwiek śladów życia, by natychmiast je pożreć.

Trawione równie bolesnym głodem, jak nasz, rozwalały nosami i pazurami szczątki bezskrzydłych, rozgrzebywały stare truchła, rozciągając zębiskami białozłociste, czerwone i fioletowe powłoki.

Niekiedy unosiły głowy i wpatrywały się przekrwionymi, łaknącymi oczami w siedzące wysoko, niedostępne ptaki.

– Pożrą nas! – stroszyła pióra Mi.

- Nie bój się! Tu się nie wdrapia... - pocieszałem ją.

- Odejdź! - syknął Kro niezadowolony, że dotykam piór Mi. - Odejdź! Stary pies, kulawy i na wpół ślepy, który kiedyś zakradał się codziennie pod kopułę w poszukiwaniu jedzenia, zapędził się między wilki. Zanim zdążył się zorientować, gdzie się znalazł, potężne uderzenie przełamało mu kręgosłup. Upadł skamłając, a rozjuszony zwierzaki rozszarpały go, rozerwały, pochłonęły.

Krzyknąłem, krzyknęła Mi, krzyczał Kro, krzyczały Fre i Dir, krzyczały wszystkie krukowate, rozćwierkały się wróble i sikorki, pohukiwały sowy.

- Odejdźcie!

- Precz!

Wilki wpatrywały się w zwieńczenie baldachimu i nasze gniazda. Największy usiadł, oblizał się, zadarł łeb i zawył głucho. Ptaki umilkły, lecz po chwili znowu rozkrzyczały się, rozćwierkały, rozkrakały. Echo zwielokrotnione, pomnożone, odbijało się, pulsowało wśród zimnych, ciężkich ścian. Wilki nasycone starymi kośćmi, śpiącymi gadami, szczurami i za-gryzionym przed chwilą psem rozłożyły się pośród przyćmionych, zszarzałych szat, kości, ław i usnęły pomrukując z nasycenia.

Rozgoryczone krzyczymy coraz głośniejsze, z nienawiścią, gniewem, rozpaczą. Wilki, jakby nie słyszały naszych głosów, rozwalają się wygodnie wśród szczątków. Głosy ptaków milkną.

Głód zatyka dzioby. Głód przypomina o życiu.

Podrywam się, wzlatuję pod kopułę i opadam, nurkując i koziołkując.

- Lećmy! Lećmy natychmiast! Lećmy szukać jedzenia! - krzyczę sprawdzając, czy Mi, Kro i pozostałe ptaki już się poderwały. - Nie siedźcie tak, bo tracicie ciepło i siły! Lećcie!

Wyciągają szyje, rozglądają się i odlatują. Tylko tam pod szczytem baldachimu siedzi osowiała i cicha mała kawka, jakby znowu chciała spać. Ziewa, odwraca głowę, chowa dziób w pióra usypia.

- Ona już się nie obudzi - myślę. - Już się nie obudzi.

Lecimy do szczytu kopuły, a stamtąd lunetami nad ośnieżone,

zimne, wichrowe miasto.

Wszędzie biel pokryta warstwą twardego lodu, zapadająca się, zdradliwa. Na niej tropy, ścieżki, ślady, ciemne sylwetki zwierząt i ptaków, znaki krwi po stoczonych w nocy walkach, nocnych łowach i polowaniach.

Lecimy na zachód starym szlakiem prowadzącym w stronę morza. Lodowate powietrze wypełnia dzioby, obniża ciepłość, niemal pali w gardle. Skrzydła ocieźały i wolno rozgarniają powietrze. Boczny wiatr przygniata ku ziemi.

Nie dolecimy do morza. Jesteśmy zbyt osłabione i głodne, by znieść taki przelot. A nawet gdybyśmy doleciały, to nie wszystkim starczyłoby sił, by powrócić.

Na placu przy schodach sępy rozrywają padlinę wychudzonego osła. Jastrzębie, sokoły, pustułki, kanie, krogulce.

– Uważajcie! – ostrzegam. – Uważajcie! Na resztki, jakie pozostawia sępy, czeka rzesza drapieżnych ptaków, którym nie starcza już sił na chwytnie w locie żywych, nawet tak osłabionych jak my.

Pustułki lecą w naszą stronę. Umykamy szybko na południe. Ścięta lodem rzeka wydaje się pęknięta wzdłuż. To lód załamał się pod własnym ciężarem ukazując piaszczysty brzeg.

Rozkładam szeroko skrzydła, łagodnie opadam w dół.

Z piaszczystej skarpy wygrzebujemy zamrożone larwy, żabki, owady, ślimaki, resztki wodorostów i butwiejącej trawy.

W pobliżu nie ma innych ptaków, oprócz zimorodków poszukujących zamrożonych rybek pod warstwą cienkiego, spękanego lodu.

Stare wyleniało kuny czają się w kanałach, lecz trzymamy się w bezpiecznej odległości.

Gdy usiłują nas schwytać, podrywamy się i na kamiennym nadprożu oczekujemy, aż odejdą, zmożone przejmującym zimnem.

Osowiały powracają do kanałów, a my zlatujemy na wąski pas odsłoniętego piaszczystego dna. Wygrzebuję ślimaki, łykam razem ze skorupką, rozrywam zamrożoną żabę. Powoli napełniamy żołądki. Nie pamiętam już, co znaczy nie być głodnym.

Zrywa się wiatr, łomocze okiennicami, futrynami, roletami z rozbitych okien, wyje w rynnach. Sypie lepki, ciężki śnieg.

– Wracamy! – wzywam donośnie.

– Wracamy! – krzyczą Mi i Kro.

– Wracamy! – przekazują sobie pozostałe kawki.

Wiem, że im przewodzę, że czekają na mój znak.

Coraz gęstszy śnieg zacina. Wiatr wciska się w dzioby, wdziera w uszy. Zmierzch. Słońce za chmurami – skłania się ku zachodowi.

Przemarznięty lecę nad kolumnadą wiodącą ku naszej przestronnej, bezwietrznej kopule.

Przez zapchaną śniegiem lunetę przeciskamy się i wlatujemy do wnętrza.

Mała kawka nadal tkwi nieruchomo w fałdzie baldachimu. Kiedy trącam ją skrzydłem, przewraca się sztywna i zimna.

Słyszę chrząkania, poszczekiwania, skowyt, trzask. Wilki znowu szukają pokarmu wśród szczątków pokrytych śnieżnym pyłem.

Wiosna, czas miłości, to pora umierania starych ptaków, które nie mają już siły, by budować gniazda. Pora śmierci wygłodzonych piskląt, gdy zmęczeni rodzice nie mają czym karmić szeroko otwartych, żebrzących żółtych dziobów.

Wiosna zabija ptaki wypadające z gniazd i zbyt młode, wylatujące po raz pierwszy, zachwycone ciepłem słońca, kolorami i głosami, które wydają im się przyjazne. Zabija słabych, słabszych, słabnących.

Czeka cię wichur, chłód nocy, nagły deszcz, oddalenie od gniazda i nieświadomość przyczajonych niebezpieczeństw. Wiosna jest porą zabijania i umierania ptaków.

Ptak powinien panować nad skrawkiem ziemi wokół siebie i, nawet gdy znajduje się na niej, musi być jakby ponad nią i wiedzieć, co dzieje się wokół. Ptak atakowany z ziemi szuka ocalenia nad sobą, uciekając wzwyż. Ptak atakowany z powietrza najpewniej znajdzie ratunek w szybkiej ucieczce między krzewami.

Kruchość, słabość, wypadanie piór i ciekawość świata – mordują

równie szybko jak zakrzywione dzioby i szpony jastrzębia. Młode ptaki giną z głodu, z pragnienia, zabijane gorącym słońca i falami morza.

Tej właśnie wiosny, po morderczej mroźnej zimie, razem z Fre założyliśmy własne gniazdo. Znosimy gałązki za metalową osłonę, skąd widać patyki rodzinnego gniazda Mi i Kro, sterczące po przeciwległej stronie baldachimu.

Mi i Kro, od których nie chciałem się oddalać, nie przeszkadzają nam, a przeciwnie, wydają się zadowolone z bliskiej obecności swych dzieci. Same też są zajęte porządkowaniem i przygotowaniami do wysiadania następnych jaj.

Od przebudzenia do zmierzchu dźwigamy w dziobach i układamy gałązki, pióra, mech, suche liście, kępki sierści, szmatki, zwilżone grudki gliny, kawałki tynku.

Fre jest moją pierwszą samicą. Dumnie chodzę wokół niej, strosząc pióra, a ona potrząsa skrzydełkami i puszy się oczekując pieaszczot.

Coraz częściej rozsiada się w gnieździe, rozkładając ogon i skrzydła.

Obserwuje... Sprawdza, jak przeplątam patyki i utykam kępki mchu. Bacznie śledzi przelatujące w pobliżu kawki i moje spojrzenia.

Fre stała się zazdrosna i kiedy na baldachimie przysiadzie choć na chwilę inna kawka, przepędza ją przenikliwym, grożącym krzykiem. Nie oglądam się, nie zwracam uwagi na obce kawki. Oczywiście, nie pozwalam kawczym samcom zbliżać się do Fre i nawet na przebiegającego obok Kro ostrzegawczo kłapię dziobem.

Ciemnosrebrzyste pióra i jasnoniebieskie oczy Fre zaprzatają od rana do wieczora moje myśli, marzenia, pragnienia, tęsknoty.

Nawet z sennej ciemności patrzą na mnie jej szeroko rozwarte oczy.

Słucham jej oddechu, wyczuwam jej ciepło i jestem szczęśliwy.

Fre znosi jajka kwiląc z bólu.

Skarży się, a ja stoję na krawędzi gniazda niespokojny i zupełnie bezradny. Ze zdenerwowania przeganiam nawet wróble.

Wąski stek Fre rozszerza się i kurczy przy każdym naporze jajka, a rodząca pierwszy raz kawka drży ze strachu i cierpienia.

Pierwsze okrwawione jajko, oblepione ciemnymi drobinami puchu witamy radosnym krzykiem.

Fre wyczuwa już pisklęta pod skorupkami. W nocy, kiedy milknie zgiełk dnia, ze skorupek dochodzą szmery, skrobnięcia, drgania, ledwie wyczuwalne ruchy i przesunięcia.

Wtedy Fre rozkłada skrzydła jeszcze szerzej, dziobem podgarnia jajka w puch na brzuchu i piersiach, przytulając się do nich ze wszystkich sił, jakby chciała je obronić przed nieznanym niebezpieczeństwem.

Wracam znad rzeki. Rozwścieczona Fre fruwa wokół gniazda krzycząc i złorzecząc. Nie ma jajek. Zniknęły.

Młode sroki podchodziły, podlatywały, drażniły siedzącą na jajkach Fre. W końcu postanowiła je przepędzić i na chwilę opuściła gniazdo. Wtedy srocza gromada zaczajona w cieniu kamiennych figur wtargnęła natychmiast, porwała jajka i uciekła.

Wstrząśnięty, przerażony wpadam do gniazda i przeszukuję wszystkie kąty, zakamarki, wgłębienia. Między patykami, zakryte kępkami mchu leży jajko. Stoczyło się w wyżłobiony w miękkim podłożu rowek i ocalało.

Zaskoczyło nas pisklę o jasnoróżowej skórze i niemal białym dziobie. Patrzę pytająco na Fre, Fre patrzy na mnie i oczyszcza ciało pisklaka z ciemnoczarnych drobin skorupki.

Pisklęta kawek mają skórę różowosiną, a nawet ciemnofioletową.

Prześwitujące przez błony oczy są jasne, jaśniejsze niż u piskląt, które widzimy w gnieździe Mi i Kro.

– Jeść! – domaga się pisklę, poruszając różowymi skrzydełkami. – Jeść!

Wciskam do miękkiego dzioba przeżutą miazgę z much i świerszczy. Schwytałem je rano na wystonecznionych płaszczyznach kopuły ocieniającej przestrzeń naszego życia.

Kea rośnie szybko, je dużo, donośnie domaga się pokarmu. Od

chwili otwarcia oczu stała się ruchliwa i ciekawa. Toteż oboje pilnujemy jej stale zważając, by nie wpełzła na krawędź gniazda i nie wypadła.

Piórka Kei są jaśniejsze od naszych. Puch na piersiach i grzbiecie jest niemal biały, a pierwsze piórka skrzydeł przebijające się ze stosin jaskrawobiałe.

Jasny dziób, niemal przezroczyste pazurki i białe oczy z lekkim odcieniem błękitu zatrzymują mnie, ilekroć powracam do gniazda. Siadam na krawędzi i patrzę na Keę, zachwycony jej innością, odmiennością, różnością. I dopiero, gdy zniecierpliwiona Fre trąca mnie dziobem, odlatuję.

Z każdym dniem przybywa jej piórek i kępek puchu, przeważnie białych lub srebrzystych.

Nawet młodzieńcze narośla wokół dzioba początkowo żółtawe, teraz zbiełały.

Rozgarniam puch na jej głowie sprawdzając, czy nie ma tam małych podłużnych owadów zatykających uszy.

Dokładnie oczyszczam różową skórę wokół gruczołu na grzbiecie. Kea trzepocze skrzydełkami.

Wpuszczam jej w dziób rozpuszczoną w ślinie gąsienicę.

Zbliża się czas pierwszego lotu. Oślepiające, upalne słońce rozświetla przez lunety skłębione szczątki leżące pod kopułą.

Srebrzystobiały ptak z ciemniejszym ogonem i grzbietem podskakuje na krawędzi gniazda.

Mi i Kro dawno już uczą latać własne dzieci. Jasność piór Kei nie przyciąga już ich uwagi.

Przyzwyczały się do niemal białego krzykliwego ptaka, bezustannie strofowanego, pouczanego, pilnowanego przez rodziców.

Jak zwykle, co rano wylatujesz nad rzekę. I nagle słyszysz za sobą przerażony krzyk Fre.

Oglądasz się... Za tobą frunie Kea, starając się uderzać skrzydłami jak ty, a za nią przerażona, rozkrzyczana Fre.

Zwalniasz i Kea leci obok ciebie. Dogania was Fre i już razem zataczacie koło wewnątrz kopuły...

Skrzydła Kei uderzają spokojnie i miarowo. Lata lekko i szybko, wykorzystując ciepłe prądy i ruchy powietrza wywołane naszymi skrzydłami. Wylatujemy w słońce, w jasność, w jaskrawość i błękit.

Kea frunie między nami. Wkrótce dołączają Mi, Kro, ich potomstwo i wiele kawek z naszej wielkiej rodziny.

Srebrzystość upierzenia Kei nie budzi wrogości ani zdziwienia, nie zaskakuje już i nie drażni.

Nagle ogarnia cię lęk. Przypomnisz sobie podobnie białego ptaka na czerwonych wieżach pobliskiej budowli i ścigającą go, rozwścieczoną czarną gromadę. Znowu odczuwasz ucisk, jakby przez chwilę na twym sercu zacisnął się dziób jastrzębia.

Chronisz Keę, bronisz jej, pilnujesz, ostrzegasz, czuwasz. Odpędzasz, atakujesz, przeganiaasz wszystkie obce ptaki przyglądające się jej z niechętnym zdziwieniem. Starasz się, aby zawsze była z tobą i Fre, w jak największej gromadzie oswojonych z jej innością kawek.

Przeważnie wylatujecie razem. Wielką gromadą lecicie nad morze.

Kea rośnie, staje się duża i silna.

Sartoris na czele swych srok też przyzwyczał się do odmienności Kei i udaje, że jej nie dostrzega. A może po prostu boi się gromady kawek i czeka na sposobną okazję, by zaatakować?

Nie dowierzasz Sartorisowi. Stajesz się jeszcze bardziej nieufny.

Mija lato, jesień, zima. Większość młodych kawek dawno już usamodzielniała się, odfrunęła i tylko nocuje. w pobliżu rodzinnych gniazd.

Kea nadal mieszka z nami i Fre niechętnie patrzy, jak w chłodne noce wtula głowę pod twoje skrzydło. Fre stała się zazdrosna o Keę i gdyby tylko mogła, nie pozwoliłaby jej spać w naszym gnieździe.

Kiedy niedawno Fre usiłowała nie wpuścić białoskrzydłej Kei do gniazda, zagroziłeś jej groźnie uniesionym dziobem i gniewnym zwężeniem żrenic.

Zbliża się wiosna, pora miłości, składania jaj i karmienia lęgów. Przestałem interesować się Fre, która staje się coraz bardziej nerwowa.

Znowu napastuje Keę, przepędza ją, odgania, bije.

I znowu wprowadzam Keę do gniazda, grożąc Fre dziobem i pazurami.

Kea układa się przy mnie, a ja usypiam zapatrzony w przejrzyste oczy z lekkim odcieniem błękitu.

Kiedy następnego dnia przylatujemy z wyprawy nad morze, Fre nie ma.

Czy nie powróciła znad morza?

A czy w ogóle poleciała nad morze?

Zabłądziła? Schwytał ją jastrząb?

Czyżby spotkała innego samca i odleciała do jego gniazda?

Nie spotkałem jej już nigdy.

Kawki o piórach i oczach błękitnych, jak nasze, przypatrują się nam bacznie, niepewne, jak je przyjmiemy. Podejrzliwe, jak my jesteśmy podejrzliwe, jak my nieufne i ostrożne.

Widzisz przed sobą Keę, a przecież Kea stoi obok ciebie z półotwartym zaskoczenia i zdziwienia dziobem. Widzisz Keę obok siebie i widzisz ją przed sobą, obok nie znanego czarnego ptaka o nastroszonym puchu na dużej głowie.

Czy to możliwe, żeby Kea była i tam, i tu, obok mnie i przede mną? Skąd tak nagle pojawiła się nowa Kea? Może istnieją dwie? A ty nigdy tego nie dostrzegłeś? Ta i tamta, tamta i ta?

Puch na głowie Kei stroszy się, a w jasnobłękitnych oczach czytam coraz głębsze zdziwienie, któremu sam ulegam. Spogląda na mnie, na ptaka stojącego przede mną, na Keę tam.

Unosi nogę i tamta Kea też stoi na jednej nodze.

Rozwieram dziób, krzyczę, wrzeszczę, pytam... Ptak przede mną czyni to samo, lecz nie słyszę krzyku, bo krzyczy równocześnie ze mną.

- Dlaczego, Keo, jesteś tam, z tym obcym ptakiem? - przyjmuję wojowniczą postawę.

- Dlaczego jesteś tam z tą obcą samicą? - Kea wyciąga szyję do ataku.

Zbliżam dziób do nie znanego ptaka. On czyni to samo. Podchodzę

na wyprężonych nogach. On też.

– Uderzę cię! Uderzę cię! Uciekaj!

Rozjuszony walę dziobem w jego dziób.

Skaczę, wysuwając szpony do przodu. On również doskakuje ze złością, wściekłością, nienawiścią. Kea, z którą przyleciałem, i Kea obok ptaka obserwują naszą walkę. Odbijam się od gładkiej powierzchni i ponownie uderzam, z rozbiegu walę skrzydłami, aby odpędzić intruza. Odbijam się, odpadam od chłodnej gładkiej tafli, za którą ukrył się tamten ptak.

Kea krzyczy ostrzegawczo i też rzuca się do ataku. Bije dziobem, skrzydłami, szponami.

– Chcesz przepędzić tamtą drugą Keę? Mnie ona nie przeszkadza. Możecie przecież być obie w moim gnieździe, rozumiesz? – patrzę na nią wymownie, widząc kątem oka, że ptak przede mną zachowuje się jak ja.

Kea odbija się od tamtej Kei. Rozdziawia dziób usiłując uchwycić dziób tamtej.

Dzioby dotykają się koniuszkami, skrzydła zderzają się piórami, piersi łączą się i odskakują.

Kea krąży rozwścieczona, a tamta powtarza wszystkie jej ruchy. Nie wiem już, która jest która?

Przymykam oczy, potrząsam piórami, przestępuję z nogi na nogę, a nie znany ptak, stojący tam, naśladuje mnie wiernie i równocześnie.

Zdyszana, rozjuszona walką Kea zatrzymuje się, a Kea przed nią postępuje tak samo. Koniuszki dziobów Kei obok i Kei przede mną stykają się, lecz nie mogą się schwytać, bo oddziela je zimna tafla szkła. Teraz zauważasz, że sprzęty wokół tamtych ptaków są takie same jak wokół nas. Biały posąg uskrzydłonego beskrzydłego stoi za nami i za tamtymi ptakami.

Szkielety bezskrzydłych przy stole siedzą i tam.

Wielki czarny szczur wygląda ze szczeliny w ścianie za mną i przede mną. A ściana! Ściana jest taka sama i tam, i tu.

Potrząsam skrzydłami ze zdziwienia, a ptak przede mną robi tak

samo... Kea zatrzymuje się i delikatnie dotyka dziobem piór na moim łebku, a Kea przede mną też dotyka piór obcego ptaka.

Pieści go, całuje, głaszcze, jakby zapewniając, że liczy się tylko on. A przecież Kea mnie pieści, skubie, rozczesuje?

Ja mam Keę i tamten ptak ma swą Keę. Skąd? Jak? Dlaczego? Kto?

Kim jest tamten ptak? Przymyka oczy, kiedy ja przymykam. Otwiera dziób, gdy ja otwieram. Krzyczy, kiedy ja krzyczę. Dotyka piór na szyi Kei, kiedy ja dotykam. Chwyta dziobem jej dziób, przyginając go, jak ja!

Patrzemy na siebie z Keą, a ptaki przed nami też patrzą na siebie.

Szczur w szczelinie siada i liże futerko na wychudzonym brzuchu, a szczur za tamtymi ptakami zachowuje się tak samo.

Rozczesuję puch na szyi Kei, obserwując białe kruszyny złuszczonego naskórka opadające na posadzkę. Tam i tu.

– Kim są te ptaki? – patrzę na Keę.

– To my!

Jest tylko ta Kea, Kea obok. Tamta jest Keą odbitą. Ptak obok tamtej to ja, powtórzony w przezroczystej tafli, do której usiłowałem się dostać, w którą chciałbym wlecieć, do której będę chciał wlecieć jeszcze wiele razy.

– To ja, Keo! – krzyczę machając skrzydłami, jakbym po długim okresie głodu znalazł się na brzegu pełnym smacznych krewetek.

Budzę się kilkakrotnie.

Czy nasze gniazdo zadrżało? Wydaje się, jakby rozpędzony oślepy ptak uderzył w kolumnę podtrzymującą baldachim.

Pohukuje puszczyk. Popiskują nietoperze. Chowam głowę w puchu, usypiam. Znowu budzi mnie ciche dźwięczenie metalu, podniecone piski szczurów, syk węży, gruchanie gołębi.

Kea leży spokojnie przy moim boku, śpi głębokim snem szczęśliwych ptaków.

Jasny, pogodny poranek. Resztki śniegu znikają z dachów, drzew, ulic. Woda wsiąka w ziemię, paruje, zanika. Miasto powoli zrzuca z siebie

białą pokrywą, niebawem stanie się zielono – rudo – szare. Słońce grzeje już silniej i chcemy wzmocnić ściany gniazda patykami, sierścią, skrawkami płótna.

Siedzimy na białej głowie posągu łapiąc w skrzydła promienie słońca. Po mroźnej zimie potrzebujemy ciepła. Kea zsuwa się, przeskakuje na marmurową dłoń.

– Pora miłości! Pora rozkoszy! – potrząsa głową, strosząc srebrzyste piórka. – Kochajmy się! Kochajmy!

Posąg drży, jakby poruszony od dołu. Poderwałem się przerażony niezrozumiałym zachowaniem zimnej figury.

Z tej wysokości widać leżące na ulicach i dachach cienkie roztafiające się warstwy śniegu.

Rzeka odmarzła i pieni się, wylewając obficie na pobliskie ulice. Żółtawe fale niosą wyrwane drzewa i opuchnięte martwe zwierzęta.

Kea skręca na północ. Wyżej, coraz wyżej. Pod nami pełnie rozległa szara plama. Posuwa się dziwnymi ruchami, wysuwając do przodu szare macki.

– Co to?

Wilki, lisy, koty posuwają się śladem pulsującej dziwnie płaszczyzny. Pustułki raz po raz zniżają lot unosząc w szponach piszczącą zdobycz.

To szczury przerażone podziemnymi wstrząsami gromadnie uciekają z miasta. Z budynków, spod murów wypelzają szare potoczki i łączą się z plamą szarości. Rozrasta się, pęcznieje, posuwa, chcąc wydostać się spomiędzy murów i ścian.

– Dlaczego? – pyta Kea.

Szczury wychodzą z miasta z naprężonymi ogonami, gryząc się, przewracając, piszcząc.

W świetle, w słońcu, nie zważając na kły, pazury, dzioby, szpony.

Szczury biegną falami, nie oglądają się, byle dalej i szybciej. Wilk łamie jakiś wychudzony kręgosłup, przygniata do ziemi, rozszarpuje. Sowa wydiera płaty żywego mięsa. Pies zaciska kły. Kot wydiera oczy.

Szczury idą. Szary jęzor ciągnie ulicami, zwalniając, przyspiesza-

jąc, rozsypując się, łącząc.

– Dlaczego?

Nadlatują stada srok. Czarno – białe, niebiesko – białe błyskawice opadają w szary tłum, wyławiają młode, nieporadne, słabe. Unoszą do gniazd, na najbliższe gałęzie i mury, przy-trzymują szponami, wyjadają oczy, mózg, serca. Szczury piszczą przenikliwie.

– Sartoris! Sartoris! – zwołują się sroki. Nie powstrzyma to szcurów, które na krótkich cienkich łapkach uciekają z miasta, jak najdalej od podziemnych wstrząsów.

Rzeka szcurów płynie, rozszarpywana, dzielona, niszczona. Wpełza na drogę między kapliczki, posągi, katakumby. Szczury biegną zapatrzone w ogony uchodzących przodem, tropem idących przed nimi. Oczy Kei są pełne trwogi.

– Co robić!?

Nie odpowiadam. Lecę w błękit, jakby ucieczka szcurów nie miała dla naszego życia najmniejszego znaczenia.

Brzask. Zatrzęsło, zadygotało. Kolumnada drgnęła, uniosła się wypchnięta od dołu. Posąg wysunął się spod nóg.

Plac zachybotął, pękł, zręby rozsunęły się i zapadły. Kolumny, gzymsy, kapitele, posągi, płyty osuwały się ku falującej kamienistej czełuści.

– Śmierć! – rozpacziałem nad ruinami.

– Nasze gniazdo! – biadała Kea.

– Tam jest Kro! – wołała Mi.

Spojrzałem. Kopuły nie było, tylko obłok siwego pyłu wzbijał się wyżej i wyżej w niebo, na którym ukazał się rąbek słonecznej tarczy. Mi pędziła w tym właśnie kierunku.

– Nie leć! To niebezpieczne! – ostrzegałem, lecz Mi leciała z wygiętymi do tyłu skrzydłami, wprost we wznoszący się, kłębiący grzyb.

Powietrze odrzuciło ją, odrzuciło.

Wzbiła się w górę i zanurkowała szukając drogi do nie istniejącej już kopuły. Wróciła przestraszona, na wpół żywa.

Podleciałem do niej, usiedliśmy na dygocącym, rozchybotanym posągu.

Rozszerzone oczy Mi. Strach i nadzieja, że Kro ocalał i za chwilę przyleci.

– Kro, gdzie jesteś? Kro, odpowiedz! – błagała.

Wstrząsy znowu poruszyły plac, zmiatając i rozbijając, roztrzaskując.

Posąg zachwiał się. Zatrzeszczał, runął.

Kea zanurkowała krzycząc, lecz huk zagłuszał jej głos.

Wzbiliśmy się prawie pionowo. Wokół krążyło mnóstwo ptaków. Jastrzębie, gołębie, dzięcioły, kosy, szpaki, szczygły, wróble, derkacze, zimorodki, skowronki, pliszki i czajki – przerażone, zrozpaczone, niepewne.

Nikt teraz nie polował, bo najważniejsze było przetrwanie, ocalenie chociażby siebie. Raz po raz zawisałem na roztrzepotanych skrzydłach, by przyjrzeć się nerwowym ruchom ziemi, zapadającym się domom, oszalałym z lęku zwierzętom.

W powietrzu nie groziło nam niebezpieczeństwo, natomiast tuż nad ziemią czaiły się gwałtowne przeciągi, podmuchy kurzawy z rozbitych domów, zassania otwierających się przepaści, powietrzne wiry, fale cuchnących oparów i pyłów.

Wężę usiłowały wydobyć się spod kamieni. Łasice, tchórze, norki, borsuki, jeże, zające uciekały wśród łoskotu rozsypujących się ścian.

Ogarnięte paniką wilki, lisy, psy pędziły przed siebie wyjąc i poszczekując.

Zrozumiałem, dlaczego szczury, chomiki i nornice uciekały już od kilku dni. Skąd ich nocne wędrówki, których chrobot i szmer docierał do naszego gniazda. Mi i Kea z rozpaczą fruwały nad zawaloną, pogrzebaną kamienną budowlą.

Gołębie i synogarlice krążyły, ciche, niemal bezgłośnie.

Ziemia trzęsła się, dygotała, grzebała i wyrzucała, wciągała i wypływała, porywała i zabijała.

Zgniecione, rozdarte jelenie pokryte kurzem i odłamkami szamotały się w ostatniej, daremnej nadziei.

Różowa gołębica wytrwale biła skrzydłami nad miejscem, gdzie jeszcze niedawno znajdowało się jej gniazdo. Nie odlatywała, nie krążyła, lecz trwała wpatrzona w ten sam punkt, który jeszcze przed chwilą był jej domem.

Ogłuszający huk rozległ się nad miastem i w niebo wzbijała się łuna pełna iskier, dymu i odłamków. Wybuchły, rozpadły się poruszone siłą ziemi zbiorniki cuchnących cieczy.

Gołębica uderzyła silniej skrzydłami, a ja wzleciałem tuż za nią.

Nie zatrzymała się już, lecz szybkim lotem odleciała na wschód.

Miasto podskakiwało, chwiało się, kładło, podnosiło, miażdżyło i gniotło. Z ziemi dochodziły głosy tarcia, przesuwania, rozbijania. Jakby syki węży lub zgrzytanie sępicz dziobów o wapienne skały.

Gołębica stała się złocistym punktem wśród chmur. Kilka gołębi podążyło za nią.

Ziemia zastygła, uspokoiła się, znieruchomiła, skamieniała. I usłyszałem głosy, których poprzednio w zamęcie, trzasku, huku i zgrzycie nie słyszałem. Wycie konających wilków, skowyt lisa, miauczenie zgniecionych rysi, wrzask krukowatych, świergot wróbli, rozpaczliwy śpiew słowików i skowronków, przejmujące piski szczurów, porykiwanie łosia, bek jeleni, rżenie dzików dotarło do mnie równocześnie, uderzyło, oszołomiło. Zrozumiałem, że tamto życie nie istnieje, załamało się jak budowle bezskrzydłych, jak plac otoczony kolumnami, jak metalowy baldachim, w którym wyklułem się z jaja. Nie było tamtego życia, jak białych posągów, z których jeszcze niedawno obserwowałem zachody słońca.

Leciałem wpatrzony w dalekie płomienie. Pył opadał, pokrywając świat szarą warstwą.

Wyczuwałem popiół na skrzydłach, w oczach, w dziobie. Chciałem się wykapać, zmyć z siebie ten dokuczliwy, ciężący balast.

Przykry ucisk w płucach. Zakasłałem, zakrzusilem się. Wyżej, może tam powietrze będzie czystsze? Ale i tu dotarła kurzawa.

Wiatr znosił w naszą stronę gorący swąd z płonących zbiorników. Deszcz. Ciężka kropla uderzyła w skrzydło. Te krople zbierały pył i tuż przy ziemi stawały się ciężkie jak kamienie.

– Uważaj, ciężki deszcz! – usłyszałem za sobą wołanie Kei.

Uniosłem lotki lekko w górę, wyginając je równocześnie do tyłu, i rzuciłem się w kierunku ocalałej z pogromu wieży. Po chwili razem z Keą siedzieliśmy wśród innych ptaków.

Pod wieżą leżały pęknięte, rozbite dzwony.

– Odlatujemy! – krzychała roztrzęsiona Kea, nie mogąc się uspokoić.

Deszcz przypominał gęstą ścianę czarnego błota.

– Czekamy – powiedziałem – aż przestanie padać.

Skuliła się, przytuliła. Dziobem gładziłem jej kark. Pochyliła nastrożoną głowę, oczy rozszerzały się ze szczęścia.

Wyczerpani, zmęczeni, znużeni, broniący się przed snem.

Żyję i Kea żyje. Nie liczy się już zniszczenie miasta i gniazda, śmierć bliskich kawek, błotny deszcz, przerażenie.

Ziemią wstrząsnęła fala śmierci, lecz my powracamy, a z nami życie.

Trzęsienie ziemi tak nas przeraziło, że nawet te ptaki, które dotychczas nie podróżowały, zaczęły przygotowywać się do odlotu.

Z naszej siedziby pozostało tylko otoczone ścianami zapadlisko, spękane mury pełne szczelin, rozchybotane gzymsy, ledwie trzymające się kamienie.

Wiele ptaków zginęło. Przetrwały te, które zdążyły wzlecieć, najostrożniejsze, wsłuchane w pomruki ziemi.

Gdybyś zlekceważył podziemne głosy i nie wyfrunął tuż przed wschodem, jak stary Kro, którego uwagi nie zajmował otaczający świat, lecz bolesne kurcze własnego serca i żołądka, już byś nie żył.

Rdzawo – szara wiosna wypełnia najdalsze zakątki horyzontu, stapiając się z siwymi chmurami.

Leciałem na wschód do naszych dawnych siedzib, prowadząc roz-

ciągniętą szeroko chmurę gawronów, wron, kawek. Czułem za sobą skrzydła, rozcinające powietrze, wyciągnięte szyje, półprzymknięte oczy, znużone długotrwałym lotem.

Jestem przywódcą. Słuchają moich wezwań, ostrzeżeń, rozkazów, wierzą w siłę moich skrzydeł, bystrość mojego wzroku i pewność, z jaką wybieram kierunek.

Ziemia zanurzona w roztopach, powodziach, rozlewiskach, mokradłach. Przelatujemy nad szarymi ruinami miast, nad drogami zalanymi błotem i wodą, przeżartymi rdzą konstrukcjami pozostawionymi przez bezskrzydłych.

Świat z tej wysokości wydaje się cichy, spokojny, martwy.

Jastrzębie i sokoły odlatują, bojąc się naszego wrzasku i dziobów. Nawet orzeł ucieka pod chmury przed naszą czarną czeredą.

Klucze żurawi, gęsi, cyranek, kaczek ciągną na północ, ku brzegom zimnego morza, lub na wschód, ku wielkim jeziorom i bagnom.

Kea i Mi lecą tuż za mną, muskając mnie lotkami, a kiedy wołam, odpowiadają natychmiast. Lasy zarastają miasta, zajmują szare, pokryte twardą skorupą place, rozpychając korzeniami asfalt.

Zniżam się ku chatom rozłożonym na płaskich pagórkach, otaczających kilka połączonych ze sobą stawów. Obok przepływa rzeka. Niedawno spadł deszcz, więc z ziemi wypęłzają dżdżownice, różowawe plamy na gnijącym kożuchu traw.

– Siadamy! – wołam.

– Zniżamy! Opadamy! Siadamy!

Zataczam półkole szukając miejsca, z którego mógłbym obserwować okolicę. Na brzegu w kałużach szamocą się drobne rybki, którym wypukłe dno odebrało możliwość odpłynięcia z cofającą się falą.

Martwy zając zagryziony przez wilki. Kłacza traw. Szczurze nory w nadrzecznym wale.

Żeremie bobrów na jeziorach. Gawrony, wrony, kawki rzucają się w płytką kałużę polykając wyskakujący narybek.

Czarna chmara ptaków spada na ziemię, płoszy, rozdrapuje, wy-

dziera. Podrzucają dziobami kamienie, unoszą gałęzie, rozgrzebują trawy w spazmatycznym poszukiwaniu jedzenia.

Nieostrożne młode myszy, które pochopnie wymknęły się z wilgotnej nory, zostały rozerwane na strzępy. Łasica, która poszukiwała pokarmu na otwartym terenie, została zadziobana, poćwiartowana i pożarta.

– Jesteśmy głodne! – potrząsają skrzydłami gawrony.

Rozgrzebują podmokłą ziemię w poszukiwaniu owadów, dżdżownic, chrabąszczy, nornic.

Wyrwają sobie łupy, rzucają się na siebie, podskakują, dziobią, groźnie stroszą pióra. Kawki szepczą się szponami i dziobami. Rzucam się, rozdzielam walczących, krzyczę ostrzegawczo, jakby groziło nam niebezpieczeństwo. Patrzą szaroniebieskimi wygłodniałymi oczami i rozgrzebują długie pasma na wpół przegniłej trawy.

Rzucają się na wypłoszone żaby, ledwie zbudzone z zimowego snu. Teren jest rozległy.

Na szczytach chat dostrzegam opuszczone gniazda bocianów. Gąszć pragnienie w zimnej kałuży, otrząsam się, frunę w kierunku zabudowań.

Rozwalone drzwi, zapadnięte dachy, pochylone betonowe słupy z drutami rozkołysanymi na wietrze.

Wymarłe siedziby bezskrzydłych.

Wpadam przez rozbite okno płosząc łażące po sprzętach szczury. W legowiskach leżą doszczętnie objedzone szkielety.

Przelatuję przez dom, wylatując z drugiej strony.

Niebezpiecznie jest siadać we wnętrzu zamieszkanym przez szybkie, wygłodzone gryzonie, które mogą dopaść cię nagle, przygnieść i rozszarpać. Ich głód jest silniejszy niż strach przed twoim dziobem i szponami.

Wypadam na otoczone resztkami płotu podwórze. Tu też łażą szczury, wychudzone, wyleniało, głodne... Rzucają się na siebie ze wściekłym piskiem. Wiem, że jeżeli nie mają innego jedzenia, pożerają się nawzajem.

Siadam na kamiennym obramowaniu studni. Z góry słyszę znajome głosy. Kea i Mi przefrunęły nad dachem zdziwione moim zniknięciem w rozbitym oknie chaty.

- Jesteś? Jesteś?

- Jestem - odpowiadam, uderzając zapraszająco skrzydłami. - Sfruńcie do mnie.

Gdy opadają na cembrowinę pobliskiej studni, od razu czuję się pewniej.

W studni lśnią nasze wodne odbicia. Kea unosi się nad otworem, zawisa, patrzy w głębię.

Srebrzyste pióro opada wirując jak jasny motyl. Gdy dotyka wody, po powierzchni szybko rozchodzą się kręgi.

Patrzę na bocianie gniazdo, gdzie mieszkają wróble. Stamtąd obejrzę okolicę, sprawdzę, czy jesteśmy rzeczywiście bezpieczni. Wzlatuję ociężale i zataczam krąg nisko nad podwórzem, Kea i Mi lecą niechętnie w wilgotnym, bezwietrznym powietrzu, przelatują nad czarną spróchniałą przybudówką.

Krzyk Kei, krzyk Mi. Pióra zjeżyły się na głowie.

Krzyk lęku przed śmiercią, ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem, złego przeczucia... Co się stało?

- Zabijają naszych! Zabijają naszych! - krzyczą nastroszone, wściekle bijąc skrzydłami. - Pomóżmy im! Pomóżmy! Tam!

Lecę jak najszybciej wiedząc, że niebawem zaroi się od spieszących na pomoc zaalarmowanych gawronów, wron, kawek.

Na deskach tkwią zeschnięte gawrony z szeroko rozłożonymi skrzydłami.

Resztki czarnych piór oblepiają wyschnięte kości przybitych tu ptaków.

Puste oczodoły, zszarzałe dzioby, przeświecająca biel czaszek, wyprostowane kości nóg z nieruchomymi pazurami, pióra wyjedzone przez larwy.

W skrzydłach tkwią grube żelazne gwoździe.

Mi woła, Kea krzyczy, krzyczę i ja, jak by to nas przybito do tych desek.

Przylatują gawrony, wrony, kawki. Wołają, wyzywają, lamentują, grożą. Nad pustym domem złorzeczą tym, którzy wbijali gwoździe, przytwierdzali ptaki do desek. Wlatują przez okna, lecz w środku są tylko szkielety z pustymi oczodołami, obnażonymi zębami.

Wyciągam szyję i opadam nurkowym lotem, mierząc dziobem w pierś wiszącego ptaka.

Uderzam i rozkrzyżowany gawron rozsypuje się, spada w kępy zeschniętych bylin. Oderwane skrzydło zwisa na zardzewiałym gwoździu.

Ptaki rzucają się na płot, łomocą dziobami, stracają wiszących pobratymców.

Na deskach pozostają zarysy przybitych, przygwożdżonych ptaków, ciemniejsze miejsca osłonięte przed słońcem. Tam, gdzie krwawiły przebite szczyty skrzydeł, wśród ciemnych plam tkwią gwoździe pokryte rdzą.

Krażymy nad leżącymi w trawie szczątkami.

Kea siada na płocie i lamentuje, jakby przybite gwoździami ptaki nadal przeżywały mękę.

Uspokaja się dopiero, gdy siadam obok i dziobem głaszczę jej srebrzystą szyję. Nagle dostrzegam jej inność, różnicę dzielącą ją od pozostałych, której oni już nie widzą, z którą już się pogodzili.

Czy na pewno? Przecież biel Kei lśni wśród ich czarnych skrzydeł jak pierwsza gwiazda na wieczornym niebie?

Poczucie strachu mija.

Ptaki są rozdrażnione, przerażone, jakby przewidywały nowe niebezpieczeństwo. A przecież bezskrzydli ukrzyżowali na płocie gawrony bardzo, bardzo dawno. Jak dawno?

Bezskrzydłych nie ma. Tylko ich szkielety leżą w chacie.

Czego się boisz? Dlaczego chcesz odlecieć?

– Odlatujemy!

Ptaki lecą za mną. Blisko płotu, blisko sterczących w sztachetach gwoździ. Przypominam sobie, że kiedyś już je widziałem.

Tkwiały w kończynach bezskrzydłego, przybitego do podobnych desek. Z ran sączyły się strużki krwi czerwonej jak nasza.

Wisiał nieruchomy, wykuty z kamienia lub zamknięty w płaskim wizerunku, w tych ogromnych budowlach, które wznosili bezskrzydli tam, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem światło.

Świat opuszczony przez bezskrzydłych obraca się przeciwko nam. Miasta wykruszają się, próchnieją, gniją, rozsypują, zapadają przy wstrząsach. Budowle wybuchają, zasypują płomieniami niebo, zatrują dymem rośliny, źródła, rzeki.

W ich szczątkach czają się węże i żmije. Bezskrzydłych już nie ma. Wymarli, lecz nadal nas zabijają.

Wieże, maszty, słupy przewracają się, łamią, gną i spadają niszcząc nasze gniazda.

Czy Kea i Mi też myślą o bezskrzydłych, którzy mieszkali tu przed nami?

Jak zapytać Keę? Jak wyrazić uczucie? Jak przekazać niepokój? Jak opowiedzieć o sobie?

Kea siada na kikucie stalowej wieży, unosi głowę do góry i krzyczy.

– Niebezpiecznie! Nie podchodźcie! Zginął ptak! Tu zginął ptak!

Ostrożnie!

Rozumiem, co mówi, lecz wiem, że myśli więcej. Kropki źrenic na jasnobłękitnym tle to zwężają się, to rozszerzają. Kea myśli. Czy myśli jak ja? Czy kiedykolwiek opowiemy sobie o swych myślach, uczuciach, snach, marzeniach? Czy my, ptaki, posiadziemy sposób porozumiewania się jak bezskrzydli? Czy stworzymy język, jakim oni zapewne się posługiwali? A jeżeli i my, jak oni, nie potrafimy się porozumieć?

Dotykam dziobem białych piór na karku Kei. Z radością poddaje się pieścizocie. Odwraca się i wsuwa dziób pod moje gardło. Po chwili nasze dzioby łączą się w tklwym pocałunku.

Lotki Kei dygocą, ciało drży, oczy stają się okrągłe. Lekko rozsuwa skrzydła ukazując delikatną część grzbietu. Krew uderza mi do głowy. Wypuszczam jej dziób. Stroszę pióra, puszę się, unoszę. Kea przysiada z

rozsuniętymi skrzydłami. Obchodzę ją na sztywnych, napiętych nogach ogarnięty narastającą namiętnością.

Kea zachęcająco potrząsa skrzydełkami. Wskakuję od tyłu, chwytając dziobem nastroszony puch na jej głowie. Uderzam napiętymi skrzydłami, wyczuwając pod sobą jej ciepło.

Chwila, błysk rozkoszy, nasienie tryska, zalewa ciepłym strumieniem jedwabisty, gładki grzbiet. Ulga. Przymykam oczy. Schodzę z Kei na pochyloną stalową ramę. Kea siedzi nieruchomo. Podnosi się ociężale. Przytuleni i szczęśliwi nie zważamy na połamane drzewa, załamane dachy, pęknięte stalowe rury i strącone gniazda ptaków. Szpaki, drozdy, synogarlice krążą nad pobojowiskiem.

Wyleniały kocur wypłoszony upadkiem masztu ostrożnie powraca do rozpołowionego, rozwalonego domu. Boi się.

Świat jest przerażający, lecz my, przypadkowi i przelotni wędrowcy, jakże szybko prze-stajemy to dostrzegać i jakże szybko o tym zapominamy.

Kea i ja przeżywamy wiosenną miłość, wobec której nieważne są wydarzenia nas nie dotyczące.

Pisklęta synogarlic rozsypane w trawie. Martwe wróble obwąchiwane przez kocura, bocianie gniazdo z zeschniętymi skorupami jaj, leżący w rowie pies z przetrąconym grzbietem. Nie nasze pisklęta. Nie nasze jajka. Nie nasze gniazdo.

Kea ponownie rozrzuca skrzydła, stoszy pióra, przeciąga się jak po długim śnie. Znowu ogarnia mnie pragnienie. Zbliżyć się, przytulić do ciepłych piór i napiętego grzbietu, uchwycić nastroszone pióra na głowie, w miejscu, gdzie czarna czapeczka zbiega się z siwym karkiem. Błona zakrywa oczy Kei, kiedy wspinam się na jej grzbiet.

Spędza nas para bocianów, które powróciły do nie istniejącego gniazda, i rozjuszony szukają winowajców, przepędzając wszystkie ptaki i zwierzęta. Klekocą rozżłoszczone, trzaskają dziobami, wlatując na wysokość strąconego gniazda. Nie mogą pogodzić się z myślą, że gniazda nie ma, że maszt złamał się i runął.

Bociany szukają winnych, a chmara kawek, które w podróży na północ przysiadły na resztkach masztu, to właśnie poszukiwani winowajcy.

– Odlatujemy! – krzyczę, a Kea, Mi i wszystkie kawki powtarzają to hasło, sygnał, polecenie. – Odlatujemy!

Białoskrzydła Kea leci blisko, słyszę szum wiatru w jej piórach. W tłumie ptaków jesteśmy sobie najbliżsi. Inne kawki też lecą parami, starając się nawet tu, blisko chmur, okazywać sobie uczucie i dodawać sił. Wierzmy, że dolecimy tam, dokąd wzywa nas zew ptasiego losu. Tam, gdzie Kea złoży jajka, a ja będę pilnował jej spokoju. Pode mną frunie Mi. Odchyła głowę. Nasze oczy spotykają się.

Wszędzie krążyły wilki. Snuły się po placach i ulicach polując na słabsze zwierzęta. Obawiały się tylko ostrych pazurów rysi, które czaiły się w gałęziach drzew i atakowały z nich sarny i zające.

Im dalej na północ, tym lasy stają się gęstsze. Rośliny powoli opanowują miasta. Drzewa i krzewy rosną na dachach, wyrastają ze szczelin w murach, rozsadzając je korzeniami.

Krążyliśmy nad położonym na równinie miastem, którego wysokie wieże błyszczały z daleka.

Na poddaszach najwyższych domów mogliśmy znaleźć bezpieczny nocleg. Tam, na szczytach położonego na równinie miasta, założymy gniazda.

Nagle rozległy się gniewne głosy orłów, sokołów, jastrzębi. Leciąły wprost ku nam w poszukiwaniu łatwej zdobyczy.

Dostrzegłem, że dachy pokrywają potężnie spiętrzone gniazda, złożone z gałęzi, włosia, liści. Gniazda orłów... Gniazda sokołów i kań... Gniazda jastrzębi... Nawet z rozbitych okien wylatywały rozbudzone naszym przylotem drapieżniki.

– Niebezpieczeństwo!

Zanurkowałem wiedząc, że na szarzielonym tle moja ciemna sylwetka jest mniej zauważalna. Leciąłem nisko, a za mną mknęły Kea i Mi oraz ciemna chmura przerażonych ptaków.

Sokoły, kanie, pustułki chwytają w szpony te nieostrożne ptaki, które wysunęły się na czoło, a zmęczone długim lotem nie dostrzegły w porę niebezpieczeństwa.

Leciałem pod olbrzymią ptasią chmurą, która nie zdążyła jeszcze zawrócić, rozpierchnąć się, uciec.

Jastrząb z rozłożonymi skrzydłami chwytą młodą, roczną wronę, zaciska szpony na jej grzbiecie, wbija pazury głęboko, aż do serca.

Złocista kania łapie w pazury gawrona, który pochopnie wysunął się wyżej, niż należało.

Uderzeniem dzioba przetrąca mu kręgi szyi. Przez chwilę słychać krzyk. Krople krwi spadają jak czerwony deszcz.

– Miasto jastrzębi! Uciekajmy! Miasto jastrzębi!

Ostrzeżenia giną w zamieszaniu, panice, przerażeniu. Purpurowe słońce świeci w oczy, oślepia i paraliżuje. Skręcam na północny wschód, a ciemna chmura ptaków umyka za mną.

Uciekamy, zostawiamy za sobą błyszczące purpurą miasto drapieżników.

Korzystają z naszego zmęczenia, z nadchodzącej senności i ścigają nas, porywając najśłabsze i najmłodsze ptaki.

Z lękiem szukamy miejsca na sen.

Wokół coraz bardziej szaro, niemal ciemno.

Zmierzcha. Wyczuwam chłodny, wilgotny wiatr zwiastujący olbrzymią wodę, morze lub jezioro. W półmroku majaczy biała krawędź i jasny pas plaży. Skręcamy na wschód.

Mroczna ściana lasu przyciąga ciszą i spokojem. Wysokie drzewa, konary.

Krzyczymy ze szczęścia, że żyjemy, że uciekłyśmy z tamtego miasta.

Siadamy na gałęziach i dopiero teraz dopada nas porażający głód, jaki zawsze odczuwają wędrowcy po długim locie.

Nasz zgietk zagłusza nawet dalekie krzyki puszczyka zdziwionego nagłym pojawieniem się tylu obcych. Ten puszczyk nie będzie tej nocy tropił nornic i jeży. Napęlni swój żołądek mięsem i krwią śpiących ptaków.

Zasypiamy zmęczone. Śpimy przytulone do siebie w szeregach, na gałęziach wysokich drzew. Skrzydłami wyczuwam bicie serc Kei i Mi. Walczę z sennością słuchając gasnących głosów, szeptów, szmerów. Krzyki sów przebijają się przez ogarniającą mnie mgłę. Wtulam głowę między skrzydła i zwieram pazury na twardej korze. Jej twardość i szorstkość dodaje mi pewności, że zachowam równowagę i nie spadnę.

Budzi mnie zajadłe wycie, naszczekiwanie, skowyt. Wilki osaczyły łanię tuż pod naszymi drzewami. Księżyc oświetla walkę cieni, blask zębów i oczu. Charkot konającego zwierzęcia, uderzenia racic, jęk, chłęptanie krwi z rozdartej szyi. Wilki warczą, wyją, rozszarpują umierające zwierzę. Dobiega nas zgrzytanie zębów i chlupot krwi wylewającej się na ściółkę.

Tu, wysoko, za chropowatą powierzchnią gałęzi pod łapkami, jestem bezpieczny. Dotykamy się dziobami z Keą i Mi.

– Nic nam nie grozi – kraczę sennie. – Nic nam nie grozi.

Brzask otwiera mi oczy. Przeciągam się, prostuję skrzydła i nogi, obracam szyję, ziewam.

Trwa poranny zgiełk. Wokół padliny czuwają obżarte wilki. Leżą myjąc łapy i łypiąc przekrwionymi oczami, czy nikt nie rusza ich zdobyczy.

Ból w żołądku każe mi szukać jedzenia. Odrywam się od gałęzi i lecę ku szarym chaszczom pokrytym kroplami rosy.

– Jeść! – krzyczę.

– Jeść! – krzyczy krążąc wokół ptasia chmura.

Przeszukujemy gałęzie, wyciągamy spod kory larwy i poczwarki.

Rozgrzebujemy ściółkę, rozgarniamy igliwie, zanurzamy dzioby w piachu szukając młodych gryzoni, uśpionych chrząszczy i dżdżownic.

Zapierając się nogami w śliskim igliwiu, podważam ciężki kamień. Razem z Keą i Mi wyjadamy śpiące wije i stonogi. Pożeram nawet wyschniętą ćmę wczepioną w załamanie kory. Znajdujemy cierpkie owoce jarzębiny, rozmiękłe kłaczka trzciny. Wbijam dziób w skostniałą żabę, nie przebudzoną jeszcze z zimowego snu. Słońce dźwiga się nad lasem, przegrzewa, wywabia na powierzchnię osy, trzmiele, pierwsze motyle, żuki,

myszy, normice.

Nasycone ptaki zbierają się na rzecznych łąkach do dalszego odlotu. Na wysokim szarym gładzie czekam na spóźnionych.

Kiedy wzbijemy się i będziemy nabierać wysokości, maruderzy przywabieni krakaniem, kwileniem i gulgotaniem oderwą się od swych poszukiwań i dogonią nas w locie.

Kea i Mi, jak zawsze, są obok, korzystają – z wywołanych przez moje skrzydła zawirowań. Czarna chmura odrywa się od ziemi, wznosząc się wyżej i wyżej. Kea i Mi lecą zgodnie nie poszturchując się, nie kłócąc. Biel Kei nikogo już nie dziwi i to ona niekiedy zastępuje mnie na czele wędrówki. Lecimy nad miastami, rzekami, kotlinami, na wschód, wzdłuż widocznej linii morskiego brzegu.

Wieczorem opadamy wśród spurpurowiałych murów, wież, bram rozległego zamku po-chylonego nad leniwie płynącą rzeką.

Ślimaki, owady, polne myszy. Usypiamy z błogo napełnionymi żołądkami. O brzasku odlatujemy ku widocznemu na horyzoncie miastu oplecionemu ramionami rzek i brzegiem morza.

– Zostajemy tu! – krzyczę do Kei, widząc szerokie, masywne mury pełne szczelin i otworów.

– Zostajemy tu! – odpowiadają Kea i Mi.

Świat tej wiosny przeraźliwie spłóciał i poszarzał.

Większość tych kawek, gawronów, wron prowadziła dotychczas osiadły tryb życia. Nigdy nie podróżowały dalej niż nad pobliskie ciepłe morze. Teraz, po trzęsieniu ziemi szukały nowych siedlisk na wschodzie i północy.

Zgniłozielone łąki, rozlewiska, błota, niskie mroczne lasy, wciskające się coraz głębiej w chłodne, wilgotne miasto – przytłaczały poczuciem lęku i niepewności.

Słońce grzeje tu słabiej, chmury są niższe i ciężkie od wody, częściej padają deszcze, noce są zimniejsze, a wiatry bardziej porywiste.

Nie ma suchych wapiennych i kwarcowych skał, tylko równiny porośnięte zbitym gąszczem traw i zarośli, wśród których niekiedy trudno

znaleźć dość miejsca, aby swobodnie rozprostować skrzydła.

Większość murów jest wilgotna, pokryta zaciekami i pleśnią.

Rzeki rozlewają się szeroko, przelewają przez tamy, zabierają brzegi, powalają nawet naj-starsze drzewa.

Woda jest przejmująco zimna. Lecimy na wschód, przelatujemy nad wybrzeżem, szukając obfitszych źerowisk. Dogodne, osłonięte miejsca na gniazda są zajęte przez wcześniejszych przybyszów. Czarna chmara maleje, bo jednak wiele ptaków musi przerwać podróż. Niektóre samice gubią już jajka w locie.

Spieszmy się. Widzę, jak Kea połyka odłupane z muru grudki wapna.

Dalej, dalej... Wieże na horyzoncie znowu zajęły jastrzębie i sowy. Brzeg morza wygina się łukowato, obejmując rozległe siedziby bezskrzydłych.

W starej wieży gnieźdzą się mewy i rybitwy. W ścianie nad zwisającymi na belkach dzwonami odkrywam głęboką szczelinę zakończoną szerszym pomieszczeniem, zamkniętym siatką... Jastrząb ani sowa tu nie wtargnie, a wejścia mogą bronić sam. Mieszkające tu wiosną ptaki wystawiały gniazdo gałązkami, trawą i sierścią.

- To nasz dom! - obwieszcza Kea, stając nad dzwonami.

- Nasz dom i każdy, kto tu wtargnie, pożałuje!

Znosimy do gniazda wszystko, co wydaje się nam potrzebne. Kea kładzie się wygodnie.

Przytulam się do niej. Z półmroku dochodzi cichnące wołanie osamotnionej Mi.

Czy wszyscy bezskrzydli wymarli? Czy nikt nie ocalał? Czy ich już nie ma? Czy wyginęli do ostatniego? Czy ukryli się w podziemiach?

Sądziłem, że posągi, wśród których fruwałem, to bezskrzydli, którzy skamienieli, znieruchomieli, zastygli zimni i nieczuli. Wierzyłem, że ich ciała zamieniły się w chłodne, pozbawione krwi kamienie.

Wiele posągów jednak ma skrzydła, dlaczego zatem nie znalazłem szkieletu ze skrzydłami?

Na szczycie wyniosłej, wspartej na kolumnach kamiennej bramy bezskrzydli umieścili pędzące konie, sterowane lejcami przez jednego ze swych przewodników.

Siadam na jego białym czole i zastanawiam się, po co to zrobili? Po co umieścili konie tam, gdzie zwykle siadają ptaki?

To samo robili z rybami, jeleniami, wilkami, lwami. Widziałem tyle posągów, których znaczenia nie pojmuję.

Czyż to nie dowód ich zazdrości? Goryczy, że nie mieli skrzydeł? Czy te próby uskrzydlenia kamienia nie wynikają z zawiści? Uskrzydłali siebie, smoki, konie, ryby... Czyż nie po to, by zbliżyć się do nas?

Dlaczego wznosili swe siedziby coraz wyżej? Czyż nie po to, by podpatrywać nasze obyczaje, nasz sposób budowania gniazd? Zazdrościli nam, koniecznie chcieli nas poznać i zrozumieć, stać się nami.

Nie mieli piór, nie mieli puchu, nie mieli skrzydeł. Podziwiam siłę i spryt, które pozwalały im dźwigać tak wysoko kamienne posągi, tylko po to, by pokazać nam, że oni też potrafią, też mogą się wznosić.

Dążenie wwyż, ku naszym szlakom, ku wysokości naszych lotów świadczy, że wiedzieli lub przeczuwali, iż najwyższy przewodnik: Bóg – jest ptakiem, Wielkim Ptakiem żyjącym na wysokościach, do których my, zwykłe uskrzydłone istoty daremnie próbujemy wzlecieć.

Przeskakuję z głowy bezskrzydłego na głowę uskrzydłego rumaka. Pokryła go zaschła skorupa naszych odchodów. To znak, że zastygłe, nieruchome posągi nie żyją. Czyż inaczej nie wyczyściłyby swych ciał? Nie wytarły swej skóry? Czy znosiłyby spokojnie grubą powłokę cuchnącego błocka? Przypominam sobie noc, kiedy spadały na mnie grudki kału siedzących wyżej ptaków. Czy bezskrzydli znieśliby taką ulewę? Patrzą w martwe oczy posągów. Nie żyją. Na pewno nie żyją. Tylko czy na pewno już ich nie ma? Może przetrwali?

Może schronili się w głębokich murach?

Przelatywałem nad bagniskiem porośniętym sitowiem, ścigając się z nisko lecącą rodziną dzikich kaczek. Świst, jakby rozcięcie powietrza, i skrzydło lecącego przed tobą kaczora pokryło się krwią. Usiłował jeszcze

lecieć, lecz spadł między wyrastające z rozlewisk opalone kikuty olch.

Wydało ci się, że między drzewami rozróżniasz pochylone, dwunożne istoty. Czy byli to bezskrzydli? Może tylko cienie w splątanych gałęziach? Może pochylone pnie? Może słońce odbite w mokradłach?

A suszące się skóry zwierząt, zwisające z gałęzi? Kto obdarłby tak lisa z futra? Kto dałby radę wilkowi, by wraz ze skórą pozostawić rozwarte szczęki o ostrych zębiskach, błyszczących w słońcu?

Czy bezskrzydli przetrwali? Przeżyli? Gdzie się ukrywają? Dlaczego? Może są i tu, w tym północnym mieście, wśród betonowych ścian? Może miasto nie jest tak puste, jak sądzisz?

Może bezskrzydli zaszyli się w zaułkach, w piwnicach, na strychach? Może widzą cię w tej chwili? Może zbliżają oczy do szpar i patrzą?

Ostrzegłoby cię krzykiem stado wygrzewających się w słońcu łabędzi. Żubry kąpiące się w rzece... Niedźwiedź wylegujący się wśród kolumn bramy, na której siedzisz... Wilki krążące po ulicach... Orzeł leniwie czyszczący pióra w gnieździe na wieży. Wszystkie stworzenia dałyby ci znać, że oni są, żyją, polują, zagrażają.

Bezskrzydli wyginęli, zniknęli, wymarli. Nie ma ich i nigdy już nie będzie. My, ptaki, stworzymy nasz świat, obejmiemy ziemię szlakami przelotów, traktami naszych wędrówek.

Pokryjemy ją gniazdami, koloniami, ojczyznami. My, kruche, słabe, skazane na uderzenia wiatru, zależne od puchu, piór i dziobów obejmujemy ziemię we władanie.

Lecę ku rzece. Zlatuję z balustrady na owalny kamień wystający ukośnie z powolnego nurtu. Zanurzam dziób. Podnoszę. Woda sływa do gardła. Powtarzam ten ruch, aż do zaspokojenia.

Łapię tłustego pędraka wijącego się między głazami. Połykam, szamoce się jeszcze w moim żołądku.

Czas na drzemkę. Słońce wspina się do zenitu.

Najedzony, rozleniwiony, senny lecę między żółtymi domami ku widocznym z daleka drzewom.

Okna, drzwi, balkony, okna, drzwi, balkony, okna, drzwi, rynny,

bramy, balkony. Wiele rozwartych, wiele zamkniętych. Przez zmatowiałe szyby widać szkielety.

Przeleciałem, minąłem to okno, ten dom.

Jestem daleko, siadam na konarze ocienionym pierzastymi liśćmi.

Czy nie widziałeś na matowym tle szyby poruszającego się cienia?

Podobnego do sylwetek białych posągów? Wracam. Szukam. Daremnie.

W locie nie zapamiętałeś tamtego domu ani okna.

Tylko ruch, gest białej dłoni, jakże podobnej do rąk posągów, na których siadasz.

I oczy olbrzymie, szeroko rozwarte, większe niż oczy Kei. Jasnoblękitne.

Codziennie latamy wzdłuż wybrzeży i rozlewisk. Kea jest spokojna, lecz chętnie trzyma się mnie nawet podczas lotu. A Mi? Już wcześniej zauważyłem, że Mi stała się bardziej nerwowa. Gdy zasypialiśmy na gałęziach, budziła się, kwiliła trwożnie. Gniewała nas jej bezsenność.

Przebudzona dotykała dziobem siedzących obok kawek, a gdy poznawała, że to nie Kro, krzyczała budząc całą kolonię. Wiedziałem, że Mi zawsze usypiała obok Kro, a teraz, gdy budziła się sama, ogarniało ją przerażenie.

Odczuwała potrzebę złożenia jaj. Na samce starające zbliżyć się fukała, prychała, a kiedy to nie pomagało, biła dziobem i pazurami.

Atakowała też inne ptasie matki, które podchodziły za blisko. Tylko ja mogłem się zbliżyć i musnąć dziobem jej kark. Tylko ja i Kea mogliśmy zasypiać przy niej na gałęzi lub wspólnie dzielić szczeliny w ceglany murze.

W czasie lotu Mi trzymała się zawsze Kei i mnie, frunąc w odległości umożliwiającej wzajemną obserwację.

Do obecności Mi byliśmy przyzwyczajeni od początku naszego życia. Wówczas jednak Mi stale przebywała z Kro. Pamiętam, jak wkładali mi do dzioba olbrzymie pędraki chrabąszczy.

Raptownie została sama.

Drzewa górowały nad okolicą. Dzień był ciepły i bezwietrzny. Z

nieba zniknęły złowrogie cienie jastrzębi.

Rozłożyłem skrzydła i nastroszyłem pióra tak, by promienie dotykały skóry. Rozkoszne ciepło płynęło w głąb ciała, do palców zziębniętych podczas długiego lotu. Przymknąłem oczy bliski uśpiania, gdy nagle obok usiadła Mi. Rozłożyła lśniąca skrzydła, otworzyła dziób, a jej niebieskie oczy zamigotały w słońcu. Skrzydło musnęło mnie delikatnie, wywołując przyjemne dreszcze.

Z dołu dolatywał głos Kei polującej na owady zamieszkujące korę dębu. Otworzyłem szeroko oczy i patrzyłem na błyszczący grzbiet Mi, jej błękitne oczy, raz po raz przesłaniane białawą błoną, czarne nogi utrzymujące równowagę na wąskiej gałęzi, a teraz uginające się i z lekka podkurczone. Wyciągnęła dziób i delikatnie rozczesywała puch wokół mojego oka.

Rozkosz. Zastygłem przejęty czułością. Pochyliłem dziób, unosząc wyczekująco głowę.

Znieruchomiałym wzrokiem obserwowałem delikatne ruchy. Mi pieściła mnie, masowała, rozczesywała, docierając dziobem w okolice szyi, gdzie fałdy skórne tworzyły wgłębienia, do których sam nie umiałem dotrzeć dziobem.

Mi znała tajemnice wrażliwych miejsc i wszelkie zakamarki opierzania. Teraz dawała mi rozkosz, jakiej nigdy nie przeżywałem. Mrużyła oczy, wyciągała szyję, unosiła się i przysiadła okazując, że jestem jej wybrańcem.

Ogarniało mnie przejmujące pragnienie. Serce biło szybciej, a uciskające nasienie domagało się wytrysku. Przysunęła się bliżej. Dzioby musnęły się, cofnęły, zbliżyły, rozwarły, zwarły.

- Weź mnie! Chcę być twoja! - mówiła Mi. - Przecież widziałeś, że odtrącałam wszystkich zalotników, gdy ty byłeś przy mnie. Chciałam, żebyś mnie pragnał!

- Pragnę cię! - odpowiedziałem, ściskając czubek jej dzioba. - Pragnałem cię od dawna, ale ty odpędzałaś wszystkich...

Nie dokończyłem. Siedzieliśmy blisko, chwytając się silnie dzo-

bami, przytuleni i szczęśliwi. Mi rozpląszczyła się na gałęzi i wtedy wskoczyłem na jej naprężony grzbiet i łopocąc skrzydłami błyskawicznie doprowadziłem do wytrysku.

Czułem pod sobą ciepło jej piór. Dziób zacisnął się na karku, pazury wbiły w delikatny puch pod skrzydłami, a ze mnie wypływał gorący, miłosny płyn.

Wiedziałem, że czuje mój ucisk, że czeka na ciepło mojego nasienia, że pragnie, jak ja jej pragnę.

Zeskoczyłem, Mi podniosła się, otrząsnęła i ponownie muskała okolice moich uszu.

– Odejdź! Odejdź! – Kea biegła z groźnym błyskiem w oku.

Mi uciekała przed zazdrosną, rozgniewaną Keą. Nieruchomo patrzyłem na Keę, ścigającą Mi. Nagle Mi odwróciła się i groźnie rozłożyła skrzydła.

– Zostaw mnie! – otworzyła dziób, przekrzywiając głowę.

– Odejdź! – Kea powtórzyła już znacznie łagodniej.

Zatrzymała się i przez chwilę potrząsała głową, pusząc się i fukając.

Gniew malał, a zazdrość wobec Mi, którą Kea знаła od dawna, nie mogła go długo podsycać. Po chwili zaprzestały gróźb i powróciły do mnie, udając, że się wzajemnie nie widzą.

– Jesteś mój! – Kea ostentacyjnie ocierała się o mnie skrzydłem. – Tylko mój!

Szukałem samotności. Gęsty jesion wydawał się przytulny, zaciszny, bezpieczny. Z korony dochodziły stukania dzięciołów, a po pniu wśród bruzd, blizn i garbów uwijały się maleńkie pełzacze, wyławiające z załamania kory pająki, wije i świerszcze. Z oddali dochodziły nawoływania sójek, pochrząkiwanie dzików i łosi.

Z mojej gałęzi widziałem kraniec lasu i rzekę wijącą się wśród bagien. Z rozlewisk wystawały kikuty dawnego miasta. Zatopione w błocie, pokryte szlamem próchniejące i omszałe mury, przekrzywione wieże, zarzewiałe żelazne koguty i resztki miedzianych blach. Dalej – stalowe krę-

gi błyszczące matowym światłem, stada mew, wydrzyków i rybitw stale skłócone, porywające sobie pisklęta i jaja.

Przysnąłem rozmarzony ciepłem i słońcem przeświecającym przez drobne jasnozielone wiosenne listki. Cienie przesunęły się po powiekach. Otworzyłem zaspane oczy.

Dwa stare kruki usiadły na konarze i gorliwie czyściły pióra. Srebrne łuski i puch spadały jak deszcz.

Nie dostrzegły mnie wtulonego we wnękę między konarem a pniem. Siedziałem cicho, przeczuwając, że przepędziłyby mnie natychmiast ze swego rozłożystego drzewa.

Nie bałem się gawronów, wron, srok, lecz kruki przerażały mnie wielkością, ostrością pazurów i siłą dzioba, któremu ulegały nawet twarde skorupy orzechów.

Ptaszyska ostrzyły dzioby o korę. Wyczuwałem ich niepokój.

– Czy tamci nie wrócą? – krakał samiec.

– Nie wrócą, ich już nie ma. Czy nie pamiętasz, jak sam objadałeś ich kości?

– Mogą wrócić. Chciałbym, żeby wrócili. Zadrzałem. Kruki mówiły o bezskrzydłych. Czy to możliwe, by stare kruki pamiętały?

– Oni są, nadal są! – krakał samiec.

Nie tylko ja podejrzewałem, że bezskrzydli przetrwali. Gdzie? Kiedy? Czy nie opuszczają swych siedzib?

Na przeciwległym drzewie zamigotała kita wiewiórki i kruki rzuciły się w gęstwinię. Szamotanie i rude futerko, przytrzymywane pazurami, drży na gałęzi. Kruki wyjadają oczy i mózg. Po gałęziach ścieka krew z odewanej głowy. Spadają okrwawione kępki sierści. Kruki ziewają. Gdyby mnie wykryły, mógłbym podzielić los wiewiórki.

Uderzenia racic, sapanie, zmęczony oddech. Pod drzewem prze-myka jeleni o świetlistych, omszałych porożach. Jakby płonęły...

Przeskakuję na niższy konar. Staję przed szeroką dziuplą. Nie ma białych plam odchodów?

Dziupli nie zamieszkują ptaki? W starych drzewach wiele jest za-

kamarków, wgłębień, otworów, w których można się ukryć. Może to dawne, opuszczone gniazdo kruków?

Wśród liści i opadającego próchna siedzi szary zarys szkieletu. Dlaczego w zacisznym pomieszczeniu, wśród nierówności i sęków, nie ma nietoperzy?

Przyzwyczajam się do półmroku. Z krawędzi patrzę w głąb ciemniejącej niszy.

Ostry, przenikliwy syk. Spod skrawków kory wyłania się spłaszczony łeb. Szelesty. Węży jest więcej. Odskakuję. Przelatuję kilka konarów wzwyż. Przywieram do gałęzi, dyszę z prze-strachu.

Leżę na szerokim konarze i słucham bicia własnego serca. Otwieram szeroko dziób i chwytam pełznącą liskę. Wypuszczam z niesmakiem. Gorzka, cuchnąca ohyda. Szmer skrzydeł, krakanie, podmuch opadających kruków. Osaczyły mnie grubymi, czarnymi dziobami i patrzą na intruza ze zdziwieniem.

– Tu wszystko jest nasze! Czego tu szukasz?

– Uciekaj! – krzyczy samica.

– Przyleciałem z daleka i odpoczywam – patrzę na nich błagalnie.

Kruki oglądają moje lśniące granatowosrebrzyste pióra, czarno – siwą głowę. Przerażają mnie ich błyszczące oczy i grube nogi.

– Nie chcę u was zostać – tłumaczę. – Jestem zmęczony i dlatego siedzę na tej gałęzi.

Kruki oglądają mnie, oceniają, taksują. Gdybym był większy, wypędziłyby mnie już dawno, ale ja jestem jak sójka lub sroka. Nie zagrażam im i wiedzą już o tym.

Nie przepędzają mnie, lecz śledzą każde moje spojrzenie, każdy odruch i poruszenie.

Niespokojna myśl, odległa pamięć. Myśl, pamięć i ociążałe kruki, poplamione krwią pożartej wiewiórki. Myśl o tym, co może zagrażać. Pamięć o tym, co zagrażało w przeszłości.

Dzioby i pazury czarnych ptaków. Tyle śmierci wokół, tyle lęku na gałęzi spróchniałego i powoli usychającego jesionu.

Nie czekaj! Przygniotą cię do gałęzi pazurami, przyszpilą dziobem, oślepią, poranią, zabiją! Uciekaj!

Nie ma tu innych ptaków, tylko ja i kruki. Patrzę w dół, przez gałęzie widzę dwa brunatne wilki obsikujące drzewo. Patrzą łakomie, aż kulę się ze strachu. Czy zeskoczę między pazury i kły? Dzioby kruków niebezpiecznie zbliżają się do mej głowy. Widzą we mnie własne pomniejszenie, małego kruka. Jestem ich odbiciem.

Siedzę nieruchomo, nieruchomo siedzą kruki, nieruchomy jest jesion, w którego liściach nie słychać wiatru. Nawet słońce znieruchomiało. W prześwicie widzę ciemne liście jemioły, która wdarła się wysoko i wysysa soki z drzewa. Oczy kruków wędrują za moim spojrzeniem.

Obracam się i przeskakuję na sąsiednią gałąź, biegnę po niej aż do pnia i znów widzę dziuplę.

Czyżby tę, w której widziałem węża? Zatrzymuję się na jej krawędzi i w promieniach sączących się z góry dostrzegam wpatrzone we mnie oko.

Świetliste, wielkie, wyzierające z próchna i cienia. Jakby oko bez ciała.

Cofam się, lecę, lecę. Gałęzie otaczają mnie zielonym murem i nie mogę się wymknąć, nie umiem wylecieć z ich kręgu.

Już wydaje się, że za zastoną odnajdę otwartą przestrzeń, przesmyk leśny lub polaną, a to znowu następny konar, następne odgałęzienie jesionu. Czuję, jak słabnę, z każdym skokiem i przelotem jestem coraz bardziej przerażony.

Wyrwałem się spomiędzy kruków, lecz nie umiem przebić zielonej kuli, granicy wytyczonej przez drzewo, które mnie uwięziło.

Wypadam na gałąź, z której uciekłem, wpadam między nieruchomo oczekujące kruki.

Siedzę skulony, zatrwożony, jakbym nie okrążył jesionu w panicznej i daremnej ucieczce, która przywiodła mnie w miejsce, z którego uciekłem, między prześladowców, których tak się boję. Kruki patrzą sennymi starymi oczami.

Źrenice zwężają się, ogarnia mnie senność, senność silniejsza niż

strach.

Kiedy się obudzisz, nie będzie kruków, tylko ciemne listki jemioly poczernieją w nadchodzącym zmierzchu.

– Czy jest tu kto? – krzykniesz dla dodania sobie odwagi.

Cisza. Nawet liście nie szeleszczą.

– Czy jest tu kto? – powtórzysz.

Skoczysz w zieloną gęstwinę. Prześlizniesz się między cienkimi gałązkami i wylecisz na kraniec lasu ku rzece błyszczącej w słońcu.

Będiesz leciał, jakbyś uciekał, chociaż nikt cię nie goni. Będiesz przyspieszał nie tyle z obawy przed krukami i wężem, co z nadzieją, że zobaczysz Keę, Mi i wszystkie kawki, które przyfrunęły tu wraz z tobą z południa. Zwielokrotnisz ruchy skrzydeł, zmrużysz oczy, by zmniejszyć ucisk powietrza, dziobem będziesz rozrywał wiatr, jakbyś rozcinał delikatną tkanę.

Kea, Kea o białych skrzydłach jest tam sama! Co będzie, jeżeli nagle zauważą jej inność?

Boisz się o nią...

– Szybciej do swoich.

Jesteś nad rzeką. Chrapanie, krzyk przerażenia. Mewy wydziobują oczy jeleniowi. Siadają na porożach, a on usiłuje strącić je w fale. Osa-czają go białe skrzydła. Woda zalewa płynący tułów, kopyta raz po raz wydobywają się z wody, zamierzają na ptaki, które uderzają dziobami w zakrwawione oczodoły.

Na niesionym przez fale grubym pniu szamoce się kot o spiczastych uszach. Boi się. Nie umie pływać.

Lśniące z oddali zbiorniki teraz, gdy zbliżasz się do nich, okazują się matowe i osmalone uderzeniami piorunów. Ze szczelin sączy się ciecz, ulatnia się gaz i odór, które nawet ty wy-czujesz swym słabym węchem.

Lecisz na wschód, równoległe do rzeki.

– Kea, Mi, gdzie jesteście? – rozkrzyczysz się z wysoka, wpatrzony w szarzejący horyzont i coraz bardziej ukośnie padające promienie słońca.

Zaczniesz się bać, nie kruków, nie węża, nie jesionu – pułapki, lecz

nadchodzącej ciemności, znaków nocy, następnej nocy wśród obcych, w nie znanych przestrzeniach.

Będiesz leciał wołając, wzywając, przyzywając. W dole dostrzeżesz biały cień wygłodniałej sowy, która bezszelestnym lotem zdąży na żerowisko. Ogarnie cię strach, panika. Niepewny kierunku, celu i własnych sił wołasz z nadzieją, że usłyszysz odpowiedź.

Gdy stracisz wszelką nadzieję powrotu i zaczniesz szukać schronienia, w którym mógłbyś ukryć się przed kolejną samotną nocą, usłyszysz szum skrzydeł i wiele zwołujących się głosów.

Dostrzeżesz zbliżający się ciemny obłok z białą gwiazdą na czele, lecącą ku tobie. Otoczą cię gawrony, wrony, kawki i muskając skrzydłami, kracząc, ciesząc się i potracając wyniosą na czoło, na szpicę.

Jesteś przecież ich przewodnikiem. Ty wiesz dokąd i po co, gdzie i dlaczego.

Wysłuchasz się w szum nieogarnionej rzeszy skrzydeł i będziesz szczęśliwy.

Jesion, kruki, wąż, wilki i jeleni wydadzą ci się odległym, nieistotnym zdarzeniem, drzemką starego ptaka.

Kea niszczyła jajka Mi, a także innych kawek, które zakładały gniazda w pobliżu.

Wyczekiwała, aż wysiadujące ptaki wylatywały, by schwytać jakąś osę, muchę lub rozgrzać się w słońcu. Wystarczyła chwila. Cicho i niezauważalnie wpadała do obcego gniazda i uderzeniami dzioba rozbijała skorupki. Potem błyskawicznie rozsiadała się w swoim gnieździe i z pozornym spokojem obserwowała przerażenie i gniew powracających.

Z jaj Mi pozostały tylko dwa, które wysiadywaliśmy teraz na zmianę. Kea pokrzykiwała zazdrośnie, rozdziawiając dziób w naszą stronę. Te jaja przetrwały. Bronilem ich, zagradzając Kei drogę nastroszoną piersią, pazurami i dziobem.

Chciałem, by między Keą i Mi zapanowała przyjaźń, ale im częściej Mi ustępowała, tym napastliwsza stawała się Kea. Zazdrość, przytulenia, pocałunki, pieszczoty, dotyki, wyczesywanie, pocieranie skrzydeł. Kea z

krawędzi muru oddzielającego gniazda wpatrywała się w nas z nienawiścią.

– Chodź tu! – wrzeszczała. – Zostaw ją! To mnie powinieneś pieścić! Tylko mnie! Chodź!

Mi nie zważała na wrzaski, starając się najdokładniej oczyszczać puch na mojej szyi, karku i piersiach. Odpowiadałem jej wygładzaniem, poszcypywaniem, rozczesywaniem.

– Odleć! Jesteś tu obca! Wynoś się! Bo zabiję! – groziła Kea, a Mi udawała, że nie słyszy.

Tymczasem Kea obwieszczała nam i światu swe rozgoryczenie, zazdrość i rozpacz.

Kiedy przylatywałem do niej, starała się wyładować swój ból w najbardziej gwałtownych i namiętnych pieszczotach. Niespokojny odsuwałem głowę, bojąc się, że w miłosnym uniesieniu wydlubie mi oko.

Pieściła nawet moje nogi i szczyty skrzydeł, zatracając się w czułości, pragnieniu, podnieceniu.

Przeżywałem niezwykłą rozkosz, wskakiwałem na jej grzbiet, przytrzymywałem za puch na karku i wzmagając napięcie skrzydłami wyrzucałem nasienie.

Kea mrużyła oczy ze szczęścia, a później okrążała mnie, kroczyła na usztywnionych nogach, dumnie wznosząc głowę.

Mi nigdy jej nie zazdrościła. Rozglądała się błękitnymi oczami, szeroko rozkładając skrzydła nad gniazdem. A kiedy zasypialiśmy z Keą przytuleni, Mi wtulała głowę w miękkie mech i również usypiała.

Wkrótce pod skorupkami jaj wyczuwaliśmy bijące serca piskląt. Kea i Mi przestały opuszczać gniazda. Krążyłem teraz między nimi a światem, przynosząc owady, gąsienice, owoce, kłaczka, nasiona i wszystko, co mogło być w gnieździe potrzebne.

Gdy wreszcie pękła skorupka pierwszego lęgu w jej życiu, Kea dokładnie rozdzieliła spękane jajko, uważając, by ostre krawędzie nie uszkodziły pisklęcia. Wyrzuciła skorupki, zasiadła na ślepym, nie opierzonym pisklaku, otulając go puchem piersi. Zachwycona muskała dzo-

bem pozostałe jaja, wsłuchując się w dochodzące z nich odgłosy. Słuchałem tych ledwie wyczuwalnych ech, dobiegających z zielono – brązowych podłużnych owali. Pisklęta muskały dziobem i pazurkami błonę wyściełającą wnętrza jajka, napierały kabłąkowatymi kręgosłupami, przesuwały się, zbierając siły przed ostatecznym natężeniem i rozbiciem krępującego pancerza.

Następny ciemnoróżowy dziób zamigotał w otworze skorupki i Kea rozkrzyczała się ze szczęścia. Wyciągnęła ostre resztki spod pisklęcia i odrzuciła do krawędzi. Mi podbiegła, chwyciła skorupkę i wyrzuciła na zewnątrz. Jej jaja pękły równocześnie z pierwszym jajem Kei i dwa nieopradne pisklaki leżały teraz w gnieździe.

Przynosiłem jedzenie pisklętom w obu gniazdach. Wylatywałem przed świtem, łapałem ćmy, komary i kałużnice, które od razu dostarczałem wygłodzonym pisklętom. Kiedy pojawiałem się w gnieździe, widziałem wytrzeszczone oczy Kei i Mi.

– Chodź tu! – prosiła Kea.

– Chodź do mnie! – wzywała Mi.

Kiedy podbiegałem do Kei i rozdawałem kawałki dżdżownicy lub smacznego kłącza, widziałem gniewne spojrzenia Mi. Kiedy podfruwałem do Mi, Kea groźnie stroszyła pióra i potrząsała dziobem. Zostawiałem jedzenie i wyfruwałem. Tak trwało do południa, do chwili, kiedy zarówno Kea, jak i Mi uznawały, przeważnie równocześnie, że powinienem je zastąpić w ogrzewaniu i wysiadaniu piskląt. Siadałem więc raz w jednym gnieździe, raz w drugim, starając się uciszać szeroko rozwarte, żółte dzioby własną śliną i resztkami na wpół strawionych chrabąszczy i nasion, wydobywanych z głębi żołądka. Z drugiego gniazda dobiegały wówczas skargi, odgłosy niezadowolenia i groźby.

Czekałem niecierpliwie na powrót którejkolwiek samicy, by nieco odpocząć. Z każdym dniem czułem się bardziej zmęczony i coraz częściej zapadałem w drzemkę. Odlatywałem ku kępie pobliskich topoli i usypiałem w gałęziach, kołysany poszumem liści. Szukałem samotności, ciszy, oddalenia od zgiełku gniazd, samic, piskląt. Teraz rozumiałem, dlaczego

tak często spotykałem dojrzałe kruki, gawrony i kawki ukryte w zacisznych niszach, dziuplach, gęstych koronach drzew, siedzące na złamanych pniach, zaszyte głęboko w listowiu, ukrywające się na poddaszach.

Te ptaki chciały być same. Półprzymknięte powieki rozwierające się przy byle szeleście, nastroszony puch na głowach i płaszczu skrzydeł wskazywał, że chcą pozostać nie zauważone.

Patrzyły z wrogością i często przepędzały mnie, oburzone, że ośmieliłem się naruszyć ich samotność, przerwać ciszę, w której usiłowały odpocząć. Siedząc między ścianami zieleni z podobną niechęcią słuchałem odległych głosów kawek, szumu skrzydeł ptaków czy pobekiwań jeleni.

Byłem szczęśliwy, że nikt mnie nie dostrzega i nie szuka, a jednocześnie wiedziałem, że chwile błogiej samotności nie mogą trwać długo, że skończą się nagłym krzykiem ptaka, intruza, żadnej mięsa pustułki lub skradającego się po konarze płowego kota, których pełno w okolicy.

Otwieram oczy, przeciągam się, ziewam, patrzę w dół, na brązowe kopce mrowisk, które rozsadziły płyty ułożone tu przez bezskrzydłych.

Z wysoka dobiegają głosy szczygłów karmiących pisklęta. Z płytkiej dziupli raz po raz wyglądają drobne żółtodziobe głowy.

W gnieździe pod szarymi krokwiami dachu Kea i Mi oczekują mego powrotu.

Przymykam oczy i przez dłuższą chwilę wydaje mi się, że jestem na południu, w moim mieście, siedzę na baldachimie i obserwuję refleksy słońca na kolorowych ścianach.

Tęsknię. Czuję się obco wśród wichrów, chłodów, deszczów i nagłych zmian pogody, wilgotnych cegieł, zapleśniałych ścian.

– Co tu robię? Dlaczego tu przyleciałem? – skarżę się wśród obcej, ciemnozielonej gęstwiny, przez którą przeświecają ciężkie, pełne wody chmury, wypełniające horyzont aż po krańce.

– Trzeba wracać! – przekonuję sam siebie.

– Nie możesz, dopóki nie odchowasz piskląt. Dopiero wtedy wrócisz.

Powieki znowu stają się ciężkie. Zapadam w półsen. Skrzeczenie, głośny, donośny wrzask srok. Skaczą po sąsiednich gałęziach, kłócą się, biją, przeganiają, wrzeszczą. Są większe i bardziej puszyste od srok, którym tam, na południu, przewodzi Sartoris. Udają, że mnie nie widzą.

Ściga mnie jazgot, charkot kłótlivej biało – czarnej czeredy. Żałosny krzyk szczygła wskazuje, że sroki wdarły się do dziupli pod sękiem i porywają pisklęta.

Rozkładam skrzydła i pozwalam, by wiatr kołysał mnie, podbijał od dołu, szeptał w piórach, przeczesywał puch, chłodził podkulone stopy.

W półśnie krążę nad głębokimi wąwozami ulic, rozpadającymi się mostami, nabrzeżami porośniętymi trawą i cherlawymi drzewami, wciśniętymi w szczeliny, dziury, załomy.

Przymykam oczy i pozwalam nieść się w stronę niebieskosiwej płaszczyzny morza. Przez ciemnogrnatowe chmury przebija słońce, ogrzewając szczyty moich skrzydeł.

Jestem szczęśliwy. Olbrzymie czerwone ptaki wirują w źrenicach. Przypominają tamte wysmukłe, długonogie, wyniosłe, o ciężkich błonia-
stych dziobach, które szybowaly nad moczarami, gubiąc drobne ryby i skorupiaki. Przypominają też kruki, ich wydłużone szpony i zakrzywione dzioby do rozbijania i rozszarpywania zdobyczy.

Gdzie widziałem te ptaki? W świetle przebijającym się przez otwory w olbrzymiej kopule?

Nad morzem, gdy zwartym kluczem ciągnęły wzdłuż zatoki? Na wizerunkach pozostawionych przez bezskrzydłych? W odległym lesie, w którym spotkałem jelenia o świetlistym porożu? Na jawie czy we śnie?

Nie przypomnisz sobie? Nie wiesz, nad jaką rzeką, brzegiem czy wzgórzem? Nie przypomnisz sobie, gdzie widziałeś czerwone ptaki lecące wyżej i dalej niż ty kiedykolwiek doleczysz? Dokąd wtedy frunęły, tak piękne, że je zapamiętałem?

Już nie ptaki, nie skrzydła, nie świetliste krezy wokół szyi, nie wydłużone szerokie ogony drzące w powietrzu... Już nie ptaki, lecz płomienie krążą pod powiekami, wypełniają purpurowym żarem mózg. Widzę pod

sobą i przed sobą krwawą plamę podwójnego słońca – odbitą w morzu i rozwierającą się przed moimi oczami na zachodzie, gdzie zniósł mnie wiatr. Spodziewałem się ciepła, lecz jakże przerażająco chłodne są zachodzące promienie, kiedy już nie grzeją.

Krzyczę. Zawracam ku ciemnej linii brzegu, spurpurowiałym wieżom i domom, które wyglądają, jakby pochłaniał je pożar. Gwałtownie uderzam skrzydłami, by pozostawić za sobą tę lśniąca, pulsującą kałużę krwi i zimne słońce, które niebawem zanurzy się w ciemniejących falach.

Strach przynagła, dodaje sił, każe coraz szybciej walić skrzydłami... Strach w sercu, w mózgu, w trzewiach, w oddechu.

Szybciej, by zdążyć do gniazda przed ostatecznym zniknięciem w morzu czerwonej tarczy.

Szybciej, by nie wpaść w obezwładniającą lodowatą wodę. Widzę Keę i Mi czekające w gniazdach, wyciągające głowy ku wlotowi, wskakujące na gzymy, krokwie, krzyczące, skarżące się, przywołujące.

Serce wyrwie się za chwilę z piersi. Wiatr znosi w bok zgubione pióro, które wiruje opadając ku ciemniejącym falom.

– Chcesz żyć, musisz dolecieć! – krzyczę pędząc ku gasnącym wieżom miasta.

Nie zwalniam nad błyszczącą linią brzegu. Pędzę jakby ścigał mnie jastrząb, jakby czerwień za mną była drapieżnym ptakiem, a nie zachodzącym słońcem.

Przelatuję nad lasem i spokojną wodą kanału, obok kamiennej wieży, skąd dobiegają pokrzykiwania usypiających pustulek. Nurkuję między śniade dachy domów.

– Jestem! – krzyczę wpadając przez okrągły otwór w dachu. – Jestem!

W półmroku widzę, jak Kea i Mi śpią obejmując skrzydłami pisklęta. Ziewają rozbudzone, przeciągają się, patrzą zaspanymi oczyma, stroszą piórka na szyjach, drapią się w głowy.

– Dlaczego nas budzisz? – mówią niezadowolone. – Śpijmy!

Usypiają. Z rozwartym dziobem, z lękiem przed tym, co mogło mnie

spotkać, siadam na belce nad gniazdami i czuję, jak moje nogi rozsuwają się ze zmęczenia. Przywieram do szerokiej, chłodnej powierzchni.

Serce bije, bije aż do bólu, chociaż nie ma już zimnej purpury słońca, zakrwawionych fal, wichru uderzającego z boku i odległości, wobec której jestem tak niepewny siebie.

Ziarna spadały na wyschniętą glebę, skrzętnie zbierane przez wróble, sikorki, szczygły, pliszki... Z długiego lotu zlecieliśmy w złocistą kotlinę dojrzałych, owocujących roślin, płosząc drobne, świergotliwe ptactwo.

Szaroróżowy obłok odfrunął, by zapaść w niskich, nadrzecznych chaszczach.

Nasiona leżą na ziemi, wysypują się z kłosów. Pochylam dziób, otwieram go lekko, a już jest pełen ziarna.

Ze złością patrzę na jedzenie, którego nie mogę wchłonąć. Chodzę po wykłoszonych przygiętych łądygach narzekając, że nie jestem już głodny, że nie zdołam zjeść więcej. Próbuję połykać poszczególne ziarenka, lecz dostaję torsji i zwracam część tego, co połknąłem wcześniej.

- Jestem najedzona, a chciałabym jeszcze jeść - słyszę za sobą głos Mi.

- Dlaczego nie mogę już przełykać? - pyta Kea, unosząc dziób przepelniony ziarnem. - Zostawić tyle jedzenia...?

Gołębie z napęczniałymi wolami spacerują sztywne i wyniosłe, nie mogą odwrócić się ani pochylić. Gruchają z niezadowolenia, raz po raz próbując przełknąć chociaż kilka ziaren. Daremnie. Najedzone wzbijają się i krążą nad nami wypatrując miejsca na nocleg.

Wieczór. Trawy rzucają długie brązowe cienie. Słońce prześwieca między łądygami.

Wzlatuję na pochylony, spróchniały słup.

Pokrywamy brzegi ocieżytałą czarną chmurą.

Zanurzam dziób, podnoszę, woda zalewa gardło, bulgoce w krtani, spływa na ziarno. Słońce zawisa nad zamglonym horyzontem. Lecimy ku wieżom otoczonym rozłożystymi drzewami. Grube konary uginają się, trzeszczą. Część ptaków opada na ciągnące się pod nami sady. Drzewa

stają się czarno – granatowo – szare od skrzydeł. Zmierzch. Szarówka pokrywa okolicę, wspina się aż na purpurowe niebo. Oczy zachodzą mgłą. Cienka błona zakrywa od dołu źrenice. Odwracam głowę i zanurzam ociężały dziób w ciepłych, miękkich piórach.

Z ciemności wyłania się pogodny gaj. Drzewa uginają się od soczystych dojrzałych owoców. Jabłka, gruszki, śliwy, pomarańcze, oliwki, czerwienie, wiśnie, brzoskwinie, winogrona.

Fasola i groch. Dojrzałe słoneczniki obracają się za słońcem. Pędraki, liszki, larwy, muchy, pszczoły, trzmiele... Tyle jedzenia rośnie, fruwa, pełza, łązi.

Cienie... Bezskrzydli, jakich widziałem na ścianach, tam, przed trzęsieniem ziemi. Wy-smukli, pozbawieni sierści i piór, nadzy, różowo – złoci. Wąż zwisa z gałęzi. Zrywają jabłka, wgryzają się w złoto – czerwony miąższ...

Bezskrzydli... Poruszają się, chodzą, odgarniają długie włosy, zbliżają się... Za nimi pojawia się olbrzymi biało-siwy ptak... Orzeł? Kruk? Gołąb? Albatros? Nie spotkałem jeszcze takiego ptaka. Uciekają przed nim, potykają się, upadają, podnoszą, biegną... Ptak ściga ich wśród złocistych traw, kwitnących drzew, jabłoni uginających się pod ciężarem owoców.

Uderza ich plecy lotnymi piórami skrzydeł, dziobem zagraża ich twarzom...

Boją się, krzyczą bezgłośnie.

Kończy się gaj obfitości. Ostatnie gałęzie obwieszane śliwami, gruszkami, granatami.

Ostatnie słodkie winogrona.

Wyschnięta, naga powierzchnia drzewa bez kory, gałęzie bez liści. Szkielety, czaszki zwierząt, ptaków, jaszczurów... Bezskrzydli już nie biegną, wloką się, upadają. Niebieskie oczy zbliżają się do moich źrenic...

To nie bezskrzydli... Kea, Mi, ja... My wypędzeni przez olbrzymiego drapieżnego ptaka o czarnych skrzydłach, zakrzywionym dziobie i przenikliwym spojrzeniu podstarzałego sępa.

Szary cień krąży nad pustynią.

- Uciekajmy! – wołam.
- Uciekajmy! – powtarza Kea.

Otwieram oczy. Ostatnie światełko rozświetla mrok.

Kea i Mi patrzą niespokojnie. Czy mój sen je przebudził? Z bagien dochodzi kumkanie żab, granie cykad, pohukiwanie. Może przestraszył nas krzyk sowy?

Siedzimy wysoko na gałęzi.

- Nic nam nie grozi, nic – pocieszam je i usypiam.

Zbudzi nas chłód poranka i przebijająca się przez gałęzie jutrenka. Światło odbite od białych piór Kei.

Wracałeś łudząc się, że trzęsienie ziemi było snem i zastaniesz wszystko nie zmienione. Z daleka szukałeś znajomych kopuł i wież. Zbliżasz się do miasta i już widzisz, że z życia, o którym marzyłeś, pozostały ruiny, sterczące kikuty, rozsypujące się mury, pochylone drzewa.

Nie ma miasta, do którego chciałeś powrócić, jest miasto, którego się boisz.

Obok Sartorisa i jego zgrai pojawiły się sroki z północy, większe i jeszcze bardziej wrzaskliwe. To one zajęły najlepsze miejsca w mieście.

Sartoris sądził pewnie, że większość przerażonych trzęsieniem ziemi ptaków już tu nie powróci. Po jego zdziwionych spojrzeniach wiem, że mnie poznał.

Rozglądam się szukając odpowiedniego miejsca na nowe gniazdo. Z gmachu zwieńczonego kopułą pozostały jedynie nadwątłone kamienne mury... Chodzę po tych kamieniach opowiadając o tęsknocie za dawnym gniazdem. Mury odpowiadają cichym echem, zagłuszonym przez świergot, ćwierkanie, zawodzenie. Mi i Kea krążą po okolicy szukając jedzenia.

Po spizowym baldachimie została stercząca skrecona kolumna.

Zniknęły szczury przemykające wśród szkieletów. Nie ma nietoperzy otulonych w ciągu dnia skórą błoniastych pokryw. Białe sowy, patrzące olbrzymimi oczami na każdego przelatującego ptaka, też przeniosły się gdzie indziej. Tylko węże rozleniwione ciszą i półmrokiem pełzają wśród strzaskanych głazów.

Zlatuję na spiętrzone gruzy. W ścianach zagnieździły się wróble, sikorki, pokrzewki, słowiki. Wąskie, głębokie szczeliny zapewniają im bezpieczeństwo.

Siadam na ocalonym tronie kolumny. Patrzę w górę szukając na murach śladów tamtego czasu.

- Dlaczego...? - narzekasz. - Dlaczego nie ma mojego gniazda? Kto mi je zabrał? Kto poruszył ziemię? Kto wstrząsnął kamiennymi ścianami? I rozchwiał je aż do upadku? Dlaczego?

Kea i Mi rozumieją skargę. Kea siada najbliżej. Mi krąży wzdłuż ścian, wypatrując tam-tych barw i kształtów.

Pozostało nieco wypłowiałych plam, cokoły, posągi, kolumny... Z pękniętej marmurowej płyty wypłazsa ją syk węża... Ruchliwe sploty do złudzenia przypominają skręcony trzon baldachimu. Mi podrywa się i usiłuje usiąść obok nas, na resztkach kolumny. Kulimy się i Mi wczepia się pazurami w metalowy zrąb.

Dlaczego zatrzęsała się ziemia? Kto zawinił?

Wiatr porusza zwisającymi drutami. Na spiralnie piętrzącym się kształcie dostrzegam zielono - czarne płaskie głowy. Z wysuniętych języków cieknie ślina. Niezdarne, obłe ciała zsuwają się z gładkiej powierzchni.

Mi bije niespokojnie skrzydłami, pozorując lot.

- Dlaczego? Kto?

Krzyk. Sartoris śpi na gałęzi pomarańczowego drzewa. Dlaczego krzyczy przez sen? Oczy ma zamknięte, lecz woła. Nigdy dotąd nie widziałem ptaka tak głośno wołającego z głębi snu.

Co przeraziło go w tym śnie? Zaciekawiony siadam na gałęzi tuż nad nim, strącając przejrzałą pomarańczę.

Patrzy zaspanym, nieprzytomnym wzrokiem. Często podąża naszym śladem, podpatruje, podchodzi, zbliża się, jakby chciał się zaprzyjaźnić.

Nie ufam mu od czasu, gdy widziałem, jak wyrwał serca gołębiom pisklętom. Moje pisklęta również padłyby jego łupem. Przebudzony Sar-

toris patrzy w naszym kierunku.

Lecimy do nowych siedzib, upatrzonych w wysokich blokach z betonu i szkła. Szyby zniszczyło trzęsienie ziemi, rozwalone wnętrza czekają otwarte i nie zamieszkane.

Przeniosła się tu cała kolonia kawek spod kopuły oraz z sąsiednich budynków. W dziobach ptaków widać pospiesznie znoszone pióra, strzępy, skrawki, badyle, gałązki na budowę gniazd.

Strzeliste, szklane budynki wyglądają z oddali jak błękitny las lub pasmo gór. Na przeciwległym dachu para sępów układa wyschnięte gałęzie. Nagie szyje, obciążone czerwonymi koralami, przesłaniają słońce.

Ostrożnie idę długim nie znanym korytarzem. Tu też leżą szkielety.

Kea i Mi lokują się w uchylonych, sąsiadujących ze sobą szufladach wielkiego biurka.

W pobliżu zamieszkało stado gołębi. Przypominam sobie różową gołębicę. Prerażona wstrząsami wbiła się w niebo i odleciała.

Przez wybite okna przyglądam się przelatującym gołębiom. Fioletowo – zielono – czerwony blask piór lśni pod zasłaniającą oczy błoną. Uciekła prerażona? Czy powróciła? Odwracasz się od obcego gołębia, przypominającego tamtą gołębicę.

Kea i Mi razem moszczą się w otwartym pojemniku wysłanym papierem, skrawkami folii, piórami. Są dziś zgodne i spokojne. Wciskam się pomiędzy opierzone ciała, chowam głowę w skrzydło. Powieki opadają... Kea i Mi pieszczą pióra i puch na mojej głowie, karku i szyi.

Dotknięcia są delikatne i dokładne... Przynoszą rozkosz i głęboki sen.

Najdziwniejszy sen...

Z półmroku wpatrują się we mnie szeroko rozwarte świetliste oczy. Nie wyczuwam w nich groźby...

Czy to możliwe? Czy rzeczywiście są życzliwe? Przyjazne? Dobre?...

Czy ten bezskrzydły nie chce mnie zabić ani schwytać? Wysmukły, wyprostowany, okryty brązową zakurzoną tkaniną rozsypuje przede mną ziarno. Ruchami ust i dłoni stara się osłabić moją nieufność. Zaprasza,

bym zbliżył się i jadł. Czy mogę mu wierzyć?

Widziałem go kiedyś, widziałem na wysokiej ścianie... Jeszcze przed zagładą miasta.

– Przyleć do mnie – zaprasza dłonią.

Ptaki lecą zewsząd, zlatują z gniazd i murów.

Jednak boisz się, nie ufasz mu, czekasz, czy nic im nie zrobi.

W końcu, kiedy lecisz ku niemu, wokoło nie ma już nawet ziarenka, bo wszystko zżarło wygłodzone ptactwo.

Skarżysz się, krzyczysz... Patrzysz ze złością w jego jasną twarz czekając, że może jednak dorzuci trochę ziarna.

Bezskrzydły przeszukuje zakamarki swej szaty, lecz nie ma już nic, żadnego ziarenka ani okruchu. Rozkłada puste dłonie. Wydaje się teraz blady i stary. Tylko jego oczy pozostały niezmiennie świetliste.

Ogarnia cię złość, rozgoryczenie. Nie zważając na niebezpieczeństwo lecisz wprost w jego twarz, dziobem mierzysz w źrenice.

Nie zasłania się, nie uchyla, nie odgania...

Kiedy już masz go uderzyć, nagle wypełnia cię jasność, jaskrawość słonecznego dnia rozwierająca powieki.

Budzę się. Otwieram oczy i zamykam zdziwiony gładkimi, lśniącoymi powierzchniami...

Przeciągam się, ziewam, przypominając sobie, że przyleciałem tu wczoraj. Kea i Mi też się obudziły i rozglądają ze zdziwieniem.

Z okien wpada ostre powietrze poranka. Wschodzące słońce odbija się w szklanych taflach, blachach, lustrach. Wokół skupiły się kawki z naszej rodziny, otoczone najmłodszym potomstwem, które przybyło tu z nami z północy. Potomstwo moje, Kei i Mi wdzięczy się i przymila prosząc o pokarm.

Tu, we wnętrzu ze szkła i stali, nie ma owadów. Zostały wyłapane przez inne ptaki. Trzeba poszukiwać pokarmu na dole, na ziemi.

Staję na parapecie i przyglądam się miastu. Ulice i place porasta splątany gąszcz przebijających się przez asfalt drzew, krzewów, traw. Z dachów zwisa wino i bluszcz. Coraz więcej zieleni zakorzenia się w naj-

mniejszych brzdach, rowkach, szczelinach, zagłębieniach. W spękany beton, między szklanymi płytami rosną słabe i wiotkie roślinki, mchy i trawy, kwitną drobne białe kwiaty.

Szpaki, drozdy, pokrzewki, pliszki szukają owocowych drzew, winorośli, jagód. Gołębie wydziobują nasiona z kłosów.

Cienie biegną między ścianami. To wilki. Gołębie podrywają się błyskawicznie.

Niebo pełne jest orłów, jastrzębi i sępów wypatrujących porannego jedzenia.

– Jestem głodna. Jestem głodna – powtarza Kea.

Przy wodopojach czyhają wilki, rosomaki, lisy, kuny, tchórze. Ukryte pod liśćmi wyczekują na nieostrożne ptaki. Drżące gałązki, rozchybotane trawy. Ukryty w cieniu drapieżnik oczekuje cierpliwie. Jesteśmy już na brzegu. Dno pokrywa ciemny muł, w którym błyszczą muszelki ślimaków. Drobne żyjątka, liszki, larwy, gąsienice, muchy, osy, pająki, resztki małży w porzuconej przez lisa skorupie, cedrowe orzeszki zapraszają, kuszą...

Odsuwam kamień, chwytam wijącego się robaka, połykam. Następny kamień, gładki biały ślimak i szary płaski owad.

Pisklęta proszą o pokarm uderzając skrzydłami po bokach. Wcisnęłam im w dzioby część mojej zdobyczy...

Spacerujemy, skaczemy po kamiennych tarasach i łąkach schodzących do sadzawki porośniętej sitowiem i zielonymi liśćmi. Gęste zarośla wabią motylami, jętkami, zielonymi gąsienicami. Zbliź się. Zbliź...

A drgające gałązki, poruszane od spodu? A roztrzęsione liście?

Nie zbliżaj się do zielono – brązowej ściany.

Posuwasz się wąskim nie zarośniętym pasem dawnej drogi, aż do kamiennych kręgów otaczających płytką sadzawkę pełną lilii wodnych i rozmarynu. Na środku stoi metalowa łódź, podobna do tych, które widziałem nad morzem. Tu Kro i Mi uczyły się latać.

Pękły i rozsypały się kamienne rzeźby. Ostra szczelina rozdzieliła wirujące wokół postacie. Przekrzywiony okręt tkwi na wykruszonym postumencie.

Niektóre posągi oplata gęsty bluszcz zasłaniając białe twarze i ramiona... Mi zbliża się, pochyla, zanurzając dziób w marmurowym żwirze.

Ciemna błyskawica uderzyła z gęstwiny, złapała ją białymi zębami, wciągnęła między liście. Odskokczyliśmy przestraszeni.

– Uciekaj? – bliski krzyk Sartorisa zabrzmiał z posągu.

– Uciekaj! – krzyknąłem wlatując na balustradę.

Pozostało tylko kilka kropel krwi, drobiny puchu...

Wpatruję się w zielony gąszcz. Krzyczę aż do zachrypnięcia. Oczekiwałem długo wiedząc, że Mi jednak nie powróci.

Sartoris zniknął. Nie ma go nigdzie. Odleciały również jego sroki. To dziwne.

Dlaczego nie wyniósł się stąd zaraz po trzęsieniu ziemi, kiedy tyle ptaków opuściło miasto? Wówczas byłoby to zrozumiałe.

Niektóre wracały jak ja, ale wiele nie powróciło już nigdy, jak tamta gołębnica. Jego nieobecność drażni mnie i niepokoi. Przyzwyczałem się do jego skrzeku, wrzasku, straszenia, przekomarzania, przechytrzenia i ciągłych przechwałek.

Przypominam go sobie teraz na wszystkich drzewach, murach, brzegach, dachach, gdzie zjawiał się nagle, buńczuczny, pewny siebie, zaborczy. Poznałem go, przejrzałem, zrozumiałem. Tak naprawdę był ostrożny, niepewny siebie i tchórzliwy.

Swój strach zagłuszał gniewem, drapieżnością, ruchliwością, wrzaskiem, skrzeczeniem, rechotem.

Otoczający go tłum srok krzyczał wraz z nim, powtarzał, osaczał.

Dzięki tej gniewnej gromadzie Sartoris przerażał innych, wydawał się tak silny i groźny.

Nigdy jednak nie atakował Kei. Raz tylko z ciekawością przyjrzał się jej białym skrzydłom, pokręcił głową i przestał się nią interesować. Jej biel nie budziła już w nim złości.

Z czasem Kea przestała się go bać, poczuła się bezpieczna i bardziej swobodna.

W ciemnej gęstwinie cyprysów, gdzie sroki Sartorisa wiły gniazda,

jest teraz cicho i spokojnie. Mieszkają tu zięby, dudki, dzięcioły, wilgi, derkacze, pełzacze, szpaki, drozdy...

Lecimy z Keą wzdłuż mrocznej ściany, słuchając trelów, świergotu, terkotania.

Rozglądam się, szukam biało – czarnych, rozwrzeszczanych sylwetek. Brakuje mi Sartorisa...

Wciąż pamiętam o Wed, białej kawce ze szczytu czerwonej okrągłej budowli, nad którą stał niegdyś uskrzydłony posąg.

Sartoris pierwszy dostrzegł jej inność i zwrócił na to uwagę pozostałych. Zaalarmował je, przeraził, wywołał niechęć, złość i nienawiść.

To za jego sprawą ptaki patrzyły na słabą, młodą Wed, jakby to ona im zagrażała.

Gdyby nie napaść Sartorisa, być może Wed udałoby się przeżyć, a inne ptaki z czasem zdołałyby się oswoić z jej odmiennością. Jak ja, jak ty oswoiłeś się z Keą.

Z czułością głaszczę białe lotki Kei, która też jest inna, a tak bliska i tak bardzo moja.

Usypiając w gnieździe nadal oczekuję nawoływań Sartorisa, który codziennie przelatywał

tędy o tej właśnie porze. Słucham, lecz nikt nie woła...

Mniejsze i większe pomieszczenia, schody, przejścia, korytarze. Chodzimy z Keą, starając się zapamiętywać szczegóły, by bez przeszkód wrócić do gniazda. Najbliższe obluźowane drzwi wystarczy silniej uderzyć dziobem, a otwierają się szeroko. Szyby z większości okien wypadły podczas wstrząsów i można przez nie swobodnie przelatywać. Są jednak miejsca, gdzie okna i drzwi pozostają zamknięte. Nie pomagają uderzenia i siadanie na klamce.

Młodsze ptaki wpadają wówczas w panikę i przerażone tłuką skrzydłami o szklane tafle.

Wierzą, że jeżeli wleciały, to mogą wrócić tym samym rozbitym oknem, wietrznikiem lub przez uchylone skrzydła drzwi.

Wierzą tak głęboko, że nie mogą wy dostać się drogą, którą we-

szły, rezygnują z szukania innej. Łudzą się nadzieją, że raptem rozchyli się szklana tafla lub otworzą zatrzaśnięte drzwi.

W korytarzu za szybami umierają ptaki. Zabija je strach, pragnienie, głód. Trzęsienie ziemi otworzyło wiele wejść, wlotów, przewodów, które później zamykały się i zatrzaśkiwały pod wpływem zmiennych uderzeń wiatru, przeciągów i tąpnięć.

Za przeszkloną ścianą leżą gołębie, kawki, wrony, sroki, obracające głowami, nie widzące, walące skrzydłami o posadzkę. Wyschnięte młode gawrony, które nie zdążyły się jeszcze opierzyć, a obok matka z rozwartym dziobem i oczami wyjedzonymi przez mole.

Czy na krańcu korytarza migoce słoneczne światło? Na skrzydłach czuję powiew, znak, że tam, dokąd lecę, znajduje się wlot powietrza. Kea leci za mną, jak zawsze przekonana, że znam lub przeczuwam drogę. A ja tylko przewiduję, że będziemy mogli wydostać się z tamtej strony.

Znowu wyrosła przed nami cienka przejrzysta tafla, niewidoczna w szarych promieniach światła.

Wyrzucam pazury do przodu i uderzam w szybę nogami, ląduję na posadzce. Kea uderza o drzwi głową i skrzydłem, opada oszołomiona na skrzynki pełne papierzysek.

– Rozbiłam się! Uderzyłam! Gdzie jesteśmy? Wracajmy! – lamentuje podskakując niepewnie.

Za szybą drzwi umierały ptaki.

Gołębie z wyciągniętymi nogami chwytają w źrenice ostatki docierającego tu światła. Ptaki wpadają z góry przez ciemny otwór.

Pustułka wygięta w kabłak z wysuniętymi do przodu szponami. Szpak z dziobem utkwionym w szczelinie drzwi. Szara plama wróbla. Kawka... Znam ją. Sądziłem, że nie powróciła znad morza, że przystała do gromady lecących na zachód.

Fioletowo pobłyskują skrzydła pod szeroką, siwą krezą wokół szyi. Oczy zakrywa biała błona, zachodząca podczas snu lub śmierci.

– Uciekajmy!

Kea z przerażeniem wpatruje się w martwe ptaki.

Ciemny otwór w ścianie wypełnia się szumem. Matowy gołąb o pomarańczowych oczach rozgląda się przestraszony. Nie dostrzega dzielącej go od nas tafli. Leci wprost na szybę.

Rozbija się, rozpląszcza, osuwa. Dostrzega pustułkę rozczapierającą szpony. Podrywa się i znowu rozbija głowę. Opada krwawiąc, by po chwili polecieć w przeciwny kraniec korytarza.

Głuche uderzenie, pogłos, cichnące, zamierające echo.

Lecimy drogą, która nas tu doprowadziła.

– Tędy! Na pewno!

Wywalone drzwi. Szkielet bezskrzydłego w fotelu. Piłtanina taśm na posadzce wśród maszyn. Kosze, papierzyska, pudła. Czy na pewno tędy? A jeżeli zabłądzimy? Jeżeli zgubiłem drogę?

Przeciąg. Następne szeroko rozwarte drzwi.

Odchylona, wygięta rama okienna, pęknięta szyba.

– Wydostać się stąd! Wydostać! – krzyczę, czując nerwowy rytm skrzydeł Kei.

Siadam przy otworze, między ramą a framugą. Nie można przelecieć, lecz można się precyzyjnie. Wczepiam pazury w ramę. Ostry ból w stopie. Skaleczyłem się o jakąś wystającą, złamaną śrubę. Szybszy ruch skrzydłem i wypadam na tamtą stronę. Kea przeciska się moim śladem.

Fruniemy wokół stalowego gmachu. Nieufnie patrzę na rozbite okna, rozchybotane żaluzje, odstające płyty. Na dachu ptaki wskakują na wietrzniki, zaglądnają w kwadratowe otwory.

Wysłuchują się w dochodzący z nich szum. Sprawdzają, czy nie można założyć tam gniazd.

Walczymy z silnym prądem ciepłego powietrza odpychającego nas od wzgórz, na których wznosi się miasto. Z tej wysokości widać ciemną, nieco zamgloną linię morza. Powietrze wokół stopniowo staje się chłodniejsze. Kołujemy starając się powrócić nad dachy stalowych budynków. Cofam lotki wyginając jednocześnie skrzydła w górę i opadam. Kea powtarza mój manewr i po chwili jesteśmy przy rozwartym na oścież oknie prowadzącym do naszego gniazda.

Kea natychmiast zagłębia się w swej obszernej szufladzie pełnej papierów i taśm. Siadam wewnątrz otwartej szafki, w metalowej kasecie wystanej puchem i sierścią.

Budzi nas szelest, przenikliwy głos, kwilenie.

Zaspanym wzrokiem omiatam pokój, sprawdzając skąd dochodzi wołanie.

Nie dostrzegam niebezpieczeństwa. Usypiam. Znowu budzi cię ten sam głos.

Wyskoczysz na krawędź szuflady.

W przeciwległym kącie, pod ścianą, tam gdzie najcieplej i najzacieśniej, zobaczysz leżącą starą kawkę Zar, która tylekroć wysiadywała potomstwo w sąsiedztwie baldachimu.

Podziwiałeś Zar, bo potrafiła wzbic się najszybciej pod kopułę, by później opadać siłą bezwładu, i dopiero tuż nad posadzką błyskawicznie odzyskiwać równowagę. Lubiła ścigać się z sójkami, wronami, gołębiami, kaczkami.

Nieruchoma, z podwiniętymi nóżkami Zar, podpierając się dziobem – płasko rozpościera skrzydła. Dyszy ciężko, a od czasu do czasu charczy przenikliwie.

Znasz ten głos. Słyszałeś go wiele razy i nie zapomniałeś.

– Umieram! Zostawcie mnie w spokoju!

Głowa wsparta na dziobie, drżą rozłożone skrzydła, błona zapadająca na oczy podnosi się coraz trudniej.

Odwracasz się. Schodzisz do szuflady, gdzie czeka ciepła, senna Kea. Kiedy się obudzicie, Zar znieruchomieje, jej głowa przekrzywi się, opadnie, a bielmo zasłoni do połowy błękitne oczy.

Rag uważa się za samicę i długo wdzieczy się do każdego samca.

Zatrzymał się, przekrzywił głowę, mrużył błękitnoszare oczy, puszył się, preżył, przysiadł, wypinał kark, prosząc, by go poskubać, pogłaskać i popieścić. Z zawiścią patrzył, jak przytrzymałem dziobem Keę, a ona potulnie przysiadła, czekając, aż wskoczę na grzbiet i zmoczę pióra nasieniem. Rag pragnął być samiczką i przeżywać to wszystko, co przeży-

wała Kea, od miłosnego drżenia po znoszenie jaj i wysiadywanie piskląt.

Rag był nieszczęśliwy, ponieważ samce, które spotykał, widziały w nim tylko samca, i biły go lub odpędzały w przeświadczeniu, że chce zburzyć ich życie rodzinne lub zabrać im samice. Rzucaly się z krzykiem niechęci, kłuły dziobami, biły skrzydłami, darły pazurami.

Rag stroszył pióra, odskakiwał i odchodził szukając swego przeznaczenia. Samiczki również patrzyły na niego podejrzliwie, ponieważ starał się zachowywać jak one, będąc przecież samcem.

Gdy dojrzały już i pięknie opierzony Rag stanął obok, trącąc mnie delikatnie dziobem, Kea zbierająca właśnie patyczki na gniazdo nastroszyła się, napuszyła, groźnie potrząsnęła głową.

- Czego tu chcesz? - spojrzała na Raga. - Odejdź stąd. Inny samiec tu niepotrzebny.

- Załóż ze mną gniazdo - Rag patrzył na mnie miłośnie. - Chcę być z tobą.

Kea upuściła ze zdziwienia gałązkę. Gdyby Rag zwrócił się do niej... Ale do mnie? Dlaczego? Jej jasnoniebieskie oczy zaokrągliły się, znieruchomiały.

- Czego tu chcesz! - chwyciła go dziobem za skrzydło.

Rag nie poruszył się, przyzwyczajony do przepędzania, szczypania, skubania. Zależało mu na mnie, a nie na Kei. Przyglądałem się mu z obojętnością, mając obok Keę i pamięć o Mi.

Nie interesował mnie. Po co mi niby - samiczka, a właściwie samco - samiczka? Kea wypuściła skrzydło Raga. Spojrzała wyrozumiale, lecz niechętnie. Rag potrząsał lotkami, jakby zapraszał do miłości.

- Odejdź! - Kea pociągnęła go za koniec pazura, wyginając nogę.
- Uciekaj! Nie chcemy tu ciebie.

Wygięty pazur krwawił. Rag rzucił się na Keę, rozpląszczył ją swym ciężarem. Potrząsnąłem piórami i rzuciłem się na niego.

- Precz! Precz! - Wpiłem się w puch na jego grzbiecie łomocąc dziobem w potylicę. Usiłował się odwrócić, ale byłem od niego silniejszy. Odepchnął mnie skrzydłem, odskoczył, uciekł. Nie ścigałem go. Odleciał,

a my nadal wybieraliśmy gałązki na gniazdo, sprawdzając ich długość, giętkość i wagę.

Wracałem właśnie z samotnej wyprawy na południe, z kamiennych murów położonych wysoko na złocistych skałach. Rzesze ptaków także wracały do miasta. Rag leciał sam, bo chociaż należał do naszej gromady, trzymał się osobno. Samiczkami Rag nie zajmował się.

Przeciwnie, zachowywał się, jakby były jego rywalkami. Odpowiadały mu nerwowymi krzykami i razami rozjuszonych dziobów.

Chmury, mżawka, błyskawice. Burza przeszła nad miastem... Moje skrzydła stały się ciężkie od wilgoci.

Na rozłożystym platanie czyściłem skrzydła, wrywając słabsze pióra i przeczesując puch.

Z niższych konarów dochodziły głosy zakochanych kawek. Zaciekawiony przeskoczyłem na niższą gałąź. Dziobem odsunąłem liście.

Kawki pieściły się, przytulały, muskały, drapały, wyczesywały. Rag i Taw siedzieli dotykając się skrzydłami, dziobami, głowami. Taw był starym samotnikiem. Od dnia, kiedy jego samica zginęła, przysypana spadającym z dachu śniegiem. Nigdy też nie opuszczał miasta.

Teraz siedzi z Ragiem, który wdzięczy się do niego, przymila i fuka, starając się zachowywać jak samiczka.

I stary Taw uznał go w końcu za samiczkę, gładząc po srebrnoszarym puchu na karku, przyduszając z namiętnością do kamienia i bijąc skrzydłami na jego grzbiecie. Oblany ciepłym mleczkiem Rag przeżywał chwile największego szczęścia.

Patrzyłem na nich przez zieloną zasłonę. Wkrótce odlecieli. W locie tręcali się skrzydłami, muskali dziobami w nagłych porywach namiętności. Razem wznosili się w powietrze, wirowali, opadali. W płytkiej zatoczce przy rzece zobaczyłem, jak Taw karmi Raga małymi rybkami. Wkładał mu je delikatnie do dzioba, jakby Rag był pisklakiem.

Razem zbierali gałązki na gniazdo, sprawdzając ich sztywność, grubość, długość i ciężar.

Gniazdo Raga i Tawa mieściło się w tym samym stalowo – beto-

nowym budynku, co nasze.

Teraz często fruwaaliśmy razem i Kea nie przepędzała już Raga.

Kiedy po zimie szykowaliśmy się do lotu na północ, Rag i Taw pozostali w mieście.

Niespokojna, krzykliwa gromada szykowała się do odlotu na placu pokrytym wrakami żelaznych ptaków. Przelatując nad naszymi gniazdami zauważyłem Raga i Tawa chodzących po gzymsie z kępkami sierści w dziobach.

Sierść była nieomylnym znakiem, że Rag chce wysiadywać jajka, a Taw będzie mu w tym pomagał.

Wiosna. Odlatujemy. Powracamy. Niekiedy przestaję już bać się o białoskrzydłą, jakby nic jej nie zagrażało.

Białe skrzydła, srebrnoszary grzbiet i jasny dziób Kei nikogo nie dziwią, nie płoszą, nie drażnią. Zresztą przeważnie jest stale ze mną i wszystkie ptaki już się do nas przyzwyczyły.

Kea przygotowuje się do zniesienia jajek.

Zbiera wapno ze ścian. Rozbija dziobem purchle na tynku, miazdzy, rozciera na kawałeczki, połyka najdrobniejsze okruszki.

Fruwam i chodzę za nią, pilnuję, ostrzegam przy najmniejszej groźbie i podejrzeniu, trzasku gałęzi i szumie skrzydeł.

W mieście wiele się zmieniło. Pojawiły się silne, obce ptaki.

Nasza kolonia stopniała, zmniejszyła się do kilku zaledwie rodzin, gnieżdżących się w szczelinach wieży.

Najedzony siadam wysoko między kamieniami i przypominam sobie mroczną zimę pełną wyjących wilków, trzęsienie ziemi i rozpadającą się kamienną kolumnadę, pożar i płomienie zmiatające ptaki z nieba, sztorm, który zepchnął mnie w morze, białe sowy wdzierające się nocą do gniazd. Wszystko, od pierwszego otwarcia oczu, wysoko na baldachimie pod kopułą, aż po śmierć Mi pod ścianą ciemnej zieleni.

Nerwowo wyciągam szyję, rozglądam się po okolicy, mrużę oczy przed uderzeniami słońca, wypatrując mojej białoskrzydłej Kei.

Jest moją największą troską i miłością od chwili, gdy po raz pierw-

szy pomogłem jej przyfrunąć z powrotem do gniazda, aż do dzisiaj.

Biel skrzydeł, jasność puchu i srebrzysty płaszcz.

Leci ku mnie, spod słońca, szeroko rozkładając skrzydła.

– Jestem – siada obok i delikatnie całuje oczy i dziób.

– Jak dobrze – pochylam nastroszoną głowę. – Jak cudownie.

Pieści napuszone piórka, wyciąga drobiny puchu, delikatnie dotyka mojego skrzydła.

– Kocham cię, kocham – powtarza echo. Z wieży gruchają gołębie, nadymają gardła, potrząsają głowami przestępując z nogi na nogę, podskakują, spychają się z gzymsów.

– To nasze! – kręcą się po swym terenie. Nie zwracam uwagi na ich pokrzykiwania. Niebezpieczniejsze wydają się ciężkie, masywne kawki z dalekiej północy, grupy dużych srok i jastrzębie, które mogą wypatrzeć Keę z wysokości.

Przygrzewa. Rozkładamy skrzydła na kamiennym gzymsie, rozchylamy pióra zagarniając ciepłe promienie.

Słońce rozleniwia. Przymykamy oczy, trwamy w bezruchu. Kea przeciąga się rozkosznie.

Zanurzam się w cieniu tuż za nią. Siadamy w niszy za pękniętą figurką, gdzie zwykle usypiamy po pierwszym napełnieniu żołądków. Zamykam oczy, przytulam się do Kei, oddycham jej zapachem. Chowamy głowy w puchu, usypiamy.

Budzą nas ostre krzyki. Z niszy widzimy cienie skaczące po ścianach, cienie ścigające przerażone wróble.

Sroki wciskają się do wróblích gniazd w poszukiwaniu jaj i piskląt. Wróble wrzeszczą przeraźliwie. Najstabszy z nich trzepoce się w uścisku Krzywodziobej, ich przewodniczki.

Daremnie usiłuje się wyrwać.

Siedzimy bezgłośni, niewidzialni. Krzywodzioba widząc, że nie ma już innych kawek, rzuciłaby się na nas, przepędzając poza teren, który uznaje za swój.

– Zabić! Zabić! Zabić! – krzyczy trzymając wróbla.

– Zabić! Zabić! Zabić! – powtarzają ciemnogrnatowe sroki, rozbijając gniazdo jaskółki ukryte w narożniku okna.

Zapada cisza. Cichną prześladowane wróble, cichną sroki, jakby na zewnątrz nie było niebezpieczeństwa.

Czekamy, niepewni czy sroki przyciały się, czy odleciały.

– Lecimy? – pyta Kea rozprostowując skrzydła.

– Lecimy.

Ostrożnie przelatuję ku następnej niszy, a Kea leci za mną. Z boku obserwuję, jak słońce rozświetla jej skrzydła, mieni się tęczowo na płaszczu, wypełnia błękit oczu. Zatrzymujemy się przy kryjówce, ledwie widocznej szczelinie prowadzącej do wnętrza muru.

– Do gniazda! – krzyczy Kea, zaciskając pazury na krawędzi.

Krzywodzioba patrzy z gałęzi kasztana. Okrwawionym pazurem przytrzymuje drobny szary kształt.

Widzi mnie, lecz nie krzyczy. Dopiero gdy Kea przesuwą się ku wejściu i słońce budzi na jej skrzydłach srebrzyste blaski, sroki krzyczą, pochylają się, wysuwając rozwrzeszczane dzioby i zachodzące bielmem oczy.

– Zabić! – wrzeszczy Krzywodzioba.

– Zabić! Wygnać! Przepędzić!

Lecą. Gniewnie uderzają skrzydłami.

Przybieram groźną postawę wiedząc, że są tchórzliwe i boją się uderzenia.

Kea przywiera do muru. Boi się. Jest zaskoczona.

– Chodź tu! Chodź tu! – przywołuję. – Tu będziemy bezpieczni!

Kea nie słyszy wołania. Kea słyszy tylko swój strach. Odrywa się od ściany i leci wzwyż, prostopadle ku niebieskiej płaszczyźnie nieba. Sroki mkną za nią.

Kea przysiada na szczycie wieży. Krzykiem usiłuję dodać jej otuchy.

Sroki opadają w dół. Siadam obok przestraszonej Kei.

Rozzłoszczone duże kawki o szarych oczach rzucają się w pościg. Sroki umykają nie mając szans w zderzeniu z siwo – czarną chmurą. Siedzimy na gruzach patrząc na oddalającą się tchórzliwą gromadę. Kea

niespokojnie patrzy na nie znane kawki.

- Uciekać? – otwiera dziób, przekrzywia głowę.

- Też jesteś kawką – odpowiadam nastroszeniem piór.

Duże, ciężkie kawki powracają obwieszczając krzykiem zwycięstwo.

Krążą nad wieżą, jakby obejmowały ją w posiadanie.

Nagle słyszę krzyk, krzyk wzywający do pościgu. Czarno – siwa ptasia chmara mknie wprost na nas.

- Uciekaj stąd! Uciekaj stąd! – krzyczą. Kea wzbija się do lotu, a ja odpieram dziobem zmiernącego ku niej napastnika. Koziółkujemy w powietrzu, wydzierając sobie pióra. Kea leci pod słońce, oślepiona ostrym blaskiem.

- Uciekaj! Uciekaj! – wołają za nią rozgniewane kawki.

Za chwilę przestaną gonić. Chciały ją tylko przepędzić.

- Lecę za tobą! Poczekaj! – wołam, lecz mój głos ginie w jazgocie ścigających.

- Boję się! – krzyczy Kea.

Białe skrzydła mienia się, srebrzą, złocą. Te kawki uważają ją chyba za srokę. Stąd ich zaciekłość.

- Zatrzymaj się! – wołam za Keą nieprzytomną ze strachu.

Przed siebie, pod słońce, byle dalej.

Kawki już jej nie gonią, lecz Kea nie patrzy za siebie.

Blisko rzeki zniża lot. Frunie pod pochylonym stalowym szkieletem obwieszonym pozrywanymi drutami poruszonymi wiatrem. Nie widzi niebezpieczeństwa. Leci pod słońce. Zderza się ze zwisającą liną i kwiląc spada do rzeki. Rozkłada skrzydła na falach.

Pióra nasiakają, a każdy ruch, by poderwać się od powierzchni, powoduje, że zanurza się głębiej.

- Do brzegu! – wołam, krążąc tuż nad nią. Wąski nurt spływa kamienistym korytem aż do miejsca, gdzie ginie pod gruzami zawalonych domów.

- Pomóż! – prosi Kea, usiłując podźwignąć się z nurtu.

- Do brzegu! – wołam.

Niknie między zwalonymi kolumnami, strzaskanymi płytami betonu, wygiętymi słupami.

Przez chwilę słyszę jej krzyk. W oczach mam jeszcze iskrzącą biel skrzydeł.

Próbuję wlecieć pod zwaliska, gdzie woda styka się z betonową krawędzią.

– Kea, wróć!

Nie ma Kei.

Woda pieni się, syczy, parska, gwałtownie wpływając pod gruzy. Lecę dalej, tam, gdzie rzeka ponownie wydobywa się spod ruin. Siadam na brzegu nie zważając na pustułki i wygrzewające się węże.

– Kea! Wróć!

Czekam, lecz Kea nie wypływa.

Powracam tam, gdzie widziałem ją po raz ostatni, i wołam, wołam, wołam.

Do szczeliny w murze, wiodącej do naszego przyszłego gniazda, wracam, gdy słońce zapadło już za horyzont. Wciskam się między strzępki sierści i papiery, pióra i puch, który przynosiliśmy razem. Próbuję zasnąć bez Kei.

Obudzi cię chłód i głód. Rozprostujesz nogi i skrzydła. Rozejrzysz się za Keą. Przez chwilę będziesz myślał, że już wyfrunęła. Tylko przez chwilę, bo zaraz przypomnisz sobie wszystko.

– Kea, wróć! – poskarżysz się, wypadając z wieży w chłodny poranek. Krążące wokół

znajome i obce kawki pozdrowią cię zwykłymi okrzykami.

Polecisz nad wodę i usiądziesz nad krawędzią ruin, gdzie znika rzeka, gdzie ostatni raz widziałeś Keę.

– Kea, wróć! – zawołasz z nadzieją.

Będziesz latał z miejsca na miejsce.

Będziesz czekał, czekał, czekał.

Będziesz czekał cierpliwie, jak niegdyś Zar wyglądał swej Dor. Będziesz czekał codziennie, wierząc, że Kea wróci i znowu będziecie szczę-

śliwi w ciemnej szczelinie wieży.

...że to możliwe.

Stoję przed lustrem i szukam siebie, a widzę starego ptaka o zmatowiałych skrzydłach i ciemnoszarej krezie wokół głowy. Dziób zbieleł, oczy wypłowiły, jakby pokryła je mgła, pazury stały się łamliwe i kruche.

Otrząsam skrzydła wzbijając wokół srebrne iskierki... Ptak po tamtej stronie też porusza głową i skrzydłami, a drobiny puchu i złuszczonej skóry opadają wokół.

Otwieram dziób i dotykam zimnej tafli. Tamten robi to samo, dokładnie w tym samym miejscu.

- To ja - skarżę się na moją starość, podskakuję, podryguję, tańczę ze strachu i rozgoryczenia.

Widziałem przecież ptaki wyglądające jak ja, leżące w samotności na strychach, skulone na gzymsach, pod ścianami, wciśnięte w przewody i rury. Dogorywają w półśnie lub śnie, lepkie od własnych odchodów. Łudzą się, że to sen nadchodzi, że są zmęczone, że obudzą się, podniosą silne i zdrowe, by znowu wzlecieć ku słońcu.

Niepokoją się tylko ciężkim opadaniem powiek, chłodem ogarniającym stopy i skrzydła.

Wierzą jednak, że przezwyciężą te objawy słabości, jak czyniły to już tyle razy po przemoknięciu, zmarznięciu, nagłym deszczu czy jesiennych przymrozkach. Usypiają.

- To ja? - pytam z lękiem, wiedząc, że to na pewno ja, po tylu wzlotach, przelotach, podrózach, wysiadywaniach jaj, po tylu wychowanych pisklętach, których okrzyki dobiegają z zewnątrz, po miłościach i zwycięstwach, ucieczkach i powrotach, po takim bólu...

- To ja - zanoszę się rozgoryczeniem, cierpieniem, świadomością, że moje życie zamiera, a ja już wiem, znam, rozumiem, pojmuję...

Odwracam się od lustra i walę skrzydłami ze wszystkich sił, kręcąc się w kółko, biegając, podskakując.

- Jestem jeszcze silny - powtarzam ze skargą. - Jestem jeszcze silny.

Nie jesteś już tamtym ptakiem, który stał tu, razem z Keą. Kontury i szczegóły widzisz zamazane, niewyraźne i musisz wytrzeszczać oczy, żeby zobaczyć złociste, opasłe figury uskrzydłych bezskrzydłych, trzymających w ustach skręcone muszle.

Rano chciałeś lecieć nad morze, a przyleciałeś tu, do zacisznego wnętrza pełnego luster, posągów, pochylonych kolumn, zszarzałych płócien.

Później polecę nad morze, pomyślałeś, wiedząc, że nie polecisz.

Co rano obiecujesz sobie lot nad morze, a później, gdy na chwilę wzniesiesz się w niebo i odczujesz ociężałość skrzydeł, rezygnujesz.

Rezygnujesz, lecz nie możesz jeszcze przyznać się do klęski. Wmawiasz sobie, że gdy przy wznoszeniu ciężar twego ciała staje się trudny do przezwyciężenia i pociąga cię w dół, ku ziemi, przyczyną jest zmęczenie, bezsenność, zgubienie kilku lotek, wczorajsze obżarstwo, wyjedzenie zjełczałych drobin z pękniętej skorupy żółwia.

Tłumaczysz się przed sobą i usiłujesz wierzyć w te tłumaczenia.

Lecąc ku szczytowi kolumny, znowu trafiam poniżej jej trzonu... Czy zawiniło oślepiające słońce?

Opadasz. Szeroko rozkładasz skrzydła unosząc je ku górze, a uderzasz o ziemię jak kamień... Może pióra zwilgotniały w nocy? Może brak kilku piór z ogona nie pozwolił mi łagodnie wylądować?

Dlaczego nie jesteś już tak silny i ciekawy świata jak kiedyś?

Dobiegają cię krzyki starego sępa, któremu w końcu nie udało się umknąć przed wilkami.

Nienawidziły go, tylekroć usiłowały schwytać, lecz zawsze wymykał się ich kłom i pazurom, strasząc zakrzywionym dziobem i szponami. Ptaki też go nienawidziły, ponieważ wyzerał piskłęta i jajka.

Charkot, odgłosy walki o życie, jaką toczy w tej chwili, leżąc na ziemi przygnieciony szarym cieniem wilczycy, której niegdyś zadziobał młode.

Dlaczego nie lecisz jak kiedyś? Nie siadasz na gzymsie lub kamieniu i nie wołasz? Ginie twój wróg, więc powinienes tam być, patrzeć jak

kona i cieszyć się?

Ogarnia cię senność, przemożna potrzeba ukrycia głowy pod skrzydłem.

Nie polecisz, bo boisz się spaść. Boisz się, że nad jasną, gładką powierzchnią ogarnie cię lęk, zabraknie sił, by wrócić. Po cóż lecieć nad morze, jeżeli tak bezpiecznie w szczelinie między murami, na parapecie rozbitego okna, w jakimkolwiek wnętrzu, gdzie nie uderzają wichry, nie parzy słońce, nie pada deszcz?

W młodości o tym nie myślałem, nawet mój strach był inny. Starość przyniosła ci wiedzę, której i tak nie zdążysz już wykorzystać. Młodość stara się przewyciężyć lęk, starość oswaja się z lękiem.

Udaję rozagę, a to tylko unikanie bólu, rezygnacja.

Odchodzisz od lustra, stajesz nad porośniętą trawami ulicą. Po sępie pozostały strzępy skrzydeł i głowa z rozwartym dziobem między pazurami wilczą. Chwytają w zęby, podrzucają, skaczą, tarzając się w trawie i mchach. Zlizują krew z kamieni. Z kolumn dochodzą krzyki przerażonych sępów. Zleciały tu wezwane przedśmiertnym wołaniem najstarszego.

Wyciągają ku wilkom nagie szyje, gniewnie otwarty dzioby i syczą.

Z daleka dobiega krzyk sroki. Otwieram oczy. Następny krzyk jest bliższy. Rozglądam się, czy nie zobaczę Sartorisa? Sartoris przecież zniknął. Sroki przeskakują z muru na mur, z gałęzi na gałąź. Idą, fruną, skaczą, płosząc mniejsze od siebie ptaki. Przewodzi im Krzywodzioba. Nie zwraca na mnie uwagi.

Kawki też są inne... Te, które kiedyś prowadziłem, spotykam rzadko. Nie poznają mnie, nie lecą już za mną, nie odpowiadają na wezwania. Teraz, patrząc w lustro, wiem dlaczego...

Moje pióra spłówiały, a nogi nie są już sprężyste i wyprostowane jak wówczas.

Czas odlecieć nad morze. Słońce wznosi się, rozgrzewa stare, zmęczone kości... Czas lecieć... Czerwone gołębie jak zawsze gruchają na gzymsie. Pamiętasz gołębicę odlatującą znad skłębionych ruin? Może wróciła? Może broni teraz swych nie opierzonych ślepych piskląt?

Lecę nad morze... Lecę wzdłuż wystłonecznionej linii brzegu.

Nie. To tylko sen. Leżę w wąskiej niszy wystłanej puchem i sierścią, i rozmawiam z Keą, z Mi, z Kro, ze sobą.

Chcę polecieć nad morze. Tam w piasku kryją się drobne małże i przejrzyste raczki. Zawsze można się najeść. Do morza wpadają strumienie zimnej słodkiej wody.

– Lećcie za mną!

Pragnienie wypala, pragnienie rozwiera dziób. Osuwam się pod ścianę.

Przymykam oczy i znów śnię, że lecę. Śnię? Czy naprawdę lecę ku jaskrawemu brzegowi, gdzie można najeść się i napić, a później ścigać z rybitwami wzdłuż plaży?

Coraz słabiej widzę otaczające mury, promienie, ptaki... Coraz odleglejsze jest niebo i ziemia.

Już nie odczuwam pragnienia i głodu. Obudzę się jutro. Wzlecę wysoko, wyżej niż kiedykolwiek wzlatywałem...

Jutro. Tak.

– Lećcie za mną!

– Lećcie!

– Leć...

Sartoris

*Jesteś
matową bielą i czernią jaskrawą,
dniami i nocą,
odrobiną odbitego blasku
ze skradzionych pierścieni,
które przesuwasz, układasz, ustawiasz
z nadzieją, że oświetlą twe gniazdo
o zmierzchu...*

Gałązki, patyki, łodygi, pędy, kości, strzępki, źdźbła trawy, sierść, papier. Przez szczeliny dostrzegłeś ciemnozielone plamy iglastych gałęzi, bluszczu i powojów, przeplatających się, obejmujących, zaciskających wokół konarów. W półmroku otwierały się dzioby z żółtymi naroślami i krzyczące czerwone gardła.

– Jeść! Jeść!

Ogromny dziób wepchnął ci w gardło rozgniecioną tłustą poczwarę. Przełknąłeś, ucichłeś. Rodzice przylatywali co chwila, starając się sprawiedliwie dzielić jedzenie między podrygujące, rozwrzeszczane dzioby.

Kiedy Dow odlatywał, Pik czuwała przy gnieździe. Gdy w pobliżu pojawił się wilk, kocur lub sowa, jej krzyk zwoływał sroki z sąsiedztwa, które głośnym wrzaskiem przepędzały intruza.

Nasze skrzydła i grzbiety pokrywały ciemne, matowe piórka, natomiast piersi i boki były jeszcze nagie. W gnieździe osłoniętym gęstą plecionką gałęzi było ciepło, swojsko, miękko.

Dow przynosił roztrzepotane pisklęta wróbli, szpaków, kosów, nawet małe ślepe gołębie.

Przyduszał pazurami i tłuł dziobem w tył głowy. Dzielił łup między nas. Zasypialiśmy nasyceni.

Wówczas Dow i Pik usuwali z gniazda grudki kału, wymieniali lub wzmacniali obluźowane gałązki, ogrzewając nas rozpostartymi skrzydłami.

Dow przynosił do gniazda myszy, nornice, ryjówki, chomiki.

Potrafimy już przytrzymać i zabić przyniesioną zwierzyne.

Tylko szaro – rudej myszy przydźwiganej przez Pik udało się uciec. W gnieździe panowała szarówka. Pik stała u wejścia. Trzymała za ogon mysz, która starała się wykręcić i wyrwać. Podskoczyłeś ku zdobyczy, potrącając Pik. Koniuszek ogona oderwał się i mysz zniknęła w chruście wyściełającym gniazdo.

Pik szukała jej długo, lecz zbliżająca się noc przerwała poszukiwania. Nie pamiętam, by jakiegokolwiek inne stworzenie wydostało się stamtąd żywe.

Pisklęta rosły, stawały się coraz ruchliwsze. Gniazdo zmniejszało się, ścieśniało.

Ciekawość popychała nas ku wyjściu, maskowanemu gałązkami i kępkami mchu. Najsilniejsza spośród nas Ner rozpychała się, odpychała, karciała bijąc i kopiąc. Wyrwała najlepsze kąski, a gdy nie chciałem oddać mózgu żaby lub oczu młodej sikorki, waliła skrzydłami, aż przerażony uciekałem pod ścianę.

Ner podpatrzyła, jak rodzice osłaniają i maskują wyjście. Wkrótce nauczyła się odsuwać zaporę tarasującą drogę i wychylać głowę jak najdalej.

Dow i Pik karcili ją za zbyt dużą samodzielność. Ner jednak, gdy tylko pozostawałyśmy same, rozgrzebywała zwartą sieć piór, mchu, odsuwała ułożone zmyślnie gałązki i próbowała wyskoczyć na skraj gniazda.

Wyciągała głowę i pochylała się chcąc przebyć wąski otwór, ale silnie uderzona skrzydłem z piskliwym wrzaskiem z powrotem wpadała do gniazda.

Pik tarmosiła ją za skąpy puch i reperowała nadwątloną ścianę. Ner wściekała się, złościła, pluła na rodziców i na nas, nadal wyczekując okazji, by samotnie znaleźć się na wolności. Jak silne i gęste były ściany naszego gniazda, przekonaliśmy się, gdy Pik i Dow oddalili się pewnego wieczoru wezwani wołaniem sroki napastowanej przez jastrzębia.

Ner odczekała chwilę i zaczęła wyszarpywać gałązki, strzępy pa-

pieru i sierści ze ściany.

Pozostałe sroczeńta przyglądały się jej podskokom, oczekując, że za chwilę nadlecą rodzice.

Wtem gniazdo zadygotało, zachwiało się, a Ner spadła między nas, trzepocząc skrzydłami.

Patrzyłem zdziwiony sądząc, że to ona wywołała niespodziewane poruszenie.

Lecz Ner skuliła się, przywarła do wysłanego puchem dna. Przez szczeliny zobaczyłem nastroszoną białą sowę, gwałtownie dobierającą się do nas.

Wiedziała, że jesteśmy wewnątrz, że Dow i Pik wyleciały, wywabiłone dalekim wzywaniem pomocy. Prawdopodobnie obserwowała gniazdo już wcześniej, wyczekując korzystnego momentu.

Sowa wspinała się po patykach, wczepiała dziobem i pazurami w splecione gałązki, usiłując rozerwać je, wyrwać, złamać, wyciągnąć.

Ściany gniazda wytrzymawały uderzenia. Przeplecione, powiązane ze sobą gałązki i pędy nie puszczały.

Sowa łąziła po gnieździe jak olbrzymi biały pajak, próbując rozhuścić je i zwalić. Przemyślnie utkane przez rodziców ściany nie puściły. Wciśnięte w dno, z rozwartymi oczami, z pulsującymi strachem podgardlami bałyśmy się pisnąć i poruszyć.

Sterczące na zewnątrz ostre patyki poraniły drapieżnika, który pochopnie wcisnął się w cyprysowy gąszcz sądząc, że znajdzie łatwy i smaczny łup.

Odkryła nawet wejście... Za wąskie jednak... Rozjuszona starała się wcisnąć siłą.

Białożółte oczy i szeroki zakrzywiony dziób zawisł nad pisklętami przytulonymi do przeciwległej ściany.

Kilka wyrwanych przez ciernie białych piórek wpadło do środka naszego gniazda.

Powstrzymały ją gałęzie. Cofnęła się skrzecząc.

– Uciekaj! Zabijemy cię! Uciekaj! – Dow i Pik doskakiwały, szar-

piąc sowę za ogon i skrzydła, uważając jednocześnie, by nie dosięgła ich dziobem i pazurami. Teraz sowa poczuła się osaczona, zaplątana wśród wijących się i sterczących gałęzi. Odskoczyła, wyfrunęła spod cyprysowych gałęzi, ścigana ostrym krzykiem przybyłej na pomoc sroczej chmary.

Wystraszona Ner spokorniała, stała się spokojniejsza i ostrożniejsza. Na krótko...

Mżył deszcz... Tak chłodnych i wilgotnych dni jeszcze nie przeżywałem.

Skapujące z wysoka krople osiadały na piórach, puchu, skórze i parowały.

Dow i Pik coraz częściej pozostawiali nas samych.

Przylatywali, przynosili jedzenie, przesiadywali na gałęziach obok gniazda ostrzegając, gdy w pobliżu przemykał wilk, lis czy kuna.

Spływający deszcz powoli nasączał ściany wilgocią. W nocy Dow i Pik okrywali i ogrzewali nas skrzydłami.

Ner znowu stała się niespokojna, nieposłuszna, niesforna.

Przestało padać. Poranne słońce przeciskało się przez szczeliny. Oświetliło otwarte wejście. Czyżby rodzice chcieli przygotować nas do zwykłego ptasiego życia?

Zachęcona łatwością wyjścia Ner wybiegła na sterczącą, pokrytą brązowymi porostami gałąź. Zatrzepotała, podfrunęła, przebiegła drobnymi kroczkami po konarze, potknęła się o wystający sęk, zachybotła i przefrunęła na sąsiednie drzewo.

Sądziła, że Dow i Pik wrócą za chwilę i dlatego tak odważnie i samodzielnie wyleciała. Czy chciała wrócić? Odbiła się od gałęzi, podfrunęła próbując zbliżyć się do gniazda i nie trafiła. Uderzyła skrzydłem o pień i opadła między majaczące w dole cienie. Krzyknęła i umilkła.

Wypatrywałeś, czy nie wraca...

Dow i Pik wrócili wkrótce. Natychmiast dostrzegli brak niespokojnej, czupurnej Ner. Z gęstniejącego mroku długo dochodziło nas ich nawoływanie.

Ner nie było.

Nigdy Ner już nie zobaczyłem.

Nauczyłeś się fruwać, chociaż nie od razu i nie tak doskonale jak rodzice. Przerażony zniknięciem Ner bałeś się przeskakiwać z gałęzi na gałąź, celować nogami w odległy konar, opadać między falujące cienie, a później mozolnie wspinać się i podfruwać po gałęziach i sękach. Na roztrzęsionych nogach z progu gniazda patrzyłeś w otchłań, jaką wydawała ci się najbliższa okolica.

Pierwszy schwytyany trzmiel i ukryta w nim miodowa słodycz przelały strach. Czy nie warto samemu wybierać i chwycić co smaczniejsze kąski?

Lubiłem słodycze... A wokół fruwały osy, pszczoły, trzmiele, rosły jagody, śliwy, grusze, winorośl, brzoskwinie, pomarańcze... Spróbowałeś tych smaków dopiero teraz i krtań zaciskała ci się z pragnienia chłodnego, słodkiego soku.

Dostrzegłeś kwiaty i w każdym z kwiatostanów odnalazłeś inny nektar, rosę o innym smaku. Dla tych rozkoszy też chciałeś nauczyć się latać.

Kiedy wyleciałeś nieco dalej, poza cyprysy, dęby i pinie rosnące wokół gniazda, przeraziły cię ogromne kamienne kształty, mury, kopuły, kolumnady, posągi, obeliski, fontanny. Świat rozszerzał się, powiększał z każdym uderzeniem skrzydeł. Wydawał się nieskończony, ciągle zaskakujący, coraz rozleglejszy. Zamieszkiwały go ptaki i zwierzęta o nie znanych, niepokojących barwach i kształtach. Dziwiłeś się, poznawałeś, lecz nie przestawałeś się dziwić.

Wprawiały cię w zdumienie workowate dzioby pelikanów, różowość flamingów, szeregi czerwonych mrówek niespodziewanie wspinających się na twoją nogę, co wywoływało pieczenie i swędzenie.

- Co to? - pytałeś odkrywając świat i przeczuwając, że nigdy nie zrozumiesz go do końca.

Wkrótce oswoiłeś się z szarością i bielą ciężkich kamiennych brył. Coraz śmielej wykorzystywałeś ich pionowe ściany do szybkiego wlatywania ku krawędziom. Pióra w skrzydłach wydłużały się, twardniały, a ich

chorągiewki poszerzały się chwytając coraz więcej powietrza, uderzając sprężystej i silniej.

Latanie stało się radością, przyjemnością, celem samym w sobie.

Wiedziałaś, jak wzbić się pionowo i wylądować na rogatej głowie posągu, jak falistym lotem, wznosząc się i opadając, przelatywać z kolumny na kolumnę lub kluczyć między owalnymi, kamiennymi słupami i filarami. Wkrótce zauważyłaś niechęć, odrazę i strach, jakimi darzyły was inne ptaki. Gołębie gruchały, puszyły się, groźnie stroszyły pióra, unosiły skrzydła zamierzając się jak do uderzenia. Kruki, gawrony, wrony, kawki rzucały się i przepędzały nas z rozwartymi dziobami kracząc nienawistnie... Cietrzewie, bażanty, kuraki, kaczkę, gęsi, kormorany, czaple wrzeszczały, przebierając i tupiąc nogami... Słowiki, skowronki, dzierlatki, szczygły, czyżyki, szpaki, drozdy i kosy uciekały ostrzegając świergotem i kłaskaniem.

Budziłaś lęk i niechęć we wszystkich mniejszych od siebie ptakach.

Przystałaś więc szukać przyjaźni pośród nich. Dow i Pik stale otaczała rodzinna gromada srok, a spoza murów przylatywały inne sroki, czarno – granatowo – białe i białe – błękitne.

Te sroki natychmiast cię ostrzegą i obronią przed każdym niebezpieczeństwem. Trzeba stale być wśród swoich, blisko swoich, by zawsze słyszeć ich głosy. Słyszając rozmowy srok czułaś się pewnie i bezpiecznie.

Plądrowania cudzych gniazd, wykradania piskląt i jaj, wyczekiwania, aż gospodarz wyjdzie lub wyfrunie, uczyła mnie Pik. Czekala cierpliwie, aż szpaki, drozdy czy szczygły opuszczą gniazdo, by wtargnąć i błyskawicznie wyfrunąć, ściskając w dziobie trzepoczące pisklę.

Pik bała się tylko dzięciołów i unikała ich dziupli, nawet jeżeli dobiegały stamtąd odgłosy potomstwa. Była młodą sroką, gdy zakradła się do takiej dziupli w dębowym pniu. Rozbiła jajko i częściowo wyjadła żółtko oplecione krwawymi żyłkami. Rozejrzała się... Rozbiła następne jajko. I jeszcze następne. Zostawiła największe, białe, błyszczące w mroku. Postanowiła zabrać je i ukryć. Trzymane w poprzek z trudem mieściło się w rozwartym dziobie.

Chwyliła je więc wzdłuż i zaciskając pokrywy dzioba wyskoczyła na krawędź dziupli. Duży czarny ptak z czerwoną plamą na ciemieniu z całej siły wbił dziób pod jej żebra. Gwałtowny ból wypełnił brzuch i raptem zabrakło jej tchu. Jajko roztrzaskało się o konary, a Pik rozchwianym, niepewnym lotem opadła między liście.

Dzieciół rozwrzeszczał się, rozdzwiewczał, rozterkotał. Leciał za Pik czekając, aż usiądzie lub spadnie, a wtedy zadałby jej śmiertelne ciosy. Na szczęście w pobliżu wałęsała się rodzina srok i zwabiona okrzykami przepędziła rozwścieczonego dziecięcia, zmyślnie unikając ciosów ostrego jasnobrązowego dzioba. Teraz, kiedy Pik słyszy szybkie terkotanie dzioba o drzewo, leci w odwrotnym kierunku, strachliwie potrząsając głową i ogonem.

Gdy z północy dobiegł ją długi dźwięczny terkot, Pik wzdrygnęła się, otrząsnęła i szybko odleciała na południe.

Pik przebywała przez cały czas z rodziną bliższą i dalszą. Oblatywała liczne gniazda, które zbudowała sama lub z Dow. Nie były one tak skrupulatnie wymoszczone pierzem, mchem i papierem jak to, w którym wykluteś się, lecz w razie nagłej potrzeby nadawały się do zamieszkania.

Podczas oględzin swych gniazd Pik przynosiła kilka nowych gałązek i wplatała je w obłuzowane, nadwątlone ścianki. Pomagałem jej obserwując, jak przytrzymuje gałązkę pazurem, przygina i przewleka dziobem przez ledwie widoczną szczelinę. Niemal niezauważalnie wyciągała i wyrzucała zbutwiałe, spróchniałe, gnijące części gniazda. Usiłowałem jej pomagać.

Urosłem, rozrosłem się, obrostem białym, czarnym i granatowym puchem lśniącym purpurą, fioletem, zielenią, złotem... Z twardych i sztywnych dudek wydobywały się pierwsze pióra wydłużonego ogona.

Pik uczyła cię, pouczała, karciała, poszturchiwała, poganiała, odpędzała i przywoływała...

Podporządkowywałeś się, ale też nie wszyscy rodzice byli tak rozsądni, szybcy i przewidujący.

Zrozumiałeś, że ptaki muszą unikać wody, bo ich pióra szybko

mokną, nasiąkają i ciągną w dół, że skorupę ślimaka można stłuc o kamień, a zwilżona mucha lub pszczoła nie uciekną.

Orzechy zrucane z góry na kamienie tłuką się i rozbijają, a po połknięciu pająka czujesz się inaczej i wymiotujesz. Będę unikał pajaków. Przekonałeś się, że mączne bulwy i korzenie wysuszone i stwardniałe po namoczeniu w kałuży mięknią, łatwo dają się rozdziobać i zjeść...

Doświadczyłeś na własnych piórach, że sroki nie powinny fruwać podczas silnej wichury, bo lotki i sterówki ich ogonów i skrzydeł wykręcają się, strzępią i wyłamują.

Wiedziałeś coraz więcej z każdym dniem, z każdym wieczorem, z każdym lotem.

Czy poznałem już wszystko?

Czy świat niczym cię nie zaskoczy?

Przełamałeś strach. Nie bałeś się. Wylatywałeś z gniazda zachwycony swymi skrzydłami, siłą i blaskiem swych piór.

Ciemna bezksiężycowa noc. Silny północny wiatr wtargnął między drzewa. Dow i Pik zeszli do wnętrza, jakby chcieli dodać nam otuchy. Przetaczały się gromy, zapalały łuny, oślepiały błyskawice, runęła ulewa.

Błysnęło, rozświetliło gałęzie lśniące od deszczu. Wypełnił cię niepokój i zacząłeś się bać, jak nie opierzone słabe pisklę, które jeszcze nie umie fruwać. Dow i Pik okrywali nas skrzydłami.

Drzewo rozhuštało się, rozchwiało, zatrzeszczało. Grom uderzył w pobliżu, zawył, zahuczał... Byłeś najbliżej wyjścia i ogłuszony, oślepiony, przerażony rozpostarłeś skrzydła, wyślizgnałeś się, wypadłeś. Chciałeś wrócić, lecz podmuch przydusił cię, odrzucił i wylądowałeś na pobliskim krzewie jaśminu. Wczepiłeś się palcami w twardą, napiętą gałąź. Trzymałeś ją ze wszystkich sił.

Błyskawica objęła wysmukłą gęstwinę cyprysu. Huk i ogień uderzyły cię, ogłuszyły. Byłeś nieprzytomny ze strachu, lecz nie wypuściłeś z pazurów zbawiennej gałęzi. Drzewo płonęło, płonęło gniazdo, palili się Dow, Pik, rodzeństwo.

Patrzyłeś na tryskające iskrami żółte płomienie i bałeś się, bałeś,

bałeś...

– Sartoris! Sartoris! – krzychałem z ciemności, przeklinając ogień, deszcz i wiatr.

– Sartoris! – powtarzałeś coraz ciszej.

Poznałeś, Sartorisie, siłę gromu i ognia.

Przytulonego do gałęzi, wczepionego pazurami, pokrytego deszczową mgłą przerażały jaskrawe, strzelające płomienie pochłaniające drzewo. Żywica opadała błękitnymi kroplami, sycząc i parując. Ogień przygasał, zanikał i ponownie wybuchał, rozplomieniał się i przerzucał na sąsiednie drzewa.

Tu, w gęstym jaśminowym krzewie czułeś jego ciepło, gorąco, żar. Ogrzewał cię, zabijając i niszcząc twych najbliższych.

Fala błyskawic, gromów i ulewnego deszczu przesuwiała się nad miastem. Bałeś się zasnąć. Siłą starałeś się rozwierać oczy.

Jednostajnie szumiący deszcz spływał po liściach i kwiatach. Drzewo dogasało, zmieniając się w drgającą drobnymi płomyczkami czarną kolumnę. Trząśłeś się z chłodu, wilgoci, przerażenia.

Czy wtedy już śniłeś? A może to nie był sen? Przyśnili ci się ludzie, a właściwie szkielety, jak te leżące na ulicach i w budynkach. Rzucali kamieniami w drzewo... Gdy odleciałeś, obrzucali się wzajemnie. Kamienie zamieniają się w płomyki pełzające po dogasającym cyprysowym pniu.

Śnił ci się, chociaż nie wiesz, czy to na pewno był sen, Ogromny Przejrzysty Ptak przelatujący tuż nad krzewem jaśminu, w którym się ukryłeś. Przejrzyste skrzydła rozciągały się szeroko, obejmując całą otaczającą cię przestrzeń. Właściwie to on był tą przestrzenią, światłem, deszczem, mgłą, ogniem, ciemnymi strunami drzew, nisko pędzącymi obłokami, poszumem wiatru, zimnym blaskiem księżyca, który przeświecał przez chmury, poświatą.

Obejmował wszystko swą rozległą, nieogarnioną przezroczyością, jak jeszcze niedawno Dow i Pik ogrzewali cię puchem swych piersi. Przycupnałeś, zmaląłeś przestraszony jego wielkością, lecz on przeleciał nad tobą w świetle błyskawic, a tuż za nim pojawiły się ludzkie sfory ciskające

kamieniami.

Ścigały go?

Czy to w niego tak rzucają, czy we mnie?

Przesunąłeś się po konarze do bezpieczniejszego rozgałęzienia pod ciemną gęstwiną liści.

Budziło cię słońce... Przeciagnałeś się... Rozprostowałeś palce zaciśnięte i zdrętwiałe...

Skrzydła ścierpły, zwilgotniały, opadły... Machałeś skrzydłami, podfruwałeś, suszyłeś się stojąc na przygiętej jaśminowej gałęzi.

Gdzie Dow? Gdzie Pik? Gdzie rodzeństwo? Gdzie gniazdo?

Szelest... Szmer... Warczenie... Cienie pod drzewami... Wilki szukają, niuchają, grzebią między osmalonymi pniami... Podrywasz się, przeskakujesz na konary sąsiadującego dębu...

Spoglądasz w dół... Ruda wilczyca pożera nadpalone szczątki sroki... Młode wilki rozdrapują, rozgrzebują wypaloną ściółkę. Białe – czarne szczątki piór przypominają Pik... Krzyczysz, drzesz się, wołasz pochylając się i unosząc na gałęzi. Wilczyca nawet nie podniosła głowy.

Biegasz, krzyczysz, wołasz... Z daleka odpowiadają ci rozdrażnione sroki.

Zbiegły się, przyleciały, rozwrzeszczały nad wilczą watahą.

– Uciekajcie! Wyoście się! Precz! Wilki udawały, że nie słyszą jazgotu i nie widzą wyciągniętych, rozłuszczonych dziobów. Dopiero gdy kilka srok przeleciało tuż nad grzbietem wilczycy, muskając ją pazurami, wilki chwyciły w zęby resztki sroczej rodziny i odeszły.

Sroki leciały za nimi wśród gałęzi, aż do szeroko rozwartej bramy w pobliskich ruinach.

– Chcę jeść! – zawołałem.

– Jesteś obcy! Odejdź! – stary samiec uderzył cię skrzydłem tak silnie, że spadłeś na niższą gałąź.

– Jeść! – powtórzyłem, lecz sroki nie zwróciły na mnie uwagi.

Próbowałeś, starałeś się, zabiegałeś o przyjęcie do jakiegokolwiek sroczej rodziny. Usiłowałeś wśliznąć się do gniazda i pozostać. Robiłeś to

jawnie, przy gospodarzach, i wtedy, gdy gniazdo było opuszczone.

– Jesteś obcy! Wynoś się! Odejdź! – ścigały cię wściekłe głosy.

Uciekałeś pobity, opluty, przerażony, głodny. Umiałeś już jeść i samodzielnie zdobywać jedzenie, ale lubiłeś, gdy Pik lub Dow dzielili się z tobą małym wróblem, purpurową gąsienicą motyla lub mączną, ziemną bulwą. Przyzwyczyłeś się, że nigdy ci nie odmawiali, a przeciwnie, chętnie wkładali jedzenie w zachłannie rozdziawione dzioby sporych już, opierzonych ptaków.

– Nie należysz do nas! Uciekaj!

Odlatywałeś. Byłeś sam, coraz smutniejszy, coraz bardziej samotny, opuszczony. Tęskniłeś za Pik i Dow, za rodzeństwem, za gniazdem, za starym cyprysem, gdzie znałeś każde załamanie kory i każdy sęk w gałęzi, za wspólnymi lotami na dachy i kopuły miasta, do złocistych wewnątrz pełnych marmurowych figur, złocień, malowideł.

Byłem sam i ta samotność bolała mnie bardziej od jazgotu zagńiewanych srok i wymierzonych we mnie dziobów.

Przypomniałeś sobie gniazda, które beztriosko oblatywałeś razem z Pik i Dow... Teraz mogły się przydać...

Leciałeś z bijącym sercem... Czyżbyś się spodziewał, że zastaniesz tam rodziców? A jednak pędziłeś, jakbyś w to wierzył.

Gniazdo na płatanie zajęły ciemnoszare wrony. Ledwie usiadłeś na ułamanej bezlistnej gałęzi, a już wyskoczyły ze złowrogim krakaniem.

Z gniazda w pomarańczowym gaju dochodziły pokrzykiwania siedzących na jajach obcych srok. Nawet nie próbowałeś wejść.

Nie dokończone gniazdo na powykręcanej gałęzi oliwkowego drzewa wydawało się bezpieczne. Spędziłeś tu kilka nocy, aż niespodziewanie przepędziły cię mieszkające obok sójki.

Byłeś sam, bez gniazda, wśród ptaków, które uważały cię za obcego, traktowały wrogo i nienawistnie.

Wieczorem przylatywałeś na krzak jaśminu, który podczas tamtej okrutnej nocy był twym schronieniem, siadałeś na chropowatej gałęzi, zaciskałeś kurczowo palce, wczepiając pazury w korę. Czekałeś. Walczyłeś

ze snem, bojąc się podchodzących pod drzewo szkieletów.

Skradały się rozchybotane, wydłużone, pochylone. Kulileś się z zimna, drżałeś obawiając się nocnych drapieżników.

Wychudzony, ze zmierzwionym puchem boleśnie przeżywałem coraz częstsze wypadanie piór z ogona i skrzydeł. Ptak, który straci lotne pióra, nie może uciekać i ginie. A dutki, stosiny, chorągiewki twych piór kruszyły się, łamały, chwiały. Co rano czyściłeś je i przeczesywałeś z lękiem, że wypadną i nie będziesz mógł polecieć nawet do najbliższego stawu.

Wypadały... Gubiłeś zmatowiałe pióra i rozkładając skrzydła dostrzegałeś coraz większe wyrwy... Żółte narośla wokół dzioba ściemniały.

Sroki Los i Nić mieszkaly w gęstej, rozrośniętej kępie akacji, w pobliżu srebrzystej kopuły. W grubej, pobrużdżonej czarnej korze wyłapywały płaskie czerwone owady, włochate zielone liszki i odpoczywające tu osy, ciężkie od nektaru z białych odurzających kwiatów. Ich sroczęta rosły. Los i Nić uczyli je polować na myszy, chomiki, nornice, badylarki. Siedziałem na głowie posągu, gdy ich potomstwo wzbiło się nagle spomiędzy szarych kolumn spłoszone naszczekiwaniem lisa.

Otoczyły cię, potraściły, zaczepiły. Pofrunąłeś, ścigając się z nimi, goniąc, przedrzeźniając, poszczypując dziobem, koziółkując i przekręcając się w locie.

Zapomniałeś o samotności, wypadających piórach, deszczowej nocy i ogniu, który pochłonał twą rodzinę. Znowu byłeś szczęśliwą młodą sroką, jak kiedyś.

Zapędziłem się, wleciałem wraz z młodymi srokami między kolczaste akacjowe gałęzie, usiadłem na rozłożystym konarze przed dużym, szerokim gniazdem.

- Chodźcie! - wołał Los.

- Szybciej! - ponaglała Nić.

Zatrzymałeś się. Stałeś pomiędzy potężnymi srokami, które przyglądały się z zaciekawieniem twoim matowiejącym, poharatanym piórom.

Nie przepędziły cię, nie pobiły, nie wyganiały. Nić dotknęła cię

dziobem, jakbyś był jej pisklęciem, jakby znała cię od dawna.

Wkrótce powrócił Los i położył przed wami młodą, roztrzępotaną jaskółkę.

Należałeś już do ich gniazda.

Zatrzymałeś się na gałęzi prowadzącej do wejścia, niepewny, z rozbieganym wzrokiem i drżącym nie opierzonym podgardlem. Jeszcze się bałeś. Bałeś się, chociaż przyjęłam cię, przygarnęłam, otuliłam skrzydłami jak własne pisklę. Nie dowierzałeś nam, nie ufałeś, jak wszystkim srokom, które odpędzały cię, straszyły, strącały, biły.

Dni i noce, które spędziłeś w gałęziach jaśminu, owocowały teraz podejrzliwością i lękiem. Patrząc rozszerzonymi oczami w prowadzący do gniazda otwór zastanawiałeś się, dlaczego nie unoszę skrzydła do uderzenia i nie rozdziawiam dzioba w ochryplym, odstrasającym wrzasku.

Przyzwyczyłaś się już, że ptaki zaciekle bronią małych terenów wokół swych gniazd i dojść można jedynie do punktu, do granicy ich poczucia własności.

– Dlaczego mnie nie przepędzają? – zastanawiasz się.

Pytasz skrętami szyi, ruchami nóg, opuszczaniem i potrząsaniem piór na kuprze, zwężeniem i rozszerzeniem oczu, gestami skrzydeł.

Stoję, czekam, życzliwie odchylam głowę.

Dlaczego? Może wrzaśnie i uderzy, kiedy podejde wzduż gałęzi, gdy potknę się na zadziornie lub sęku? Czy wtedy rzuci się na mnie?

– Nie bój się! – mówię łagodnie, mrużąc oczy i opuszczając ogon.

Czy sądzisz, że nie zauważyłam, jak niedawno schroniłeś się w moim gnieździe, wśród moich piskląt?

Wiem, że nie pochodzisz z mojego jajka i nie jesteś moim pisklęciem. Ty jednak wierzysz, że mnie przechytryłeś?

Gdy przyleciałeś, od razu wiedziałam, że to ty.

Widziałam cię wcześniej, jeszcze w gnieździe Pik i Dow, z którego także pochodzę.

Wyklułam się tam o kilka zim wcześniej, a Pik pozwalała mi niekiedy wracać i zaglądać do rodzinnego gniazda. Kiedy zobaczyłam cię po

raz pierwszy, byłeś nagi i ślepy.

Wyróżniała cię wielkość, ruchliwość i siła, z jaką rozpierałeś się i kręciłeś pod rozpostartym skrzydłem Pik.

Pod cienką, czerwonawosiną błoną twoje niewidzące oczy obracały się, poruszały, przeczuwały światło.

Chciałeś poznać, zobaczyć, przejrzeć, zrozumieć, widzieć i wiedzieć jak moje własne pisklęta.

Zamierałam usunąć z gałązki grudkę twego kału, ale Pik nastroszyła się, zeszywniała i zazdrośnie kłapnęła dziobem.

Nie pozwoliła mi podejść bliżej.

Zapamiętałam cię jednak, bo wydawałeś się inny, odmienny. Nie obcy, lecz właśnie inny.

Inny, lecz nadal nasz, swój, taki jak my, a różny od wszystkich srok, jakie znam. Kręcisz głową, zerkasz bokiem, potrząsasz skrzydłami. Wahasz się już zbyt długo.

– Wejź, Sartorisie! – powtarzam. – To twoje gniazdo.

Przez chwilę będziesz niepewny. Rozejrzysz się, sprawdzisz, czy w razie niespodziewanego ataku zdołasz się szybko wycofać.

Podniesiesz głowę wysoko i wejdiesz.

Wpadający promień wzniecił blask wśród próchniejących kości i zszarzałych tkanin. Już wcześniej obracałeś i układałeś w gnieździe błyszczące przedmioty. Ich odbite lśnienie rozjaśniało wnętrze, pomagało srokom odnajdywać kierunek, trafiać w półmroku do wyjścia. Wyprostowałeś się, uderzyłeś piórami o kamień. Błysk załśnił ostrą barwą wypolerowanego złota, zachwyił cię, oszołomił.

– Co to? Chcę to mieć! To moje!

Urzeczony pochyliłeś się i usiłowałeś ściągnąć dziobem z ciemnej, podłużnej kości złoty pierścień. Wyschnięte ścięgna oparły się szarpnięciom. Zacisnąłeś mocniej, uniosłeś dziób, przekrzywiłeś głowę mocując się z błyszczącym metalowym kółkiem. Staw wykruszył się, pękł. Trzymałeś w dziobie złotą migocącą zdobycz. Była chłodna, twarda, świecąca.

– To moje! – wrzasnąłeś tryumfalnie. – Tylko moje!

Przytrzymałeś pazurami pierścień usiłując rozkuć metal dziobem w nadziei, że nadaje się do zjedzenia.

Złoto nie dało się rozbić i podzielić. Przelatujące pod kopułą kawki i gołębie wzbudziły twe obawy. Wszystko, co dotychczas zdobywałeś, musiałeś porywać, wrywać, zabierać, podkradać.

Czy gołębie i kawki też zachwycają się złotem?

Przeniosłeś pierścień na szczyt pobliskiego posągu.

– Tylko moje! Nie ruszać! – przestrzegałeś fruujące wokół ptaki.

Znowu usiłujesz rozbić pierścień, waląc dziobem ze wszystkich sił.

– Mój! Mój! – powtarzałeś.

Nie pękł, nie rozsypał się, nie skruszał. Tu, bliżej wpadającego przez lunety światła, błyszczał jeszcze jaskrawiej.

Dziób zabolął od uderzeń, oczy zaszyły gniewnym bielmem. Obracałeś go na wszystkie strony, kłułeś, szczypałeś, nadgryzałeś. Złoto pozostało nie zmienione, nie naruszone, tylko gdzieś zatarło się nieznacznie.

– Już wiem!

Z pierścieniem wyfrunąłeś przez najbliższą lunetę i wylądowałeś tuż przy stawie zarośniętym grzybieniami i sitowiem.

Jeżeli woda zmiękcza nasiona, wyschnięte mięso, kłącza i bulwy, to może przecież rozmiękczyć złociście pobłyskujący metal.

– Oczywiście, że tak! Oczywiście, że tak! – upewniałeś sam siebie.

Rozejrzałeś się... Wypełnione wodą wgłębienie w kamiennej płycie. Podbiegłeś, zacisnąłeś na pierścieniu pokrywy dzioba i zanurzyłeś go w wodzie. Poszerzył się, zachybotał, pozieleniał. Potrząsałeś, by przyspieszyć rozmiękczenie. Trzymałeś mocno, bojąc się, że wpadnie głębiej. Zachwycony wpatrujesz się jak lśni, błyszczący na dnie. Podskakujesz, chodzisz dokoła, niecierpliwie przebierając nogami. Może woda już go rozmiękczyła? Wsuwasz dziób, próbujesz. Nic.

Rozdrażniony kręcisz głową nad zanurzonym złotem.

– Jak długo jeszcze? – pytasz ze złością. Wysoko nad balustradą pojawia się biało – czarna chmara. Sroki, cała moja rodzina. Unoszą i

opuszczają głowy, pochylają się, podfruwają.

– Sartoris! Odnalazliśmy Sartorisa!

Puch unosi się na głowie ze złości. Czy nie odbiorą mi złota? Mojego własnego złota?

Złota, które znalazłem? Przecież podkradają i zabierają sobie wszystko, kłócąc się i złoścąc. Pierścień błyszczący w kałuży. Już go zobaczyły.

– Co tam masz, Sartorisie? Co znalazłeś?

Chwytasz pierścień w dziób, wyjmujesz z wody. Blask aż razi oczy.

– Daj! Oddaj! Pokaż! To moje! – krzyczy każda z osobna.

– To tylko moje! Tylko moje! – krzyczysz z wściekłością, przewracając białkami oczu, i odlatujesz.

Sroki lecą za tobą krzycząc i bijąc skrzydłami. Nurkują, spadają, wznoszą się, otaczają cię, osaczają. Jesteś nad środkiem stawu, gdy z dołu dopada cię chmara.

– Oddaj! To moje! – drze się każda.

Podlatują z boku, zlatują z góry.

Jak uciec? Gdzie uciec? Dokąd lecieć?

Przed tobą, na przeciwległym krańcu stawu też czekają sroki.

– Jesteś, Sartorisie! Co tam trzymasz? Oddaj! Daj!

Sroczy chór otacza cię, okrąża.

Są blisko, są wokół. Dzioby wyciągają się po złoto.

Kto wytrącił ci pierścień? Kto uderzył dziobem czy skrzydłem w błyszczący krążek? A może to ty na chwilę rozluźniłeś uchwyt?

Pierścień spada jak żółty płomyk. Plusk. Na wodzie rozchodzą się kręgi.

– Spadł! Nie ma złota! – denerwują się sroki.

Przez najbliższe dni będziesz krążył nad stawem wypatrując w toni błyszczącego pierścienia. Kiedy słońce wzniesie się najwyżej, zobaczysz na dnie przytłumiony blask, złocisty punkt.

Wkrótce blask zniknie, a ty o nim zapomnisz.

Bał się powrotu ludzi, spotykał ich ślady, rozsypujące się szkielety,

domy, mury, drogi, stalowe przęsła, płyty, ruiny, betonowe zręby. Widział szczątki, zniszczenie, śmierć, a jednak nie wierzył, że ich nie ma. Wystarczyło, by przysnął na gałęzi, a już pojawiała się pod drzewem klekocąca żebrami, zuchwała gromada natrętnych szkieletów. Rozwleczone kości, otwarte drzwi, puste domy... Wydawało się, że ludzkość wyginęła, zniknęła, ustąpiła przed silniejszymi gatunkami zwierząt.

Szkielety były wszędzie, leżały, stały, siedziały, wspinały się na schody, obejmowały, łączyły. Na placach, na asfaltowych pasach, w domach, pod drzewami, wewnątrz stalowych skorodowanych pudeł... Śmierć ich zaskoczyła, unicestwiła niespodziewanie. Sartoris przelatywał nad ulicami, placami, dachami i chociaż dostrzegał wokół śmierć i tylko śmierć, to nadal bał się powrotu ludzi.

To, co pozostawili, było potężne, ogromne, przytłaczające. Jeszcze teraz niektóre ptaki boją się wchodzić do rozwartych bram, głębokich szybów, piwnic, korytarzy, labiryntów, tuneli.

Ty też wlatujesz z obawą, że zatrzasną się drzwi, zamknie okiennica i nie będziesz mógł powrócić. Czy to możliwe, by nikt nie pozostał? Czy to możliwe, żeby wszyscy wymarli?

Sroki ciągną za tobą, odpowiadają na wezwania. Jesteś najmłodszym przywódcą sroczej gromady. Nie dociekasz, nie zastanawiasz się dlaczego? Dlaczego słuchają właśnie ciebie?

Godzisz się z ich wolą. Cieszy cię, że już teraz, po pierwszej zimie, kiedy kończy się wiosenne przesilenie, a ty stałeś się dużą, lśniąca i obficie opierzoną sroką, uznały cię, okrzyknęły swym przywódcą.

Lecz inne sroki nie czują lęku przed martwymi ludźmi. A ty nie chcesz się zdradzić, przyznać, że boisz się, bo wówczas przestałyby cię słuchać.

Domy ze szkła i stali. Rozpłomienione w słońcu, parzące skrzydła, przepastne. Wróble, gołębie, kawki, wrony wykorzystywały każdą szczelinę, otwór, wietrznik, rozbitą szybę, otwarte okno, by wtargnąć do środka i założyć gniazda nawet w biurkach, szafach, szufladach, segregatorach, na krzesłach, sofach, fotelach.

Ty wolisz nadal mozolnie przeplatać w gałęziach chrust, patyki, druty, strzępki, kable i cienkie kości. Tam gniazdo jest osłonięte przed deszczem, wiatrem, upałem, śniegiem, ale ty wolisz pozostać tu, bo w rozległej, zielonej przestrzeni czujesz się bezpieczniejszy.

Od dawna dręczy cię, Sartorisie, niepewność ludzkiego losu? Znasz ludzi nie tylko z rozsypujących się szkieletów i szczątków odzieży. Znasz ich z pomników, kamiennych i gipsowych figur, których tak wiele stoi w miastach. Patrzysz im w twarze, dziobiesz ich kamienne oczy, usta, nosy, znacznysz je swym kałem.

Czy pomników też się obawiasz, że przypadkiem ożyją i poruszą się? Że obrzucą cię kamieniami?

A może uśpieni ludzie przeobrażają się w kamienie?

A kamienie? Czy nie przemieniają się w ludzi?

Na szczytach ludzkich siedzib budują gniazda orły, sokoły, jastrzębie. Na niższych piętrach gniazdują bociany, pelikany, żurawie. Sowy zamieszkują wnętrza wież, betonowe bunkry pozbawione okien. Kiedy przełatujesz, klekocące bociany zarzucają głowy do tyłu, syczą, uderzają skrzydłami, odpędzają cię.

Niżej przemykają wilki polujące na drobną zwierzynę, kryjącą się w sieniach, bramach, lochach, piwnicach, podziemiach i w porastającej wszystko drobnej roślinności, wśród karłowatych drzewek, w krzewach, powojach, pełzającym bluszczu, winorośli i trawie.

Dokoła ślady, tropy, znaki, budowle tych nieznanych, odległych, którzy byli tu kiedyś przed tobą.

Leć za Sartorisem i uważaj, bo zajęty i przejęty jakimiś poszukiwaniami może nie dostrzec w porę skradającego się niebezpieczeństwa. Nie rozumiem, co go tak pochłania? Dlaczego lata nad miastem i stale czegoś wypatruje? Czy wie, czego szuka?

Lisy, wilki, kuny, tchórze, rysie, borsuki, psy, kocury, wydry, węże, żmije, jastrzębie, pustułki, sokoły czyhają, czekają, śledzą ruchy sroczej gromady.

- Sartorisie! - krzyczę zaniepokojona. - Spójrz tam...

Wilki walczą o samicę. Na wzgórzu pokrytym betonem, asfaltem i szkłem wylegująca się wataha patrzy na wytrzeszczone, przekrwione oczy walczących, obnażone białe zęby, napięte do skoku grzbiety. Okrażają się, obchodzą szukając najlepszego momentu do zadania śmiertelnego ciosu. Warczenie, naszczekiwanie, skowyt, wycie, parskanie...

Przelatujesz nad zawilczonym wzgórzem, nie czekając na rozstrzygnięcie tej walki, na krew z głębokich ran, którą pijesz lub zgęstniałą zbierasz dziobem z kamieni. Wilki drżą z nienawiści... Wilczyca patrzy z wysoka na rywali dumnie unosząc głowę. I nagle wilki cofają się, podkulają ogony i uciekają, przerażone własną nienawiścią.

Sartoris zatacza koła nad ulicami otaczającymi wzgórze i powraca na plac opuszczony przez walczące zwierzęta.

Wilczyca pozostała... Pod jej brzuchem dwie postacie wspinają się do sutek.

Siadasz na gałęzi lichego pożółkłego cedru, uważnie przyglądasz się wilczycy i małym ludziom sięgającym do jej sutek.

– To oni! – wyciągam głowę ku wilczycy i wrzeszczę przeciągle, skrzeczę, wzywam. – Obudźcie się! Obudźcie! Już wiem! Wiem!

Podchodzi zygżakiem, ostrożnie, by w każdej chwili móc uciec. Wilczyca czeka, jak i obie sylwetki zastygłe pod jej brzuchem.

Co wiesz, Sartorisie? Czego się dowiedziałeś o zwierzętach, które zamieszkiwały te wzgórza przed nami? Co powiedziała ci nieruchoma wilczyca o piersiach nabrzmiąłych mlekiem?

Sartoris zbliża się do postumentu i od tyłu chwyta wysunięty koniuszek opuszczonego ogona. Metal. Wilczyca jest z brązowego, zimnego metalu.

Sartoris wskakuje na grzbiet, szarpie za sterczące uszy, drapie brąz pazurami, wali dziobem w oczy, prycha i sapie z zadziwienia.

Zniecierpliwiony zeskakuje pod brzuch. Sięgające sutek postacie też są z metalu. Sartoris sprawdza każdy szczegół, palce, stopy, twarze, kolana, łokcie, dłonie. Usiłuje dotknąć twarzy szczeniąt wpatrzonych w wypełniony mlekiem brzuch. Gromada srok zleciała za Sartorisem.

Dziobią, szczypią, kuja, kłują, uderzają, lecz na metalu nie pojawia się nawet rysa.

Sartoris podskakuje wkoło metalowej wilczycy i jej ludzkich dzieci. Szeleści skrzydłami, trzepie ogonem, kręci głową.

Ponownie wskakuje na grzbiet wilczycy i wyjaśnia, obwieszcza.

– Wiem! Wiem! – rozbrzmiewa donośne terkotanie Sartorisa.

Rozumiem, Sartorisie, zrozumiałam, kiedy ujrzałam dziwaczną wilczycę z brązu i małych ludzi pod jej brzuchem. To wilczyce rodzą ludzi, karmią swym mlekiem i wychowują. Małe wilki pod brzuchami matek zamieniają się niekiedy w małych ludzi. Wilków trzeba się więc wystrzeżać i bać.

Czy wilczyce znowu nie urodzą ludzi? Czy nie odrodzą ludzkości?

Nastawione uszy słuchają. Nieruchome oczy dostrzegają. Z rozwartej metalowej paszczy sterczą kły pokryte zielonym nalotem. Pod skórą rysują się mięśnie i żebra. Wilczyca gotowa jest bronić swych ludzkich dzieci.

Sartoris zdumiony kręci głową nad swym odkryciem. Jeżeli wilki zrodziły ludzi, to ludzie jak wilki również pożerali wszystko, co żyło, co znajdowali na swej drodze. Pożądali mięsa i krwi, a kiedy nie mogli już zdobyć innego pokarmu, pozagryzali się i pozjadali do ostatniego.

Stąd tyle kości bielejących we wszystkich zakątkach miasta.

– Wiem! Już wiem! – głos Sartorisa brzmi złowrogo, złowróźnie. – Wystrzegajmy się wilków! Uważajmy na wilczyce i wilczęta!

Sroki rozleciały się, rozbiegły. Tylko Sartoris i ja fruwamy, chodzimy, krążymy wokół metalowej wilczycy i jej miotu, nie mogąc uwierzyć, że to prawda.

Rea.

Zapamiętałam kości wystające z chudego grzbietu, kanciastą, ruchliwą głowę z sinymi otworami uszu, bystre oczy i dziób większy niż u pozostałych piskląt. Dorastała szybko...

Pierwsza porosta puchem i piórami. Niesforna, nieposłuszna, złośliwa wylatywała z gniazda lekceważąc ostrzeżenia i uderzenia. Śmierć

innych srok nie przerażała jej, a przeciwnie, czyniła z niej jeszcze bardziej natarczywą, natrętną i wojowniczą.

Pamiętam jak z wrzaskiem doskakiwała do podstarzałego, wychudzonego myszołowa, oskubującego z puchu schwytaną właśnie przepiórkę.

Dolatywała, pociągła za wystające pióra w ogonie i umykała, chowając się za młode dębowe zarośla. Co za odwaga, by dręczyć największego wroga srok!

Rozjuszony ptak chwycił konającą przepiórkę w szpony i uciekł w spokojniejsze miejsce.

Wyrośla, usamodzielniała się, odfrunęła.

Niedaleko.

Spała w pobliskiej dziupli po przepędzonych wiewiórkach.

Budziła nas co rano piskliwym, nachalnym wrzaskiem, od którego dygotały liście. Nie zrażała się przepędzaniem, niechęcią, wrogością, zamierzającymi się na nią dziobami.

Jej obrośnięty ciemną szczecina dziób zgrubiał, zakrzywił się, zagął w haczykowane ostrze. Teraz boją się Rei nawet większe od niej i starsze sroki. Zazdroszczą jej odwagi, z jaką atakuje wilcze grzbiety, wyrwijając z nich w niskim locie kępki sierści, tuż obok kłapiących wściekle zębisk.

Początkowo nie dostrzegała Sartorisa.

Może udawała, że go nie dostrzega?

Na pewno zauważyła, że wszystkie sroki, oprócz niej, widzą w nim swego przywódcę.

A jednak zachowywała się tak, jakby go nie widziała. Nawet kiedy ostrzegał przed niebezpieczeństwem i wszystkie sroki zrywały się i odlatywały, Rea pozostawała, rozglądała się i wybierała własną, odrębną drogę ucieczki.

Chyba właśnie dlatego Sartoris zauważył ją, wybrał i postanowił uczynić swą sroką, towarzyszką życia. Z podziwu dla jej odwagi czy z przekory?

Zabiegał, biegał, nadskakiwał, odpędzał innych nie dopuszczając

do miłosnego zbliżenia ze swą wybranką.

Stał się zazdrosny o chudą, kościstą srokę, która go lekceważyła!

Wkrótce Rea zrozumiała, że przy Sartorisie może zająć miejsce szczególne, dające jej władzę nad pozostałymi.

Widziała, że boimy się go, słuchamy, fruniemy za nim, dzielimy się zdobyczami.

Przemysłnie rozbudzała jego zazdrość strosząc puch, potrząsając piórami, skacząc i wirując przed innymi.

Siadała na przeciwległym murku, przeciągała się, ziewała, odwracała główkę.

Sartoris siadał, wpatrywał się, podziwiał, zachwycił. Prychał ze złością, gdy zbliżały się inne sroki, i nawet na mnie zamierzył się wtedy dziobem.

Rea udawała obojętność, pozornie lekceważyła go, czując, że przyciąga go swym niedostrzeganiem. Nie zatrzymywała, gdy odlatywał. Nie wołała, by leciał za nią.

W porannym ciepłym słońcu Rea zauważyła większą od siebie, lśniąca granatem srokę, która przysiadła na gałęzi w pobliżu Sartorisa i bardzo starała się, by ją zauważył. Kusiła go rozkładaniem skrzydeł, otwieraniem i zamykaniem dzioba. Strzygła oczami, mrugała, puszyła się, ścierała szpony na twardej korze. Rea natychmiast zrozumiała, że może stracić swą szansę.

Sfrunęła, krzyknęła, strąciła zaskoczoną rywalkę, otarła się skrzydłem o Sartorisa, który widział już tylko ją.

Na szerokim, dębowym konarze Rea usiadła, spokorniała, zadrżała, zatrzęsała skrzydełkami, opuściła dziób, wypięła grzbiet, zastygła w oczekiwaniu.

Rozświetlone słońcem ciemnobrązowe oczy zaszklily się, zaokrągliły, rozszerzyły.

Sartoris krzyknął z radości.

Rea leżała pod nim nieruchoma, a on bił skrzydłami na jej grzbiecie.

Aż do wieczora z rozłożystej korony dębu dobiegał szum skrzydeł i uszczęśliwiony głos Sartorisa.

Przylatywał na wzgórze, siadał na cedrowym konarze i patrzył na posąg wilczycy i jej dzieci. Staralam się być z Sartorisem w tych wieczornych wyprawach.

Przewycięzał strach i przylatywał tuż przed zmierzchem, kiedy schodziły się wilki. Przybywały z innych okolic miasta, gromadziły się przed posągiem i wyły głucho do białego wieczornego księżyca, który dopiero w nocy stawał się złoto – czerwony.

Szczególnie wytrwale przyglądał się młodym wilkom. Im były młodsze, tym większą budziły w nim ciekawość. Kiedy w ciągu dnia spotykał ciężarną wilczycę, zarzucał dotychczasowe zamiary i leciał jej tropem z nadzieją, że dowie się więcej o jej wilczo – ludzkim potomstwie. Wyleniałe, wychudzone wilczyce pilnowały swych dzieci, ukrywając się z nimi w głębokich zakamarkach, ruinach, grobach, kopiąc i wydrapując doły, norry, tunele.

Kiedy Sartoris spostrzegł wilczycę ciężarną lub karmiącą, najeżał się, stoszył puch, obruszał się strachliwie i milczał, nie zdradzając swej obecności.

Wzlatywał wysoko i skacząc z gałęzi na gałąź uparcie podążał ku jej ukrytym szczeniętom. Nie rozumiałam, dlaczego tak postępuje.

W skwarne południa Sartoris odpoczywał wśród odurzających magnolii. W przenikającym wszystko ciężkim zapachu biało – różowych kwiatów usypiał głęboko i spokojnie. Tu nie męczyły go sny, zwidy, korowody ludzkich szkieletów rzucających kamieniami i usiłujących go schwytać.

Podjezewałam, że odpoczywa tu, by zapomnieć i uciec od tych przerażających snów.

Podrzemywał właśnie w cieniu spiętrzonych nad nami gałęzi, przitulony do białego gładkiego pnia, gdy z dołu dobiegł szelest, szmer przemykającego szybko zwierzęcia. Otworzył oczy. Wyprostował się, wysunął do przodu głowę.

Niżej przesuwała się wilczyca. Chuda, wyleniała, z zapadniętymi bokami i podkulonym ogonem szła do swej nory. Wydłużone, wiszące pod brzuchem sutki wskazywały, że karmi potomstwo. Ludzi czy wilki? Wilkoludzi czy człekowilczęta? Sartoris śledził z napięciem każdy jej krok, przeskakując błyskawicznie z gałęzi na gałąź w zupełnym milczeniu. Biegła pokonując z trudem progi, stopnie, krawężniki, wyżej i wyżej, na wzgórze. Rozglądała się czerwonymi głodnymi oczami, szukając mięsa i krwi. Sartoris czekał. Zastygła przy króliczej norze ukrytej w gęstych zaroślach obrastających rumowisko płyt.

Pisk, szamotanie... Strzęp królika ginie w okrwawionej paszczy. Wilczyca zaciska zęby na uchu, niesie głowę z resztkami tułowia do swej nory.

Sartoris leci między wierzchołkami drzew, przeskakuje bezszelestnie z konaru na konar, z muru na mur, z okna na okno.

Wilczyca z podkulonym ogonem trzyma w pysku zakrwawioną króliczą głowę. Skręca w wąskie, zacienione nadrzeczne uliczki, kluczy wśród rumowisk.

Sartoris krąży nad nią falistym lotem, wzbija się, nurkuje. Cichy, zdecydowany, przebiegły stara się ukryć swoje zainteresowanie.

Wilczyca mocno ściskając w szczękach króliczą głowę pędzi naprzód po asfalcie rozgrzanym przez słońce.

Wznoszące prądy powietrza podbijają Sartorisa. Unosi skrzydła, wyprostowuje nogi, opada.

Przez szeroki plac z marmurową fontanną, w górę po rozłożystych schodach.

Wilczyca znika nagle w bramie pozbawionej połowy drzwi. Sartoris siada na kamiennym nadprożu i stara się zajrzeć do wnętrza. Skowyt, skomlenie, popiskiwanie... Tam są szczenięta... Wilcze? A może ludzkie? Sartoris zlatuje na chodnik. Jestem przy nim... Odłupujemy ze ścian żółte okruchy tynku. Z bramy dolatuje warczenie, odgłosy ssania. Sartoris siada na bezgłowym wysmukłym posągu. Przysiadam nieco niżej na postumencie.

Czekamy cierpliwie, wilczyca przecież w końcu musi wyjść, chociażby do najbliższej kałuży. Sartoris niecierpliwi się, krąży wokół posągu, raz po raz zerkając ku bramie. Kiedy staram się o niego otrzeć, musnąć go dziobem, przyciągnąć lśnącymi barwami piór, karci mnie uderzeniem dzioba w grzbiet.

I nagle, tuż za nami, rozlega się rozgniewany skrzek Rei.

– Tu was znalazłam! Tu jesteś! Co ona tu robi?

Jestem jej rywalką. Skacze mi do oczu, usiłuje przepędzić. Bezskutecznie. Jestem obok nich od dawna i nigdy nie udało się jej skłonić mnie do odejścia.

Sartoris podfruwa rozdrażniony. Wilczyca też usłyszała złośliwy skrzek. Rea milknie. Rozumie, że Sartoris czeka na zwierzę, które wyłoni się z bramy. Krążymy wokół posągu łowiąc drobne owady.

Wilczyca niespodziewanie wybiega z bramy. Rozgląda się, czy jej potomstwu nie zagraża inny wilk, ryś, niedźwiedź, borsuk. Lekceważy podskakujące między kolumnami skrzekliwe sroki. Biegnie w dół po schodach. Skręca w uliczkę prowadzącą ku rzece.

Sartoris śledzi z wysoka jej wędrówkę.

Wilczyca pędzi do wody. Sartoris wraca, opada. Kołyszącym krokiem zbliża się do bramy.

Wyciąga głowę. Sprawdza, czy w głębi nie ma innego dorosłego wilka.

Wchodzi ostrożnie z wysuniętym dziobem. Pochłania go cień. Wbiegam za nim. Rea czuwa na zewnątrz, by uprzedzić nas o powrocie wilczycy.

Wiatr szumi w rynnach, wietrznikach, w bramach rozwartych na przestrzał. Z wysoka dochodzą głosy kawek i mew lecących nad morze.

Brzęczą trzmiele, osy, świerszcze. Rea patrzy na róg ulicy, gdzie zniknęła wilczyca.

Za chwilę rozlegnie się skowyt, skomlenie, pisk, szamotanie, jęk.

Wylatujemy z zakrwawionymi dziobami, wzbijamy się nad dachy i drzewa.

Wilczyca zastanie swe dzieci z pustymi jamami zamiast oczu, oczu, które nie widziały jeszcze niczego. Wijące się w bólu, zapłakane, skowyczące. Położy się na nich, wyliże poranione oczodoły, przygarnie do sutek.

Skowyt i ból długo rozbrzmiewają w okolicy. W końcu jednak wilki usną. Lecz kiedy w nocy siwe światło księżycy oświecili bramę, znowu rozlegnie się rozpaczliwe, przerażające wycie.

Zaalarmowało nas wyzywające lśnienie białopiórej kawki. Leciała nad rdzawoczerwonymi murami przywołując resztę swej rodziny.

Rozrzepotała się, rozkrzyczała nad wieżą.

Dostrzegł ją sokół z wysokiego gniazda piętrzącego się na kopule.

Zauważyły jastrzębie wypatrujące zdobyczy w wąwozach ulic. Nawet stary sęp biegający po kolumnadzie nerwowo załopotał skrzydłami i wyciągnął szyję ku białej błyskawicy.

– Dość! – krzyczał Sartoris.

Frunęłyśmy za nim. Postanowił przepędzić Białopiórą, zapędzić ją do gniazda. Niech siedzi w szczelinie i nie sprowadza na nas niebezpieczeństwa.

Leniwy wilk ogryzający stare kości, wpatrzony w biały wirujący punkt, zakrzuszył się, zadławił, zwymiotował i wściekle zawył.

– Dość! – Sartoris uderza Białopiórą skrzydłem i dziobem.

Otoczyły nas rozwrzeszczane, rozłoszczone kawki. Białopióra uciekła, zatoczyła łuk, opadła, schowała się w podłużnym okienku. Zdenerwowane ptaki długo jeszcze krążyły wokół czerwonych murów.

Chciałam być blisko Sartorisa. Zdenerwowany, zdyszany, roztrzęsiony usiłował zgubić pozostałe sroki i zaszyć się w pomarańczowym gaju, gdzie lubił drzemać i odpoczywać.

Tu, między cienkimi wierzchołkowymi gałęziami zbudował niewielkie gniazdo, w którym mieścił się tylko on sam. Teraz, ukryty w gęstwinie, usypiał jak w drzewnym kloszu, z którego wystawał tylko cień ciemnego dzioba nad białą plamą piersi.

Przysiadłam na gałęzi obok, ugasiłam pragnienie sokiem przejrzystej pomarańczy i spoglądając na wejście do gniazda – usnęłam. Obudziło

mnie ściszone wołanie, szamotanina. Sartoris krzyczał we śnie, trzepotał.

– Dość! – słyszałam głos zniekształcony przez sen.

Czyżby we śnie nadal ścigał białą kawkę? A może to jego ścigają senne ptaki?

Od dłuższego czasu wilki szły ich śladem, porywając źrebięta i młode klacze. Droga tabunu wiodła po dawnych drogach ludzi, wśród rozsypujących się wsi, osiedli i miast. Wypoczywały na placach, chroniły się w rozwalonych, rozbitych bramach. Wszędzie jednak czyhały drapieżniki i konie czuły się coraz bardziej niepewnie. Za rogiem, za ścianą, z każdej uliczki dochodziły skowyty wilków, psów, rysi, ryki niedźwiedzi. Przerażały je wyczekujące sępy, które leciały za nimi z nadzieją na wielką padlinę.

Do miasta przyszły ze wschodu... Od dawna szukały świeżej soczystej trawy, zielonych wilgotnych pastwisk... Osaczyły je betonowe, asfaltowe ulice, szklane ściany, mury, gruzy, żelazne maszty, sterty zardzewiałej blachy.

W szczelinach, dziurach, załamaniach rosły osty, rdesty, powoje i sucha ostra trawa bez smaku i soku. Wszystko, co można było zjeść, wcześniej wyżarły jelenie, daniele, kozice, kozy.

Po kilku dniach głodu konie chciały już opuścić miasto. Kłusowały między murami, przemierzając place, forsując przerdzewiałe siatki, bariery, płoty. W końcu znalazły drogę na zachód.

Ogryzały korę z drzew. Wyciągały szyje do pomarańczy i oliwek. Odpoczywały w cieniu dębów i cyprysów stale czuwając i sprawdzając, czy nie okrążają ich wilki i rysie.

Kiedy konie wydostały się z miasta, skierowały się na północ do rzeki. Pagórkowatą okolicę pokrywały chaszczce i nieliczne drzewa.

Przestraszył je skowyt... Dobiegał spomiędzy wysokich cyprysów ocieniających szeroki pas kruszejącego asfaltu.

Galopem ruszyły przed siebie.

Nagle, na środku drogi, zaskoczyła je wrzawa rozdrażnionych srok, otaczających węże splecione w walce. Jazgot, wrzask i szybkie ruchy biało

– czarnych połyskliwych ptaków przeraziły ciężarną klacz prowadzącą tabun. Spłoszona odskoczyła w bok między wysychające drzewa. Teraz pędziły w blask. Blask oślepiła.

Zachodzące słońce pochylało się coraz niżej, oślepiając galopujące konie. Nie widziały urywającej się skarpy, pociemniałego jaru, szarych skał, ostrych kamieni, gołoborza i prowadzących w dół kozich ścieżek.

Jazgot srok, nawoływania Sartorisa, wilcze skowyty i szum ich własnego galopu odbijały się od ciemnych ścian, zwielokrotniały się, potężniały i myliły. Koniom wydawało się, że pędzą za nimi nie znane krwiożercze drapieżniki. Niemal już czuły ostrość ich kłów i pazurów.

Droga wydawała się prosta... Nagle urwała się, zniknęła. Ziemia usunęła się spod kopyt.

Zsuwały się po stromym kamienistym zboczu głowami w dół, przewracały, potykały, spadały, rozbijały. Popychane ciężarem własnych zadów i brzuchów zbliżały się do płytkiego dna jaru o stromych ścianach, prowadzących w głąb dawnego zwirowiska.

I znowu rozległ się wrzask srok, przywabionych wonią łąjna i potu.

Przewodniczka, wielka ciężarna klacz leżała ze złamaną nogą w białym marmurowym żwirze. Dyszała ciężko, osłupiałym wzrokiem patrząc na wystającą zakrwawioną kość.

Pokaleczone, pokrwawione konie otoczyły ją, pochylały się, dotykały nozdrzami, współczuły. Wiedziała, że to koniec. Zarżała, uniosła się na tylnych nogach, usiłowała wstać. Zachwiała się i ciężko zwała na bok.

Sroki, kawki, gołębie dokładnie przeszukiwały szlak panicznej ucieczki tabunu. Wilgotne parujące końskie łąjno zawsze przyciąga ptaki. Tylko, ileż łąjna mógł pozostawić po sobie tabun wygłodzonych koni?

Leciałam obok Sartorisa i Rei starając się nie wpaść w tumany białego kurzu, wznieconego końskimi kopytami.

Kilka jasnożółtych, parujących kul obsiadły już wszędobylskie wróble.

– To moje! – krzyczy Sartoris.

Konie otaczały okaleczoną przewodniczkę zwartą ścianą.

Odległe wycie wilków znowu wzbudziło przerażenie. Potykając się i kuśtykając pokłusowały ku przeciwległej ścianie. Tędy nie mogły się wydostać. Zawróciły. Znowu zatrzymały się nad ranną klaczą. Rżała, chrypiała, rzęziła.

Zawył wilk, tym razem już znacznie bliżej.

Ruszyły w odwrotnym kierunku, tam, gdzie zbocze jaru wydawało się mniej strome. Sartoris zatrzymał się na skałce i patrzył na niezdarnie wdrapujące się konie. Najśłabsze, chore i wycieńczone nie miały sił, by się wspinać po ukośnych ścianach. Ich kopyta osuwały się w masie piachu i żwiru.

Klacz ze złamaną nogą rozpaczliwie wierzgała zdrowymi kopytami, z przerażeniem w oczach patrząc za uchodzącym stadem. Z jej pyska ciekł zielonkawy śluz i gęsta piana. Chore i wygłodzone konie, które nie miały już sił, by wdrapywać się na strome zbocze, skupiły się wokół niej.

– Uciekamy! Odlatujemy! – krzyknął Sartoris.

Nadciągały sępy, krogulce, sokoły, orły, jastrzębie, pustułki, kanie, błotniaki, dzienne sowy.

Mniejsze ptaki pierzchały, rozpraszały się. Na skałach drapieżniki ostrzyły dzioby i szpony. Konie kuliły się, drżały, stawały na tylnych nogach, wierzgając i łomocząc kopytami.

Wracałyśmy do miasta, do naszych cyprysów i cedrów.

Wśród murów dojrzałem szare, podłużne cienie.

To wilki, pewne swego, szły końskim śladem.

Spływające ze skał strumienie uwięziły mnie w mrocznej, chłodnej pieczarze. Ulewa załoniła horyzont i nie widziałem niczego poza szaro-srebrną ścianą, plującą lodowatymi kroplami.

Chłód. Błotnista maź podpływała wąskimi odnogami. Wskoczyłem na skalny próg i rozkrzyczałem się z obrzydzenia.

– Cuchnące! Wstrętne! Ohydne! – skrzeczałem.

– Cuchnące! Wstrętne! Ohydne! – odpowiedziało z wielokrotnione echo.

Umilkłem, rozwarłem dziób.

Echo odpowiadało nadal. Odpowiadało z coraz większej odległości, z gęstszej ciemności i z najgłębszej głębi.

Nie słyszałem dotąd takiego echa. Lecz echo nie kłamie, chociaż cichnie i zamiera... Echo lepiej odmierza przestrzeń niż wzrok, który potrzebuje światła.

Cisza za mną wydaje się niebezpieczniejsza od zimnych strug deszczu i plusku spływającego błota, które nie pozwala mi opuścić grotu. Zaciskam pazury na czerwonoszklistym kamieniu, unoszę głowę, patrzę w mrok. Świadomość, że za mną, w matowej czarnej głębi kryją się prowadzące w dół przejścia i tunele, w których mogą ukrywać się drapieżniki, wywołuje gwałtowne dreszcze.

Bałem się, bałem się wbrew sobie, bałem się, jak nie bałem się od dawna, jakbym był młodą niedoświadczoną sroczką, która dopiero odkrywa świat, strach i śmierć.

Otrząsnąłem pióra z białej wodnej szadzi. Obejrzałem się za siebie. Ciemność wydawała się falować, poruszać, chwiać.

Fale powietrza wdzierały się do pieczary i przenikały dalej, niżej, w głąb skalnego tunelu, który wyczuwałem w mroku za sobą.

Błyskawica uderzyła w pobliski wyschnięty las i po chwili grom przetoczył się nad moją kryjówką, wtargnął do pieczary, zawył, zaskowyczał, załomotał. Jeszcze szerzej rozwarłem dziób, wytrzeszczyłem oczy bojąc się, że ogłuchnę. Grom wnikał głębiej i głębiej w ziemię, wzbudzając coraz cichsze i odleglejsze echa, pulsujące w zakamarkach pieczary.

Zacisnąłem pazury na skalnej krawędzi z obawy, że powracająca fala potężnych dźwięków przewróci mnie i przygniecie. Pod pazurami wyczułem wilgoć. Ciepły płyn, krew?

- Krew? Moja krew? Krew. Skąd? - zaskrzeczałem trwoźnie, a echo pomnożyło moje skrzeczenie.

Krew płynęła ze skał. Moje pazury zacisnęły się na kamieniu, jak na grzbiecie żywego zwierzęcia. Ciepłe krople sączyły się ze skaleczonego głazu i nagle wydało mi się, że wyczuwam powolne ruchy, jakbym rzeczywiście rozszarpał coś żywego.

Ostrożnie i ze zdziwieniem przyglądałem się miejscom, z których sączyła się ta dziwna krew. Wyglądały, jakbym zdrapał z nich naskórek. Odskokczyłem, podskoczyłem, poderwałem się ku sklepieniu. Sieć zdrewniałych gałęzi zwisająca ze ściany wydała się miejscem bezpiecznym, spokojnym, suchym. Zacisnąłem pazury na szarym konarze i dziobem ułamałem wierzchołek zwiędłego pędu.

Krew pociekła wąską ciemnoczerwoną strugą. Językiem wyczułem chłód i słodkawy smak. Ta krew, płynąca ze skał i martwych gałęzi, była zimna. Czyżby nie była krwią żyjących?

Zdziwiony wpatrywałem się w szarą gałąź między rozstawionymi pazurami, nie rozumiejąc niczego i nie wiedząc, czy to istota żywa, czy złudzenie? Rozejrzałem się po ścianach, sklepieniu, stalaktytach, wapiennych smugach, zwisających konarach i pajęczynach... Dopiero teraz dostrzegłem, że pod warstwą szarości, brunatności, brązu i czerni krył się wewnętrzny odcień purpury, jaki zwykle występuje u żywych krwistych zwierząt. Przeraziło mnie to odkrycie, aż pióra na głowie i płaszczu nastroszyły się i napuszyły. Czyżby okrażyły mnie nie znane drapieżne istoty.

– Kim jesteście? Skąd jesteście? Czy to wasz teren? – syczałem z cicha, aby ponownie nie wzbudzić porażającego echa z głębi pieczary. Rozpostarłem skrzydła jak do ataku. Rozwarłem dziób. Oczy zachodziły bielmem. Wyglądałem groźnie, gniewnie, wściekle. Każdy ptak przecież bał się mnie, kiedy tak stawałem przebierając nogami, z szyją wyciągniętą do przodu i oczami pełnymi nienawiści...

Tu jednak nie było ptaków, tylko kamienie, skały, złomowisko pogiętych prętów i blach, bryły betonu, wyschnięte korzenie, progi, stopnie, tunele, mrok. Obracałem się na gałęzi starając się wyglądać groźnie. Spod warstwy zeschniętej kory zdrapanej pazurami nadal ściekała krew, spadając kroplami do gliniastych bajerek, rozlewających się coraz szerzej wewnątrz jaskini. Od szumiącej ściany deszczu wiał przejmujący chłód. Językiem zliziałem trochę płynu.

Była to krew zwierzęca pozbawiona wewnętrznego ciepła. Smakiem przypominała krew drobnych ptaków, którymi karmiłem pisklęta.

Poczułem się pewniej. I co z tego, że wokół szumi deszcz i jestem uwięziony w chłodnej, ciemnej pieczarze? I co z tego, że otaczają mnie kamienie, gałęzie i ściany pełne krwi? Jak dotąd nie stało się nic, co mogłoby mi zagrozić. Dlaczego więc obawiam się nieznanego, nie wiedząc nawet, czy w ciemnościach rzeczywiście czają się drapieżniki?

Zięb przenika pierze, woda ścieka z szyi i skrzydeł aż do nóg. Pióra stały się ciężkie i zimne. Jeżeli chcesz przeżyć, musisz jeść. Jeżeli w gałęziach i skałach płynie krew, to mogę się nią posilić. Wbijam dziób w zakrwawiony otwór i rwę nasączone krwią włókna. Wydieram je z trudem i połykam.

Burza wzmaga się. Błyskawica za błyskawicą. Grom za gromem. Echa w mrocznych przepaściach. Struny wody zacinają skośnie, wpadają z wichurą do pieczary.

Przeskakuję wyżej, bliżej skalnego sklepienia, unikam wilgotnego oziębiającego podmuchu.

Na zewnątrz świat ciemnieje, zmierzcha. Zbliży się noc. Siadam najwyżej, na wysuniętym kamiennym zrębie. Jeżeli jaskinię zamieszkują drapieżniki, to noc wywoła je na powierzchnię ziemi. Będą przechodzić lub przelatywać obok, muszę więc ukryć się i zamaskować. Ściana jest spękana, złuszczona jak skóra starego zwierzęcia, pełna guzów i kikutów. Niektóre przypominają blizny, siniaki, przekrwienia, wrzody.

Deszcz łomocze o progi pieczary i chociaż wydaje się, że nieco osłabł, obawiam się pozostania tu na noc.

Na nierównym dnie rozlewa się coraz większa kałuża. Drzę na myśl, że mógłbym spaść.

Czy mokry, zabłocony, z posklejanymi piórami wleciałbym ponownie tu, na konar, pod sklepienie? Raczej wdrapywałbym się, podskakując i krzycząc z rozpacz, a dobiegające z mroku echa pogłębiałyby mój strach.

Wzrok stopniowo oswaja się z półmrokiem panującym pod sklepieniem. Pod ścianą dostrzegam skulonego wilka. Schronił się przed ulewą. Szczerzy zęby, warczy wpatrzony w matową powierzchnię kałuży.

Wąż przesuwa się obojętnie od szarego deszczowego światła w stronę mroku.

Nietoperze owinięte skrzydłami oddychają miarowo, drząc w chłodnym przeciągu. Przypominają zeschnięte, zwinięte liście łopianu.

Pieczarę zamieszkuje wiele stworzeń, z których najniebezpieczniejsze są chyba węże. Czy ten, którego widziałem, może wpełznąć aż pod sklepienie?

W szczelinie obok konarów dostrzegam słaby błysk. Porusza się, chrobocze, przesuwa, wysuwa... Pająk. Ciemny, włochaty, olbrzymi, o wyraźnie zarysowanych żuchwach. Przesuwa się w górę ku różowym małym nietoperzom zwisającym w pobliżu rodziców. Za nim ciągną już następne.

Krzyczę ostrzegawczo, szybko bijąc skrzydłami i ogonem. Nie zważam na wzbudzone moim wrzaskiem echa. Wysuwam głowę ku posuwającym się pająkom i krzyczę.

– Sartoris! Sartoris! Sartoris!

Największy pająk dotarł już do różowej kulki mięsa. Przywarł włochatym odwłokiem.

Pisk, trzepot. Pająk unosi łup do szczeliny. Nietoperze budzą się i z piskiem rzucają na intruza. Małe przyczepione do skalnych nierówności również poruszają trwoźnie błonami. Nietoperze podlatują, przykrywają je, obejmują, karmią.

Czy pająki nie zaatakują w nocy uśpionego ptaka? Czy nie wstrzykną mu paraliżującego jadu w skrzydła? Rozglądam się po jaskini. Może znajdę miejsce bezpieczniejsze i pewniejsze niż zwisający pod sklepieniem kikut?

Nietoperze kwilą, latają wkoło, uderzają błoniastymi skrzydłami. Chcą wypłoszyć mnie z jaskini. Wilk warczy głucho, szczerząc białe kły. Mój ostry przenikliwy skrzek wywołał w głębi nerwowe poruszenie. Tylko wąż znieruchomiał, udając, że śpi. Wycie dochodzi zza szarej ściany deszczu. To wilczyca. Teraz z młodymi układa się obok swego samca. Pieczarę wypełnia zapach mokrych zwierzęcych ciał.

Żarłoczne, zachłanne spojrzenia. Szczenięta podbiegają, stają na

tylnych łapach, szczerzą kły. Obracam się i skrzeczę ze złością.

– Odczepcie się! Nie możecie mi niczego zrobić! Sartoris! Sartoris!

Rozłoszczone wilczki podskakują niezgrabnie, przewracają się, wpadają w błoto. Otrząsają sierść i z podkulonymi ogonami wracają do matki, wciskają się w wygrzebane pod ścianą wgłębienie. Przypominają szarobure głązy.

Zmierzch wypełza z jaskini. Rozszerza się strefa gęstniejącego mroku. Siedzę skulony na konarze i z coraz większym trudem rozwieram powieki. Miejsce na kikucie wydaje się bezpiecznym schronieniem. Ściana deszczu ściemniała, a popiskujące nietoperze wyłapują ćmy, komary, komarnice, chrabąszcze, kałużnice... Głowa odchyła się w bok, dziób zapada w puch nad skrzydłem. Ostatnim wysiłkiem otwieram oczy, bojąc się usnąć. Ciemność wypełza z jaskini, z rozlewającej się kałuży, ze strumieni spływającego deszczu.

Ciemność jest również we mnie i to ona każe mi usnąć mimo krwawiących ścian, wilków, pajaków i ech dobiegających z niezmiernych głębokości.

Obudzą cię szумы, syki, chichoty, jęki. Wyprostujesz się, przeciągniesz, rozejrzysz. Deszcz ustał, światło księżycy oświetla jaskinię. Obce ptaki siadają na głązach i gałęziach, przywierają do ścian. Szarpia dziobami krwiste tkanki, dra, rwa, pożerają, odłamują, wysysają.

Zadrzysz, przytulony do ściany, widząc ich zakrzywione, grube dzioby i ciężkie pazury.

Nigdy nie widziałeś takich ptaków. Ich głowy są nie opierzone, nieptasie. Czyżby ludzkie?

Sen znowu zamknie ci oczy, dopadnie cię znużenie, obojętność, silniejsza nawet od strachu. Do twoich uszu dotrze jeszcze wycie wilków i bek zabijanej sarny. Nie otworzysz oczu.

Jeszcze głębiej wciśniesz dziób w pióra między skrzydłami.

Donośny skrzek Rei wtargnie do jaskini rozjaśnionej wschodzącym słońcem. Mrok znikł.

Z groźnej ciemności pozostała tylko wąska krawędź, linia załamującego się sklepienia. Tam zaczyna się prowadzący w dół tunel, przepaść przerażająca odległymi echemi. Stamtąd wylatywały ptaki o nie opierzonych głowach, metalicznych dziobach i pazurach. Rozprostowuję zmarznięte kości, przeciągam się.

Głos Rei staje się donośniejszy.

Nażarte wilki śpią w dołach obok szczątków zagryzionej sarny.

Nie wszystko było snem! Na ścianach, gładkich, konarach, lianach zakrzepły blizny, skaleczenia, zadrapania, ukąszenia, rozdarcia, krople krwi, zarastające rany.

Rea stoi w prześwicie. Jej pióra lśnią ściemniałym błękitem, fioletem, czernią. Zdenerwowana, zagniewana, ciągle podejrzewa, że zdradzam ją z inną samicą.

– Gdzie jesteś, Sartorisie? Odezwij się! – podskakuje niepewnie na progu.

– Jestem tu, jestem tu – odpowiadam, sfruwając ku niej z gałęzi. Muska cię dziobem, stoszy pióra, wymachuje ogonem i skrzydłami, ociera się, obiega wkoło, jakby nie wierząc, że cię odnalazła.

Wejście do jaskini otaczają skamieniałe pnie i pnącza tych samych szarych roślin, które rosną wewnątrz. Wokół, aż po wyschnięty las, rozciąga się rumowisko kamieni, gruzu, żelastwa. Spływająca ulewa naniosiła muł, piach, połamane gałęzie.

– Co to? – krzyczy Rea stosząc groźnie pióra.

Przy wejściu, tam, gdzie spływała woda, wymykają się z pieczary trzy szkielety. Ich kości, chociaż zmurszałe i wrośnięte w stwardniałą glinę, bieleją jak puch naszych piersi.

Najwyższy, w zbutwiałym workowatym płaszczu, dzierży w dłoniach krótki drewniany kijek, odwracając głowę ku idącemu za nim.

Ten spowity w poźółkłe, przejrzyste strzępy wydaje się najniższy. Kości ma kruche i cienkie. Długie spłowiałe włosy, wilgotne od wczorajszego deszczu, oblepiają owalną czaszkę.

Ostatni szkielet jakby wciągał go z powrotem w głąb ciemności.

Zaciska w murszejącej dłoni strzęp przejrzystej tkaniny, jakby ją szarpał.

– Nie bój się! Oni nie żyją! Oni nic już nie mogą nam zrobić! – krzyczą do Rei.

Drewniana piszczalka wysuwa się ze szczęk, wypada ze spróchniałych palców.

Następna ulewa zmyje odsłonięte szkielety ze zbocza i nie pozostanie po nich nawet najmniejszy ślad.

Najcięższa zima, jaką pamiętam. Z północy na południe przechodzą przez miasto stada potężnych włochatych żubrów, jelenie, łosie, dziki, konie, muflony.

Uciekają przed mrozem, zaspami, zawiejami, śnieżycami, huraganowym wichrem pełnym lodowych igieł.

Idą przed siebie zjadając wszystko, co da się zjeść, unosząc rogate łby ku wątlej, zaćmionej, zamglonej tarczy słońca.

Rozdziobujemy parujące kopce przetrawionej trawy, kory, łodyg, owoców, papieru.

Wśród zeszywniałych padłych zwierząt uwijają się drapieżniki. Pokornie oczekujemy na drzewach i murach, aż padliną napełnią swe żołądki.

Sartoris uwija się, walczy, wrywa, rywalizuje, przewodzi. Słucha go coraz więcej srok.

On zawsze wie, gdzie można zdobyć jedzenie. Przewiduje, przeczuwa, prowadzi, przestrzega.

Lecące za nim sroki mają pełne żołądki, są silne i bezpieczne.

– Lećmy za Sartorisem!

– Sartoris wie!

– Przewodź nam, Sartorisie!

Kiedy zabraknie parujących kopców łąjna, zapolujemy na małe wychudzone ptaki chowające się w szczelinach, dziuplach, załamaniach, rozbitych oknach. Łowimy je wieczorem, kiedy zmęczone, zziębnięte chronią się w gniazdach odpoczywając i przysypiając.

Chwytamy w szpony, przyduszamy, silnymi uderzeniami i obrotami

dzioba wydobywamy pulsujące serca.

I mózg, do którego dostajemy się przez oczy.

Sartoris przeżywa szczęście.

Jest z Reą. Panuje nad innymi srokami. Uczy je, jak przetrwać, jak przeżyć i pozostać.

Usypia ledwie żywy ze zmęczenia. Jego sny rozpierzchły się, rozwiały, odeszły. Nie trapią go, nie męczą, nie prześladują. Śpi twardym nie zakłóconym snem, oddycha równym rytmem, bez kwilenia, poruszeń, skurczy, ruchów.

Śpi jak wtedy w rodzinnym gnieździe, przed tamtą nocą pełną błyskawic i płomieni.

Spod zszarzałych płatów topniejącego śniegu wynurza się padlina.

Zamarznięte, skute wewnętrznym lodem sarny o rozlewających się oczach, dziki z wyszczerzonymi kłami, bociany o zmierzwionych piórach, borsuki z obnażonymi szczękami.

Gnilne, ciemnobrązowe strużki sączą się z odbyków, oczu, uszu, z krtani.

Wilki, lisy, psy, rosomaki, sępy, orły, sokoły, jastrzębie błyskawicznie rozszarpują i pochłaniają ścierwo.

Wokół uwijają się mniejsze ptaki, niespokojnie wyczekując, czy dla nich coś pozostanie.

Nawet gołębie przylatują, opadają gromadą i wyjadają okruchy tkanek i grudki zakrzepłej posoki zmieszanej z piaskiem.

Niebawem w cienistym cyprysowym gaju, w kotlinie między wzgórzami, Rea zniesie jajka w gnieździe wymoszczonym sierścią, puchem, mchem.

Wstrząsy. Drżenie szyb i blach. Dygotanie kasztanowych liści.

Poruszenie wśród gryzoni wybiegających z nor, lochów, tuneli, kanałów, korytarzy, piwnic, katakumb. Rei nie przerażają wstrząsy.

We wnętrzościach wyczuwa twardniejące skorupki i wie, że jajka niebawem przesuną się do steku.

Zgrzyt, huk padających kamieni, skrzypienie, trzask, łoskot rozsy-

pujących się murów, pękanie blach. Cyprysy zachwiały się, zatrzęsły, pochyliły. Stary dąb rosnący przy asfaltowej drodze pękł, wyrzucając obłok próchna i runął.

Sójki mieszkające w jego konarach krążyły z rozpaczliwym krzykiem.

Wzniostem się w powietrze przy pierwszym wstrząsie. Widziałem przemieszczenia, ruchy, przesunięcia, drgnięcia, rozwarcie ziemi.

Drzewa łamią się, gną, przewracają. Kruszą się budynki. Pękają drogi. Ziemia zapada się pochłaniając umykające zwierzęta.

Boję się, Sartorisie, i wiem, że ty boisz się tak samo. Krzyki ptaków, głosy zwierząt, huk walących się ścian, trzask, jęk, wycie.

Cyprysy pochyliły się, poskręcały.

Trzęsienie kończy się... Cisza... Słyszeć tylko szelest osypującego się igliwia. Sroki lamentują, narzekają, wrzeszczą. Latają wokół swych gniazd, które nagle przestały być bezpieczne. A jednak wytrzymały, tylko gdzieś rozluźniły się gałęzie.

Lecisz wśród splekanych ścian, złamanych kolumn i masztów, zwalonych posągów, pochylonych murów.

Spadające rynny, dachówki, gzymsy, odłupane płyty i tynki, kawałki papy, rozsypujące się krokwie, kruszące się piaskowce, marmury, granity. Jęki wilka przygniecionego kamieniami rozsadzają czaszkę.

Ptaki gromadzą się, rozmawiają, zastanawiają.

– Odlecieć? Zostać?

Łączą się w stada, zbierają w chmary, gromady, rzesze, klucze, ciągi. Kosy, szpaki, skowronki, pliszki, drozdy, wróble, sikorki zasłaniają słońce. Wrony, gawrony, kawki przelatują nad miastem...

– A ja? A ty? A my?

Zostaniemy czy odlecimy?

Sartoris wzbija się wyżej niż kiedykolwiek poprzednio. Nad miastem unoszą się ciężkie chmury błotnego deszczu. Trzeba przeczekać.

Ptaki lecą nad morze, na północ, na południe, na zachód, na wschód. Odlatują... Przylatują.

Uciekają. Niebo pełne jest przerażonych ptaków, które chcą się schronić, wyzwolić od lęku...

Od morza nadlatują mewy, kormorany, pelikany, kaczki, gęsi, rybitwy, czaple, żurawie...

Rzesze wróblego i sikorzego drobiazgu fruną z drzewa na drzewo...

– Odlecieć? Zostać?

Skulone pisklęta drapieżników o wielkich zakrzywionych dziobach, wciśnięte w betonowe mury, ukrywają się, chowają wśród kamieni.

Wśród gruzu i kamieni skorupy rozbitych jaj.

Pod murami, pod drzewami umierają pisklęta, mnóstwo drobnych ptaków. Ślepe, nagie, już opierzone, jeszcze niezdolne do lotu. Małe kawki, wrony, gawrony, sójki, sroki, gołębie.

Lisy, kuny, wilki, węże pożerają, rozrywają, duszą.

Tyle żywego pokarmu nagle znalazło się na ziemi.

Nie chciałeś odlatywać?

A może bałem się odlecieć?

Gniazdo na pochylonym cyprysie ocalało. Trzeba wzmocnić je giętkimi gałązkami, od dołu wpleść twarde, sztywne patyki, uszczelnić mchem i puchem, zamaskować, przyginając najbliższe gałęzie. Rea niebawem zniesie jajka. Już teraz rzadko opuszcza gniazdo. Co najwyżej na chwilę, by schwytać ociężałą pszczołę lub nazartego świerszcza wdrapującego się po pniu.

Zostałeś, więc i ja zostałam.

Gdybyś odleciał, odleciałabym za tobą. Przecież wiesz, Sartorisie, że gdybyś tylko chciał, wtargnęłabym do twojego gniazda i przepędziła Reę.

Kiedy patrzysz na mnie, budzisz pragnienie, tęsknotę, nadzieję.

Wracam do mojego samca, karmię moje pisklęta, lecz przez cały czas oczekuję twego wołania, przywołania, głosu, znaku.

Tęsknię za tobą, chociaż jesteśmy tak blisko siebie, chociaż widzimy się od rana do wieczora, a w nocy z ciemnej ściany cyprysowych igieł znowu dobiegają mnie echa tych niespokojnych snów.

Ziemia uspokoiła się, osiadła, stężała. Jest cicha, ciepła, życzliwa. Przystajemy się bać i powoli zapominamy o trzęsieniu, które zmieniło nasz świat.

Wkrótce trawa, mniszki, rumianek i perz, powoje i bluszcz zarosną grzy. Mchy, porosty, grzybnie wypełnią wilgotne szczeliny.

Twoje małe sroki uczą się latać, przefruwają z wierzchołka na wierzchołek, z muru na mur. Są ciekawe jak ty, wciskają się nawet w pęknięcia ziemi, wynosząc stamtąd drobne zaskrońce, wyciągając za ogony normice i myszy.

Płoszy je cień myszołowa.

Po zniszczeniu miasta, ucieczce wielu ptaków, a zwłaszcza gołębi, jastrzębie zaczęły polować na sroki. Nie zważają już na wrzask, na gromadne próby odstraszenia.

Znienacka nadlatują z góry, usiłując złapać w szpony niespokojne, niedoświadczone sroczki.

Już. Czarno – biały ptak trzepocze się w szponach. Myszołów odlatuje ścigany gniewną wrzawą...

Pozostałe, przerażone sroki kulą się w gnieździe pod skrzydłami Rei.

Jutro znowu zapuszczą się w płytkie tunele, kanały, dziury, wnęki, szukając piszczącego i syczącego pokarmu.

Zima jest tak ciepła, że większość liściastych drzew nie zrzuca liści. Huragan.

Skorupy jaj i pisklęta wśród kamieni.

Twoje młode sroczki wypadły z gniazda. Usiłują wspinać się po niskich pędach i konarach. Ich pazury są za słabe, ich skrzydła nie mają dostatecznie długich lotek.

W nocy słyszysz krzyk zabijanych. Rosomaki, rysie, łasice, koty, kuny, tchórze, wydry krążą po ulicach, porywają, zjadają, rozszarpują.

We śnie szkielety znowu spędzają cię z drzewa. Boisz się, uciekasz. Sroki zbierają się wokół twego gniazda... Ty chcesz odnaleźć własne sroczęta. Nie ma ich pod drzewami... Tylko drobne pióra, białe – czarny puch.

Rea podnosi dziobem piórka i woła, woła, woła...

Nad wodą unoszą się zielone, wiosenne ważki i kruche jętki.

Nie mam już sił walczyć ze snami, lękiem, bezruchem, bezwładem.

Boję się usnąć, bo tam czają się, ukrywają szkielety, węże, nie znane i nieposłuszne sroki.

Podstępne obce ptaki przerażające wielkością zakrzywionych dziobów i szponów. Nie wiem już co jest, a co nie jest snem, gdzie zaczyna się życie, a gdzie kończy sen?

Teraz boję się bardziej niż wtedy, gdy byłem małą, nie opierzoną sroczką. Szczelne ściany gniazda i ciepło rodziców chroniły, broniły mnie przed mrokiem, głodem, zimnem, własnym strachem. Dziś nie chroni mnie nic, a obroną są tylko moje skrzydła, pazury i dziób. I te bliskie mi sroki, podążające stale moim śladem, za moim głosem.

Umiejętność maskowania, ukrywania się, naśladowania, przebiegłość i chytryść dawały mi dotąd przewagę. Tupet i obezwładniające rechotanie miały przekonać o mojej sile, budzić strach wśród wszystkich słabszych i mniejszych... Te cechy tak ważne tu, na jawie, nie mają żadnego znaczenia we śnie, wobec miotającej kamienie kościstej dłoni i niemal przezroczystego, jasnego dzioba celującego w źrenicę.

Z gęstwiny morwowych gałęzi dostrzeżasz rzesze ptaków powracających do miasta. Jakbyś je poznawał? Czy to te same, które zniknęły po trzęsieniu ziemi?

Sądziłeś, że nie żyją, a one po prostu odleciały. Wracają z długiej drogi mozolnie bijąc zmęczonymi skrzydłami.

Siewki, orzechówki, sójki, kawki, wrony, gawrony.

Wieczorem w promieniach zachodu na czele ciemnej chmury przyciąga twój wzrok samotny biały błysk.

Białopióra, jak ta niegdyś przepędzona, a teraz powracająca w twych snach.

Obok niej jak cień leci ciemnosrebrzysty samiec, kawdor, przywódca, przewodnik większości krukowatych z miasta.

A więc jest! Przetrwiała. Istnieje. Żyje.

Obecna jest w świecie ptaków i w świecie twego snu. Tu i tam, tam i tu.

Śnieżnobiała kawka pojawia się co noc i rozdziobuje mi głowę, wydziobuje oczy, wydłubuje mózg.

Jesteś nieruchomym nagim pisklęciem, a ona zbliża się, staje nad tobą i mierzy prosto w twoje oczy.

Poruszasz głową, przekrzywiasz szyję.

Oddalam się, odsuwam, odchylam, wyginam, przeginam.

Jej jasny i ostry, lekko zagięty dziób podąża za moim lękiem, za każdym unikiem, odwrotem lub ucieczką. Zasłonić oczy. Zakryć głowę. Ukryć się. Jestem sparaliżowany.

Zsuwam się z gałęzi, spadam wśród nawoływań Rei, która niczego o moich snach nie wie.

W przejrzystej, rozłożystej koronie orzecha nasze gniazdo jest zbyt widoczne, niedostatecznie zakryte liśćmi i pędami.

Umacniasz je, powiększasz, przynosisz i układasz gałązki.

To któreś z naszych gniazd. Może się przydać, gdyby inne spłonęły, rozpadły się lub zostały zajęte przez silniejsze od ciebie ptaki.

Nie stało się tak dotychczas, lecz zawsze może się zdarzyć. Pamiętaj.

Białopióra nie zwraca na mnie uwagi. Przelatuje ze swym samcem między cyprysami.

Czyści, rozczesuje pióra na pobliskim platanie.

Tu udaje, że mnie nie dostrzega.

Tam zabija mnie, męczy, rani.

Tu jest obojętna, tam przychodzi podstępnie.

Tu mieszka w pobliżu, zaprzyjaźniona z kawkami, wronami, gawronami, sójkami, które powinny jej nienawidzić. Tam poluje na mnie, prześladowuje, tropi.

Czy nie widzą, że jest biała jak kamień kwarcu, jak błysk fali, że jest inna, obca?

Wtedy przepędziłem ją, przegnałem.

Wróciła. Rozdziela puch pod skrzydłem, siedząc na przeciwległej gałęzi.

– Precz! – wołasz, lecz nikt nie wzbija się za tobą, by wypędzić Białopiórą.

Zasypiam. Na rozkraczonych, pokrytych łuskami nogach pochylił się nad tobą błyszczący w ciemności dziób.

Budzisz się, przeciągasz, wytrzeszczasz zaspane oczy. Cisza. Nie ma srok. Nie ma kawek.

Po gałęziach biegają świerszcze. Zielony pajak snuje nici w rozwidleniu konarów. Zwinny pomurnik zbiega po pniu zdiobując czerwone mrówki.

Złudzenie.

Nie ma ciszy. Nie ma spokoju.

Za chwilę sfrunie czereda kawek z Białopiórą i kawdorem na czele. Otrząsas się nerwowo, rozglądasz ze strachem, jakby nie otaczały cię zielone rozkołysane gałęzie, lecz rozgniewane, rozjuszone, napastujące ptaki. Nawet cienie wydają się wrogie, drapieżne, złe.

– Dosyć!

Lecimy nad morze!

– Nad morze! Nad morze!

Pochylone rzędy cyprysów, kamienne rzeźbione ściany, białe posągi... Wzbijasz się pionowo, silniej uderzasz skrzydłami.

– Nad morze!

Sroki rzadko wyprawiają się nad morze. Mewy i rybitwy przepędzały nas bojąc się o swe gniazda. Gdy na wybrzeżu pojawiała się sroka, rzucały się na nią ciężkie, białe, srebrzyste, żółtodziobe, czerwodziobe...

Już tu nie wrócisz. Ostatni raz patrzysz z wysoka na miasto. Coraz więcej srok gromadzi się przy tobie w powietrzu.

Lekki południowy wiatr i wznoszące prądy pomogą w locie.

– Lecimy! Nad morze! – niecierpliwą się sroki.

Spomiędzy drzew wpatrują się we mnie wytrzeszczone, niepewne oczy srok, które pozostają.

Boją się spadających blach, osypujących się murów i ścian. Chcą jednak wychować małe, które nie potrafią jeszcze fruwać. Niespokojnie biją skrzydłami, jakby przeczuwały, że więcej mnie nie zobaczą.

Odlatujemy. Kilka ptaków odrywa się od ciemnej ściany drzew i leci za mną... Inne zawracają, opadają w dół, udając, że odkryły coś do jedzenia.

Fruniemy powolnym falistym lotem, starając się wznosić jak najwyżej, by z oddali szybciej dojrzeć linię morskiego brzegu.

Wrzawa wypłasza z nieba nawet jastrzębie.

Doleciecie do morza po południu...

Opadniecie w kasztanową kępę przy ujściu wąskiej rzeczki budząc strach mieszkających tu żołą, wilg i czajek. Dziś dalej nie leciecie.

W nocy znowu śnię o goniących nas szkieletach. Kogo ścigają? Biały błysk odpędzanego niegdyś ptaka zniknął.

Rano rozdzielamy się... Niektóre lecą na północ, a ja nadal wzdłuż wybrzeża na południe, jakbym naprawdę wiedział dokąd.

Kamienne miasto, porośnięte drzewami, krzewami, bluszczem, winoroślą, żarnowcem...

Rośliny opanowują je, zarastają... Nocujemy w koronie rozłożystego platana.

W moim śnie szkielety walczą, biją się, rozbijają sobie czaszki kamieniami.

– Odlatujemy! Szybciej! – krzyczysz po przebudzeniu.

Na południe, nocując w gałęziach drzew przy ujściu rzek i strumieni.

Dzień za dniem. Dalej i dalej. Z uporem. Z nadzieją.

Gdy otoczy cię szaroniebieska mgła, dalszy lot wyda się zbyt ryzykowny. Wasze lotki i sterówki będą wymagać długotrwałego czyszczenia, mycia, wyczesywania.

W gęstym lesie nad rzeką, w pobliżu miasta rozsypującego się i porośniętego mchem, jedzenia będzie w bród... Nasiona, figi, owoce morwy, głóg, śliwy, pomarańcze, szyszki cedrowe i bukowe, ślimaki, robaki, żuki,

gąsienice.

Pod drzewami tyle cienkich giętkich gałązek do budowy gniazd. Zbieramy, niesiemy, dopasowujemy, przeplatamy, mocujemy. Mgła opadła, lecz horyzont nadal zasnuwają chmury i opary. Nie widać dalej niż na krzyk sroki.

– Zostajemy! – obwieszcza Sartoris z gęstwiny pomarańczowego drzewa.

– Tak! Zostajemy! – potwierdzają zmęczone podróżą sroki.

Na horyzoncie ujrysz wysoką górę z wąskim pasmem dymu na szczycie.

Wulkan, którego się nie spodziewałeś.

Ściany są objedzone z tynków. Potrzebujemy wapna codziennie, bezustannie... Jego brak wywołuje u samic zawroty głowy, słabość, dezorientację. Pióra matowieją, łamią się, wykruszają, wypadają. Widzimy gorzej, a oczy częściej kleją się ze znużenia i senności.

Ptaki wczepiają się w mury dziobami i pazurami, usiłują odłupać jakiegokolwiek okruchy.

Tłuką dziobami, wydrapują, a później wyjadają z ziemi wapienny pył.

Sikorki, wróble, trznadłe, szczygły, skowronki, słowiki, dzięcioły, synogarlice, gołębie, kawki, bażanty, żurawie, jastrzębie – wszystkie z zachłannością rozdrapują i rozbijają mury dawnego miasta, wydłubują białe krucho tynki i zaprawę łączącą kamienie.

Kamyczki, drobne muszle, maleńkie kraby, raczki, ślimaki, chitynowe pancerze owadów, ściekająca z wapiennych skał woda, okruchy zmurszałych kości, skorupki jaj. Zakradamy się do gniazd, rozbijamy i pozeramy jajka. Unosimy niedojrzałe pisklęta, otoczone galaretowatą masą białka.

Rozgniewane, rozkrzyczane drozdy gonią mnie wzdłuż wąwozu porośniętego oliwkowymi drzewami. Opadam między splecione gałęzie wiedząc, że nie będą mnie tam gonić. W dziobie czuję ciepłe, pulsujące serce pisklęcia. W gnieździe oczekują już wrzaskliwe dzioby, które błyskawicznie

pochłaniają łup rozdarty na kawałki.

Coraz częściej zakradamy się do gniazd. Nie musimy odłupywać tynków ze ścian, wyszukiwać kruchych muszelek na brzegu. Czekamy, aż ptaki opuszczą gniazdo. Niekiedy wywabiam je podlatując i krzyżąc, jakbym rzeczywiście chciał zaryzykować starcie z wieloma dziobami szpaków czy zięb. Lecą za mną, jazgoczą, chcą mnie odpędzić. Wtedy Rea dopada po cichu obcego gniazda i porywa jajko lub roztrzepotane pisklę. I chociaż ptaki znają już nasze sposoby, to prawie zawsze dają się wywabić. Młode sroki uczą się zdobywania pokarmu. Już wiedzą, że niepotrzebne są dalekie i niebezpieczne wyprawy między rozsypujące się mury czy na brzeg morza, jeżeli pokarm jest tuż, w gniazdach innych ptaków. Dlatego pojawienie się naszej granatowo – błękitno – białej gromady budzi tyle zamętu, zgiełku, świergolenia, ćwierkania, kwilenia, klekotania, syczenia, prychnania, fukania, gruchania, gulgotania, zgrzytania, krakania.

Ptaki boją się nas, nienawidzą, złością się i czekają tylko naszego odlotu. Jerzyki i jaskółki, których gniazda mieszczą się pod dachami, balkonami i gzymsami zniżają lot, starając się odstraszyć nas szumem i pędem skrzydeł. Lecą do gniazd, lokują się w nich, wystawiając groźnie rozwarłe dzióbki. Wiedzą, że potrafimy wlatywać pionowo i rozbijać ich gniazda przyklejone do narożników i wnęk.

Gniazdo zamaskowałem w wąwozie za miastem tak sprytnie powojami i liśćmi figowca, że nawet mnie wydaje się niedostępne. Trzy sroczyki odbywają z nami pierwszy lot, starając się naśladować nasze głosy i ruchy.

Strumień opada kaskadami ku morzu. Brzegi wtłoczone w kamienne koryto kruszą się, rozpadają, zapadają. Gdy woda płynie spokojnie, podmywa ułożone przez ludzi kamienie. Po deszczach nagle wzbiera, uderza szybko i gwałtownie, wrywa, przewraca i przesuwa kamienne bloki. Wśród zdewastowanych i osuwających się brzegów gnieźdzą się pluszcze. Z lotu nad korytem rzeki widzę cienie przemykające po skalistym dnie wśród ławic srebrzystych rybek, które staramy się łapać w płytkich kałużach rozgrzanych słońcem.

Przypominam sobie miasto wysokich domów, kopuł, kolumn, wieżowców. Tam, nad rzeką, także mieszkały pluszcze, ukrywające się w dawnych szcurzych norach, w zakamarkach, do których sroki nie mogły się dostać.

Woda i korzenie rozwalają dawne siedziby ludzi, wciskają się między kamienie, cegły, płyty, progi. Woda atakuje od spodu. Korzenie wrastają z dołu i z góry, wykorzystują najmniejsze szczeliny, przesmyki, otworki. Rozszerzają, poszerzają, podważają, wyważają, by sięgać najgłębiej, jak najbliżej życiodajnej wody. Trawy, chaszczce, drzewa porastają ulice, place, domy, dziedzińce, podwórza. Wyrastają z dachów i murów rozsadzając je, rozbijając, drażąc. Wyrastają nawet z wnętrz domów, zapuszczając korzenie w pęknięcia kamiennych posadzek. Przez rozbite okna i drzwi gałęzie przeciskają się ku słońcu i światłu.

– Sokoły! Uwaga! Sokoły nad nami! – krzyczy Rea kierując się ku najbliższej kępie.

Błyskawicznie lądujemy w nadrzecznych zaroślach.

Sokoły leniwie zataczają kręgi nad rzeką. Nasze czarno – białe sylwetki są dla nich wyraźnie widoczne. Wślizgujemy się między gęste splątane gałęzie wiedząc, że duże i ciężkie ptaki nie zdołają się tu przebić. Sokoły krążą nad rzeką i miastem nabierając wysokości. Odlatują na południe.

– Odleciały! Odleciały! – krzyczę do Rei i małych sroczek.

Wzlatuję na wysoki kamienny mur tuż przy rzece. Ciężkie głazy oparły się wezbranym falom, powodziom, deszczom. Na szerokim płaskim szczycie mieszkają bociany. Wyciągają ku nam długie, czerwone dzioby, bijąc ze złością skrzydłami.

– Uciekajcie, bo was pozabijamy! – krzyczą do młodych sroczek klekocząc i trzaskając dziobami. – Nasz mur! Nasze gniazda!

Przelatujemy nad murem, opadamy między drzewa i wyschnięte trawy porastające wybetonowany, wyasfaltowany ciąg ulic.

Pokryte cierniami gałęzie płożą się nisko nad splekanymi złomami asfaltu. Kolce sięgają ku szyjom i skrzydłom. Przechodzimy, prześlizguje-

my się, lawirujemy. Małe idą za nami nieświadome niebezpieczeństwa. Kolce chwytają je za pióra, wydierają puch z grzbietu i skrzydeł.

– Boli! – krzyczy Ker, wrywając kolec ze skrzydła.

– Za mną! Tu! – wyprowadzam rodzinę na parzącą, nasłonecznioną przestrzeń.

Rozgrzany asfalt stał się lepki i miękki.

Wokół czerwonych zwisających kwiatów krążą muchy, pszczoły, motyle, ważki. Rea obraca w dziobie osę, wypluwa, przytrzymuje pazurem, odrywa głowę, skrzydła i połyka.

Małe naśladują nas. Chwytają owady, moczą, rozgniatają, połykają. Rozrywają pszczołę, smakują poszczególne jej części. Tylko ptaki wiedzą, ile słodczy kryje się w owadach.

Uwijamy się między kwiatami. Słońce wznosi się coraz wyżej, grzeje, aż powietrze drga i faluje nad asfaltowym grzędzawiskiem.

Najedzony słodkimi owadami i mącznymi pędrakami czuję nadciągającą senność. Jest pogodnie, bezwietrznie i przeraźliwie gorąco.

Lecimy do najbliższych drzew wciśniętych między popękane ściany domów.

Znużone, na wpół przytomne, siadamy na gałęziach w chłodniejszym, zacienionym ustroniu. Nad nami zwisa nieruchomo zielona kopała pomarańczowych liści.

– Sartoris! Sartoris! – przywołuję sennie sroczęta.

Siedzimy na cienkiej gałęzi, po której nie dopełźnie wąż ani nie wejdzie kuna. Sroczęta zasiadły naprzeciw. Oczy zachodzą błonami, palce zaciskają się na gałęziach. Usypiam, słysząc jak z daleka dobiegają głosy innych srok. Kiedy słońce wzniesie się najwyżej, wyznaczając połowę dnia, wszystkie ptaki stają się senne, potrzebują odpoczynku i drzemki.

Dalekie grzmoty, odległe dudnienie. Liście drżą.

Wzbijam się ku prześwitującemu błękitowi, ponad spadzisty dach. Spowita dymem szarobrązowa góra wyrzuca purpurowe strumienie, lawa wolno spływa po zboczu w stronę morza.

Białe obłoki pary wzbijają się na brzegach.

Siadam na grubej belce zszarzałej od wiatrów, słońca i deszczu. Rea i sroczęta lokują się obok. Skrzeczą i podfruwają obserwując odległą górę, zasnuwającą niebo dymem, popiołem i ogniem.

Stopy wyczuwają wstrząsy, niepokój ziemi, ruch przesuwających się płynnych mas, drżenie.

Chociaż popiół, dym i lawa tutaj nie docierają, czujemy się niepewnie, jakby znowu groziło nam niebezpieczeństwo.

Kamienna płyta osuwa się i spada z trzaskiem między liany obrastające dom. Ślizgowym lotem opadamy ku wysychającej rzeczce.

Lecimy do gniazd nad jarem zarośniętym oliwkowymi drzewami.

Oczy Sartorisa zaokrągliły się, jak rozsypane wśród sprzętów złote obrączki. Pochylił głowę, trzepnął ogonem, wyciągnął szyję.

– Nie! – krzyczał. – Nie!

Znałam jego przywiązanie do złotych pierścieni, łańcuszków, wisiorów. Siedział i wpatrywał się w blask, w lśnienie, w połysk, w migotanie. Słońce przesunęło się, a wraz ze słońcem zmieniały się barwy i jaskrawość złota. Sartoris mrużył i odwracał oczy nie mogąc znieść siły blasku.

Zachwycony, oczarowany, na wpół przytomny wpatrywał się w wypełnioną złotem przestrzeń, która zdawała się nie mieć końca.

– Nie! – cofnął się, jakby chciał uciec. Wysokie pomieszczenia, korytarze, sale, złoto rozsypane, zwisające, ukryte za szkłem, leżące wśród odłamków i skorup.

Sartorisa bolało, że złota jest tak wiele, że nigdy nie zdoła przenieść go do gniazda, bo musiałby dźwigać od rana do wieczora przez wszystkie dni życia.

– Złoto! Jak błyszczycy! Zabierzmy je! Jest moje! Moje! Tylko moje! – krzyczały podniecone sroki, błyskając nerwowo oczami. – Rozświetlimy nim gniazdo!

– Moje! Tylko moje! – krzyknął czupurnie Sartoris, a puch na jego głowie i piersiach nastroszył się gniewnie. – Niech błyszczycy w moim gnieździe!

Był zazdrosny o całe zgromadzone złoto, o złoto, którego nigdy nie

zdoła nawet dotknąć dziobem. Mały ptak i olbrzymia złota przestrzeń. Spojrzał, jakby rozumiał moje myśli.

– Tyle złota! – jęknął.

Nigdy nie wyniesiesz tego złota, nie przeszkodzisz innym srokom w zabieraniu złotych krążków, nie upilnujesz złodziei.

Złote sale opuszczone przez ludzi wypełnia srocy wrzask... Tylko gdzieniegdzie spod zbutwiałego materiału wyzierają szare i białe kości dawnych gospodarzy, wśród których gnieźdzą się skorpiony, wielkie pająki i kleszcze.

Sartoris dopiero teraz dostrzegł skulone, zszarzałe, spróchniałe strzępy, które pozostały z ludzi. O ileż potężniejsze i groźniejsze są wyschnięte szkielety koni, żubrów, łosi, niedźwiedzi czy wilków. Czyżby tylko spłowiałe różnokolorowe szmaty wyróżniały ludzkie truchła spośród innej padliny? Sartoris niechętnie zbliża się do tych szczątków. Choć ludzie wyginęli, to przecież pamięć o nich pozostała.

Szczałki są martwe, lecz nadal ich się boję.

Strach jest dziedzictwem, jakie pozostało nam wszystkim po zmarłych ludziach. Strach, gruzy i zszarzałe kości.

Spojrzał na Reę, na mnie. Oczy Rei płonęły zachłannością. Ich gniazdo wypełniały już przejrzyste kamienie i błyszczące kawałki metali, ale Rea nadal myślała tylko o tym, co by jeszcze zabrać do gniazda. Tymczasem mnie zaciekawily, oparte o lady, półki, gabloty i krzesła, szkielety ludzi, którzy niegdyś pochylali się nad złotem.

Oczy Sartorisa zamgliły się, zaszklily. Przypomniat sobie pierścień, który wypuścił z dzioba nad stawem w tamtym mieście. Pierścień, którego nie odzyskał.

Rozejrzał się uważnie po walających się złocistościach.

– To moje! Tylko moje! Niech nikt tego nie rusza! Bo zabiję!

Przytrzymał jak szponami szeroki pierścień z czerwonym kamieniem. Dziobem sprawdzał jego twardość.

– Mój! – krzyknęłam, chwytając podobny pierścień z przejrzystym topazowym oczkiem.

Przytrzymałam pazurem, dotknęłam dziobem, gdy nagle zostałam uderzona i odepchnięta.

– Oddaj! Moje! – krzyknął Sartoris. Odskoczyłam, otrząsnęłam pióra i złapałam w dziób pierścień z czerwonym oczkiem, który on trzymał przed chwilą. Nie czekałam, aż znowu się na mnie rzuci. Leciłam do gniazda, trzymając w dziobie migocącą złocistą iskrę. Za sobą słyszałam szum skrzydeł.

Gromada srok przenosiła złote przedmioty do gniazd lub też chowała je do kryjówek znanych i uważanych za pewne. Do dziupli, dziur, szczelin, otworów, do wszystkich miejsc, w których te złociste cacka stawały się niewidoczne.

Zamaskować, przykryć strzępem płótna, liściem, papierem, gałązką, piórami, włosami, sierścią.

Drzwi złotych sal pękały przy kolejnych wstrząsach ziemi. Teraz wszędzie fruwały sroki, sójki, wrony, kawki unoszące i ukrywające złoto.

I ja, i Rea, i Sartoris przebywaliśmy tę drogę wielokrotnie, ciesząc się małymi zdobyczami, zachwycając się, odbierając i podkradając sobie obrączki, wisioriki, łańcuszki, płatki, krążki, listki, skrzydełka.

Wszystkie sroczki rodziny zamieszkujące ruiny miasteczka nad zatoką i na wyspie zwiedziały się o odkryciu Sartorisa i gromadnie ścigały do sal wypełnionych złotem. W dziobach ptaków, przelatujących nad cieśniną dzielącą ląd od wyspy widziałam migotliwe, jasne okruchy, bryłki złota pochodzące z odkrytego przez Sartorisa skarbcza.

Wydawało się, że złota nie ubywa.

– Wszystko moje! – krzyczał Sartoris, przylatując co rano i wybierając kolejny złoty przedmiot. – Tylko moje! Precz! Wynoście się! Prędeży!

Atakował, przepędzał, krzyczał na obce ptaki, odstraszał intruzów. Otwarte drzwi i popękane szyby ciągle jednak przyciągały i przywabiwały.

Syk dobiegający zza wyłożonych złotem półek wywołał w Sartorisie długotrwały atak wściekłości. Węże zawsze pojawiały się pierwsze. Potrafiły precyzyjnie się otworami niedostrzeżanymi przez ptaki.

Tu też wtargnęły przepłaszając gromady myszy i zajmując swe ulu-

bione siedliska w wyschniętych ludzkich zebrach. Najedzone zwijały się tam w kłębek. Leżały nieruchomo i bezszelestnie.

– Precz! – darł się rozjuszony Sartoris, usiłując uszczypać mnie ze złości. – To moje!

Wąż schował się, ukrył w zeschniętym ludzkim wnętrzu, usnął.

Sartorisa drażniła jego obecność. Wiedział, że wąż się zbudzi i będzie polował na nieostrożne szcurki, myszy, ptaki. Wyłożone złotem sale przestały być bezpieczne.

Na pobliskiej wieży zamieszkały myszołowy. Sartoris niechętnie i z obawą spoglądał na zataczane przez nie kręgi tuż nad jego złotym skarbem.

Wyobrażał sobie chyba, że te duże i ciężkie ptaki mogą wynieść z sal znacznie więcej złotych przedmiotów niż on, mniejszy i słabszy. Gdy zniżały lot lub siadały na pobliskim kominie, gniewnie stroszył pióra i wściekle skrzeczał, daremnie starając się spłoszyć myszołowy. Olbrzymie ptaki nie interesowały się jednak złotymi okruchami, ważniejsza była dla nich krew i mięso. Migotliwe kawałki metalu niesione w dziobach były dla nich drogowskazem, zwracały uwagę na ptaka dźwigającego złoto. Wtedy rzucały się za nim w pogoń, a ptak ratując życie przeważnie porzucał złocisty przedmiot. Szybkie i zwinne myszołowy doganiały ofiarę, zabijały ją i pożerały.

Sójki, kawki, wrony, gawrony, sroki. Tylko niektóre umiały uciec i ukryć się w gęstych chaszczach.

Rano, jak zwykle, przyleciał, by porwać kolejną błyskotkę, polatać z nią wśród zazdrosnych srok, a później zanieść do gniazda lub zagrzebać w którejś z wielu kryjówek.

Schowki Sartorisa mieściły się w spróchniałych otworach drzew, pod leśną ściółką, w zmurszałych murach, pod kamieniami, między płytami chodników. Najchętniej wybierał miejsca zacienione, bojąc się, że metal, nawet przykryty, może zapłonąć nagle pełnym blaskiem i przywabić inne sroki. Usiłował też przytłumić nieco jaskrawość blasku, mocząc, a następnie przysypując kurzem metalowe cacka. Wtedy traciły połysk,

stawały się szare i matowe. Sartoris układał na nich gałązki, żdzbla trawy, wysokie szypułki mchu wyrastającego spomiędzy płyt.

Często sprawdzał efekt swej pracy, odchodząc i oglądając z różnych stron, czy schowek jest dobrze zamaskowany. Dopiero po kilku takich próbach wlatywał na najbliższą gałąź i uderzał skrzydłami z radości.

– Świetnie! Nikt tego nie znajdzie! Tylko moje! – obwieszczał z samozadowoleniem, puszył się i przewracał gałkami oczu.

Często, gdy powracał, schowek był pusty. Wtedy sprawdzał go wielokrotnie, złościąc się na nie znanych złodziei. Z wściekłością rzucał się na każdego obcego ptaka, który pojawiał się w pobliżu, obarczając go winą za zniknięcie ukrytego złota.

– Oddaj, bo zabiję! Oddaj, bo zadziobię! Wyrwę ci serce! – wrzeszczał goniąc wystraszoną kawkę, wronę lub gołębia.

Gonitwa nie trwała długo. Ptak uciekał, a Sartorisowi wydawało się, że dał nauczkę prawdziwemu winowajcy, który więcej nie splądruje jego kryjówki.

Złote sale stały otworem. Z wysoka, przez pęknięte sufity sączyła się woda po nocnym deszczu. Sartoris stanął na błyszczącym metalowym pudle. Uderzył dziobem i z wnętrza rozległo się melodyjne, dźwięczne brzęczenie, pogłos, echo. Uderzył powtórnie i z otwartym dziobem wsłuchiwał się w rozedrgane, nie znane tony.

– Wyjdź! Wyjdź! – krzyknął rozkazująco, uderzając kolejny raz.

Nie miałyśmy wątpliwości, że w pudle zagnieździła się jakaś istota, może nie znany ptak, który odpowiadał na każde uderzenie, usiłując ukryć swój strach.

– Wyjdź! Wyjdź! – krzyczał Sartoris zaciekle łomocząc dziobem.

Nie skutkowało... Ptak, sznur, królik czy inny nie znany zwierzak siedzący wewnątrz pudełka nie dał się wypłoszyć. Sartoris uderzył więc dziobem po raz ostatni i szybko przeleciał do największej sali, gdzie leżały złote pierścienie. I nagle rozległ się krzyk przerażenia i trwogi.

– Nie ma! Nie ma!

Na stołach, w rozwartych szafach, w potłuczonych gablotach pozo-

stały tylko największe, najcięższe przedmioty, których sroki nie mogły unieść.

– Zabrali! Rozkradli! Nie ma! – wściekał się Sartoris.

Próbował oderwać któryś ze złotych krążków leżących na podłodze, lecz duszny, upalny dzień zniechęcał do takich wysiłków.

– Odlećmy, Sartorisie! – krzyknęła Rea.

– Odlećmy! – powtórzyłam, a zazdrosna sroczyca zmierzyła mnie niechętnym wzrokiem.

Sartoris chodził teraz po opróżnionych zszarzałych salach, skarżąc się i złorzecząc. Rozdziawił szeroko dziób, opuścił skrzydła tak, że ich końce wlekły się po posadzce i nastroszony sprawdzał, co jeszcze da się zabrać.

Przelot nad spokojną, nieruchomą zatoką, z brzegu na brzeg. My, sroki, niechętnie przelatujemy nad morzem, ponieważ nasze pióra szybko nasiąkają wilgocią, a w zetknięciu z wodą chłoną ją jak gąbka.

Słońce stało najwyżej, w miejscu oznaczającym środek dnia.

Sartoris leciał na czele chmary białe – czarnych i białe – niebieskich srok, gdy nagle dno pod nami rozbłysło, zapaliło się, zamigotało.

– Tam! Nisko! Tam! – krzyczał Sartoris. – Patrzcie!

Sroki patrzyły obojętnie na migocące pod wodną taflą błyskotki.

Zawisł tuż nad przejrzystą gładką powierzchnią morza. Dno było blisko, więc z łatwością odróżniał nawet barwę kamieni w pierścieniach. Wiedział, że może je tylko zobaczyć, bo dotrzeć do nich nie zdoła. Sroki odleciały. Sartoris krążył nad laguną ze mną i Reą, tęsknie patrząc na podwodne migotanie złota.

Na dnie leżały przedmioty i błyszczące krążki zgubione, wytracone w kłótni, porzucone w ucieczce.

Widać je tylko w bezwietrzne słoneczne dni, kiedy woda zastyga w bezruchu i staje się przejrzysta jak powietrze.

Sartoris krzyczy przez sen.

Śni mu się, że frunie nad nieskończonym jałowym zboczem wśród wyschniętych oliwek i pomarańczy.

Z góry pada złoty deszcz. Przygniata go, miazdzy, zasypuje.

Czyszczę skrzydła. Wytrząsam srebrny pył, przeciągam dziobem wzdłuż twardych, giętkich stosin. Czerń moich piór lśni odcieniami fioletu, purpury, granatu i zieleni, przyciąga oczy Sartorisa. Chociaż Rea stroszy się i gniewnie syczy, on podziwia mnie i pragnie.

Myję się, iskam, wycieram, wyskubuję, wrywam, wydrapuję, wiedząc, że on podgląda mnie z przeciwległej gałęzi. Trzepocę skrzydłami, szeleszcząc, uderzając sterówkami, przeczesuję pazurkami puch na głowie i wrażliwe piórka wokół dzioba.

Sartoris przywarł do gałęzi jakby spał. Nie śpi. Patrzy spod oka nie chcąc drażnić Rei, która uważnie obserwuje wszystkie zbliżające się sroki.

Odpędza je, przegania pokrzykując gniewnie, zamierzając się dziobem i pazurami. Odwracam głowę ku gmatwaninie gałęzi, skąd patrzy na mnie niemal niewidoczna Rea, siedząca na jajkach. Traktuje mnie lepiej od innych srok i pozwala zbliżyć się do ich gniazda. Była moim pisklęciem, karmionym tłustymi pędrakami i owocami, oczyszczanym z od dawnych raz po raz odchodów. W chłodne noce ogrzewałam Reę swym ciałem.

Śniłam, że fruwać po rozciągającym się w pobliżu pomarańczowym gaju. Jaskrawe, błyszczące owoce, ciężkie i pachnące słodyczą, zwiślały wokół gniazda przyciągając muchy i motyle.

Sartoris ziewa. Wie dobrze, że Rea śledzi nas z gniazda i nie dopuści do zbliżenia. Gdyby przefrunął na drugą stronę drzewa, a ja zniknęłabym ze swojej gałęzi, Rea natychmiast ruszyłaby za nami, wyskrzekując swą złość i rozgoryczenie. Zrobiłaby tak na pewno, chociaż od kilku dni siedzi już na jajkach. Dlatego Sartoris znieruchomiał, patrzy na mnie, a ja zastygłam na przeciwległej gałęzi patrząc na niego.

On nie chce drażnić Rei, z którą związał się dawno i dochował tyłu piskląt. Zresztą Rea podoba mu się chyba bardziej od innych samic i nie chce szukać nowej partnerki.

Rea jest mu najbliższa i próby odciążenia go zawsze kończą się niepowodzeniem.

Nie zostaniesz jego samicą. Nie będziesz wysiadywała z nim jajek i karmiła waszych piskląt. Nie będziesz pielęgnowała jego piór, głaskała skroni, rozczesywała puchu na jego piersi. Zawsze będzie należał do Rei i twoje przywabianie, kuszenie i kokietowanie nie rozbije ich związku.

Nawet gdybyś siedziała tu od brzasku do nocy, rozdzielając piórka, pyszniła się ogonem i przewracała białkami oczu.

– Chodź tu! – woła Rea. – Zastąpisz mnie na jajkach.

– Już! – Sartoris skwapliwie potrząsa piórami.

Patrzy, jakby mnie nie widział, jakbym była mu obojętna. Przeskakuje na górny konar i znika za splątana masą gałęzi swego gniazda.

Rea z rozwartym dziobem staje przy zamaskowanym wejściu, w miejscu gdzie zniknął

Sartoris. Ilekroć Rea staje tak przede mną, ogarnia mnie lęk. Zjeżone pióra na szyi i wysunięty dziób świadczą, że nie jest zdecydowana, czy uznać mnie za intruza czy za bliską przyjaciółkę.

Rea na pewno wie, że pragnę Sartorisa bardziej niż jakiegokolwiek innego samca. Wywnioskowała to z naszych spojrzeń i z mojej niemal ciągłej obecności w pobliżu. Moje gniazdo w morwowych gałęziach otoczonych rozrośniętymi krzewami jaśminu jest tak blisko, że nie mogła tego nie zauważyć.

– Po co tu przychodzisz? Odejdź! – wrzeszczała.

Teraz już nie krzyczy, chociaż oczy zachodzą jej bielmem, a lekko rozwarty dziób świadczy o żywionej niechęci i wahaniu. Postraszyć czy zlekceważyć? Milczy. Widzi, lecz się nie odzywa. Czy moje uczucia do Sartorisa są jej obojętne? Czy to możliwe? Czy już się przyzwyczaiła?

Ogarnia mnie złość. Złość za jej pewność, że nie zabiorę jej Sartorisa, że nie jestem groźną rywalką, lecz mało ważną sroką, która go podziwia i pragnie.

A która ze sroek nie chciałaby znosić jajek w jego gnieździe? Być jego samicą? Wyczuwać w nocy jego ciepło? Poddawać się czułym pieścizotom olbrzymiego ostrego dzioba i odwzajemniać jego dotyk? Wyczesywać, głaskać? A więc Rea uważa, że nic nie znaczą w ich życiu, że Sarto-

ris jest jej i tylko jej?

– Nie bądź taka pewna! Nie bądź taka pewna! – skrzeczę z goryczą, odwracając się tyłem.

– Nie jesteś lepsza ode mnie.

Rea przelatuje na moją gałąź. Ostrzy dziób o spękaną korę. Wydłubuje małe żółte chrząszcze. Nie przegania mnie, nie odpędza. Teraz jestem po prostu jej krewniaczką, z tej samej rodziny Sartorisa, dawną opiekunką, matką, która ją wysiedziała i wykarmiła.

Wiatr odchyła gałęzie. Srebrzysty błysk słońca odbitego w nieruchomej wodzie przyciąga uwagę. Tam, na brzegu, roi się od ważek, ślimaków, żuków. A w niebieskich, fioletowych i czerwonych kwiatach zbiera się słodki nektar, który o tej porze, gdy słońce staje najwyżej, pachnie oszałamiająco i upojnie.

Wiatr znowu odgina gałęzie. Na wodzie pojawiają się delikatne zmarszczki drobnych fal.

Biało – srebrne rybitwy przelatują nisko nad wodą.

– Lećmy! – krzyczy Rea i zlatuje z gałęzi szybko bijąc skrzydłami.

Opadamy ślizgowym, miękkim lotem ku prześwitującej powierzchni, zarośniętej przy brzegach sitowiem, tatarakiem, kaczeńcami, liliami, grzybieniami.

Z wysoka widać cienie potężnych ryb o brunatnych i czerwonych skrzelach i płetwach.

Podpływają i zbierają trzepoczące się na powierzchni chrząszcze, muchy, motyle. Szybko poruszają wargami gwałtownie wciągając zdobycz. Na marmurowych płytach, stopniach, przewróconych kolumnach i balustradach wygrzewają i osuszają się tłuste szczury wodne. Do ich nor ukrytych pod kamiennymi płytami nie zdoła wdrzeć się żaden drapieznik, a podwodne wejścia są niedostępne dla kotów i kun. Tylko drobne węże zagrażają ich potomstwu, lecz i one boją się potężnych szczęk starych szczurów.

Rea ląduje na zwalonej kolumnie i uderza dziobem w bok wylegującego się nastroszonego kształtu. Szczur nie ucieka.

Rea wydłubuje z jego grzbietu i połyka napelnione krwią kleszcze. Szczur wypina najbardziej swędzące miejsca. Jest stary, wyleniały, a jego skórę pokrywają czerwone plamy po ukąszeniach. Zostawiamy wodnego szczura i przeskakując z głazu na głaz zblizamy się do stawu. Żaby, jaszczurki i węże uciekają, biorąc nas chyba za czaple. Rea wyprzedziła mnie.

Słyszę jej skrzek tuż znad stawu. Tłucze o kamienie muszlami wodnych ślimaków. To jej ulubiony przysmak. Zanurzam dziób w białym kielichu, gaszę pragnienie nektarem i rosą.

Rea nadal rozbija muszle.

– Już idę, idę! – krzyczę chcąc ją uspokoić.

Biegnę w przeciwną stronę. Wzbijam się na skrzywioną, złamaną kolumnę płosząc spacerujące po niej derkacze.

Rea nie dostrzegła mojej nieobecności. Zza balustrady dochodzą ściszone echa kruszenia wapiennych skorupki.

Uspokojona pędzę do Sartorisa.

Jest sam.

Wyleci, usiądzie na najbliższej gałęzi i przez chwilę znowu będę jego samicą. Będzie pieścił mój dziób, grzbiet, skrzydła, nogi, stek. Przy-
mykam oczy, wyobrażając sobie dotyk dzioba, trącenie skrzydłem i w końcu wspaniałe, cudowne trzepotanie skrzydłami, kiedy pokryje mnie, przygniecie do gałęzi, przytrzyma, aż do spełnienia.

Zblizam się do zbitej masy zieleni, za którą znajduje się jego gniazdo. Niemal zderzam się z lecającą pod słońce pustułką niosącą w szponach błotnego żółwia.

Do ciebie tak mknę, Sartorisie! Do ciebie! Już.

Wśród ciemnej zieleni majaczy ułożona z gałązek kopuła. Lecę do wejścia, gdzie poniżej, wśród gałęzi bieleją wapienne ślady.

– Sartorisie! To ja! Czekam na ciebie! Chodź, Sartorisie! – powtarzam stając na wysuniętym konarze.

Poruszam skrzydłami i ogonem, podskakuję, przysiadam i obracam się, pragnąc zwrócić jego uwagę.

Szelest, poruszenie. Sartoris odwraca głowę, rozkłada skrzydła

nad jajkami.

– Wyjdź, Sartorisie! Czekam na ciebie! Chcę cię! – wzywam przy-
mykając oczy z pożądania. – Rea nie będzie nam przeszkadzała! Wyjdź!

Krażę, obracam się, odwracam, potrząsam skrzydłami, uginam
nogi okazując uległość, proszę. Widzę jak puch na głowie Sartorisa unosi
się i opada. Słyszysz, a więc nie jestem mu obojętna.

Dlaczego nie skrzeczy? Dlaczego nie odpowiada? Dlaczego mil-
czy? Dlaczego nie wybiega? Jak długo jeszcze będę czekała?

– Wyjdź, Sartorisie! Prędejj! Wyjdź! Pragnę cię!

Drzę z pożądania. Drzę wyobrażając go sobie za chwilę przy mnie.
Może nie słyszysz? Może liście stłumiły moje nawoływanie? Może nie widzi,
że jestem tak blisko?

– Wyjdź, Sartorisie! – krzyczę ze wszystkich sił nie licząc się już z
Reą, która też może mnie usłyszeć.

Ogarnia mnie złość, gniew, wściekłość, rozgoryczenie.

Wbiegam po konarze wprost do kulistego gniazda otoczonego
splątany kłosem gałęzi.

Zaskoczony przywarł do wysiadywanych jajek, rozpostarł skrzydła i
rozdarł dziób.

– Odejdź stąd! – skrzeczy. – Odejdź! Puszę się, stroszę, kręcę
głową, przebieram nogami chcąc pobudzić jego pragnienia.

– To ja! Przyszłam do ciebie! Jestem twoja! – powtarzam głosem,
dziobem, skrzydłami, całym ciałem. – Poleć za mną!

Sartoris, jakby przestraszony, odwraca głowę, skrzydłami przykry-
wa wnętrze gniazda.

Oczy ma rozszerzone, nieruchome.

– Odejdź! – powtarza kolejny raz i już wiem, że nie poleci, że moje
błaganie, wybiegi i fortele mające na celu zmylenie czujności Rei były da-
remne.

Podchodzę bliżej. Pochylam się nad nim. Próbuję musnąć dziobem
nastroszone piórka na czole.

Leży na gnieździe zakrywając przede mną jajka, jakby się bał, że je

rozbiję, stłukę, zgmiotę. Może słyszy dobiegające z ich wnętrza echa, szmery, ruchy? Może przeszkadzam mu w nasłuchiowaniu tych odgłosów?

– Sartorisie! Chcę być twoja! – mówię głosem, skrzydłami, oczami, całą sobą.

– Odejdź, bo będę musiał cię odpędzić! – krzyczy groźnie, strosząc puch na głowie, piersiach, grzbiecie. – To gniazdo należy do mnie i Rei! Odejdź!

Dochodzi mnie krzyk gniewu, wściekłości, nienawiści, chęci zabijania.

– Śmierć ci! Śmierć! – krzyczy Rea lecąca do gniazda.

Odwracam się, wyskakuję, wymykam w ostatniej chwili. Czarno – biała lśniąca błyskawica opada na gałąź, strącając dziobem liście.

– Zabiję cię! Zabiję!

Lecę nisko nad ruinami, placami, ulicami, ścigana echem rozścieczonego głosu zazdro-snej sroki broniącej swego samca i gniazda.

Susza nie doskwierała Sartorisowi i jego srokom tak boleśnie jak innym ptakom. Kiedy nie było wody, Sartoris zawsze znajdował inne płyny mogące zaspokoić pragnienie. Wiedział, że w muszlach kryją się ślimaki lub małże i wystarczy mocniej uderzyć je dziobem lub rzucić z wysoka na kamienie, by wydobyć mokry, smaczny pokarm.

Sartoris rozbijał też ptasie jaja i wypijał ich zawartość. Wiedział, że świeża ciepła krew również gasi pragnienie. Polował więc codziennie już nie tylko na młodziutkie pisklęta, lecz i na starsze wróble, sikorki, skowronki, słowiki, dzierłatki, zięby, trznadle, pokrzewki, szczygły.

Wyłapywane i ścigane przez sroki małe ptaki starały się chować w najgęstszych i niedostępnych miejscach. Ostry skrzek Sartorisa przerażał i wypłaszał je z kryjówek. Pędziły na oślep, wprost na sroki zaczajone wśród gałęzi.

Wkrótce też drobne ptactwo zaczęło łączyć się w gromady i odlatywać w bezpieczniejsze rejony, gdzie nie było aż tylu srok. Sartoris polował też na myszy, chomiki, nomice, badylarki, małe zaskrońce i padalce, chwytając i zabijając znacznie więcej, niż mogły zjeść jego sroki.

Łupy zagrzebywał w liściach lub piasku, a niekiedy porzucał pod drzewem lub murem.

Rea siedziała już w gnieździe, znowu szykując się do zniesienia jaj, które przesuwają się w stronę steku. Wyczuwała je w sobie i z drżeniem oczekiwała chwili, kiedy zaczną napierać i rozpierać wąski otwór. Bała się znieść jaja, bo traciła przy tym dużo krwi i przez dłuższy czas nie była w stanie wylatywać z gniazda. Sartoris karmił ją i poił troskliwie. Rozszerzony stek długo jednak bolał Reę, która z niespokojnym drżeniem wysiadywała jajka. Niekiedy jednak zmęczona obejmowaniem, podgarnianiem, przetaczaniem schodziła z jaj i odfruwiała na sąsiednią gałąź.

Sartoris z okrzykiem wściekłości natychmiast zapędzał ją z powrotem, stukając i szczypiąc dziobem w potylicę.

Rea posłusznie wracała na niewygodne twarde jajka. W południe Rea schodziła z jajek, rozprostowywała skrzydła i odpoczywała, a Sartoris wskakiwał i siadał na wygrzonym przez nią wgłębieniu. Dziobem i nogami przesuwiał jajka tak, by wszystkie objąć skrzydłami. Od czasu do czasu wydawał ostry, przenikliwy głos.

– Odleć stąd! Natychmiast! Widzę cię! Odleć bo... – wygrażał, łypiąc ostrzegawczo oczami.

Wśród cyprysów, magnolii, platanów, kasztanowców uwijało się wiele ptaków...

Sartoris nienawidził kukułek, które bacznie obserwowały nasze gniazda. Przelot kukułki w pobliżu wywoływał niepohamowaną złość. Prychał, fukał, podrygiwał, jakby już za chwilę miał wyfrunąć i ścigać intruza.

– Zabiję cię! – wygrażał.

Rea również bała się kukułek i stale czuwała zdenerwowana ich głosami.

Kukułki ciągle krążyły wokół cudzych gniazd, starając się umieścić w nich jaja. Znosiły ich dużo, więcej niż inne ptaki, znosiły codziennie... Fruwały z napiętymi kuprami, czując, że jeżeli nie znajdą gniazda, jajko wypadnie i rozbije się o kamień lub gałąź. Ich dobrze umięśnione steki z trudem powstrzymywały przemieszczające się wewnątrz jajka.

Nawet gdyby zechciały zbudować własne gniazdo, nie znalazłyby na to czasu, stale naciskane, popędzane, przynaglone wciąż tworzącymi się zalążkami i rozrastającymi się skorupkami.

Połykały ogromną ilość wapiennych kamyczków, okruchów tynku, skorupki muszli i jaj, a wszystko to natychmiast przetwarzało się w ich własne, powstające jajka. Już od rana kukały przeraźliwie, rozglądając się za jakimkolwiek gniazdem, byle pozbyć się pęczniejącego, narastającego, uciskającego ciężaru. Stąd nerwowe uderzenia skrzydeł, szybkie ruchy ogona, pokukiwanie, rozpaczliwe przelatywanie z gałęzi na gałąź, z dachu na dach, wszędzie, gdzie można by podrzucić jajko. Wszystko to drażniło Sartorisa, który czujnie wypatrywał kukułek z gniazda zasłoniętego przez cyprysowe gałęzie... Przylatywały... Brązowe, szare, z poprzecznymi pasami na piersiach i ogonie, pstrokate z szarymi czubami, o gładkich białych i żółtawych piersiach, mniejsze i większe. Niektóre nawet większe od srok, o skrzydłach z jasnobrązowymi, niemal pomarańczowymi lotkami.

Zgrzytliwe, chrapliwe, gulgoczące wrzaski przypominały z oddalenia wrzawę błękitnych srok... Biegały po gałęziach i wysuszonej trawie zbierając robaki, gąsienice, chrząszcze, ślimaki, a nawet mrówki.

To całe zamieszanie zawsze kończyło się kukaniem.

Pióra jeżyły się na głowie Sartorisa, oczy stawały się bardziej okrągłe, dziób zaciskał na gałęziach oplatających gniazdo w ledwo powstrzymanym gniewie.

Przez szczelinę dojrzał siedzącą w pobliżu kukułkę popatrującą w stronę ich gniazda. Długi ogon, szary czub, białe piersi i brzuch, pstrokate, ciemnobrązowe skrzydła. Podskakiwała na gałęzi zerkając na siedzącą na jajach srokę. Z bielmem na oczach rozjuszony Sartoris wybiegł z gniazda i rzucił się na skaczącego po konarach ptaka.

– Zabiję! Zatłukę! Zadzobię! – usiłował chwycić dziobem za czub na głowie.

Kukułka nie uciekła, lecz przeskoczyła na wyższą gałąź. Sartoris krzyknął i ponownie rzucił się na kukułkę. Jego szpony zanurzyły się w miękkim białym puchu, wydzierając nieco pierza. Pojawiła się Rea.

Ptak odfrunął nieco niżej, wyraźnie ociągając się z odlotem.

Od gniazda dobiegł nagle wrzask Rei.

– Uciekaj! Zabiję cię! Zabiję! – przepędzała kukułkę, która zdążyła już wtargnąć do ich gniazda. – Uciekaj!

Kukułki zniknęły wśród gałęzi... Sartoris zrozumiał. Samiec wyważył go, a samica niepostrzeżenie dostała się do ich gniazda.

Zafrasowani, razem z Reą uważnie oglądali jajka. Były do siebie podobne, niemal takie same. Rea zasiadła, rozłożyła się, rozczapierzyła, ogarniając białe owalne kształty. Spojrzeli na siebie. Wiedzieli, że jajek jest więcej niż poprzednio.

Wśród szarzielonych, brązowo nakrapianych jaj od razu dostrzeżesz bardziej wydłużone i jaśniejsze jajo kukułcze. Czy na pewno kukułcze? Dotknąłeś dziobem, przesunąłeś, obróciłeś... Czy było tu wcześniej? Czy podrzuciła je kukułka? Spojrzałeś na Reę, Rea na ciebie.

Dreżąc was wątpliwości. Niepewność, czy to jajko jest wasze, czy obce? Wystarczyłby cios zaciśniętym dziobem...

A jeżeli to jajko jest twoje i Rei?

Moje i Sartorisa?

Sartorisa i twoje!?

– Nie wyrzucę przecież z gniazda własnego jajka! – denerwuje się Sartoris.

– Nie wyrzucę z gniazda żadnego jajka! – potwierdziła Rea.

Siedzisz w gnieździe wypełnionym jajkami i zastanawiasz się, stawiasz sobie pytania, odpowiadasz i znowu pytasz, wyrzucasz z siebie całą niepewność, nieufność, gorycz, skarżysz się na złośliwy los.

Jaśniejsze, podłużne, pokropkowane brązowo jajko odróżnia się wyraźnie, nawet inaczej błyszczą w zanikającym świetle dnia.

Patrzysz na wyrosnięte, rozwrzeszczane ślepe pisklę o ciemnofioletowej skórze i pomarańczowoczerwonym wnętrzu gardzieli. Wczoraj rozbiło skorupkę i wypełzło, wylazło, rozdziawiło dziób.

Ściągnąłeś z jego grzbietu resztki ostrej skorupki i wyrzuciłeś z gniazda.

Pozostałe pisklęta rozbiły skorupki niemal w tym samym czasie, lecz to jest większe, nieco większe, o ciemniejszej skórze i wyraźniej zaznaczonych żółtych skórkach wokół dzioba.

Kiedy wchodzisz do gniazda, oczekują cię dzioby rozwarte, rozdziawione, domagające się zarcia. Pisklę, które wykuło się pierwsze, rozpiera się, napiera, przeciska, podskakuje, rozpycha.

Staram się rozdzielać jedzenie kolejno do wszystkich dziobów. Sroczęta przepychają się, potrącają, odpychają nie opierzonymi skrzydełkami.

Ciemniejszy pisklak, chociaż jeszcze nie widzi, stara się być jak najbliżej wejścia do gniazda. Głośnym wrzaskiem domaga się jedzenia.

Jego oczy są ciemne, otoczone jasnobrązową błoną, podczas gdy oczy pozostałych piskląt są czarne.

Czy to jego podrzuciła kukułka? Czy to nasze pisklę?

– Jeżeli jest w naszym gnieździe, to nasze – tłumaczy Rea.

Pisklęta rosną szybko... Już przejrzały i z zachwytem śledzą plamy światła przeciskające się przez gałęzie.

To o ciemnofioletowej skórze pokryło się już drobną siateczką jaśniejszych piór... Kiedy na brzegu gniazda rozdierasz młodego wróbla, pisklęta błyskawicznie pożerają rozdawane kęsy. Tylko ten odmieniec najchętniej pożera tłuste liszki, świerszcze, wyciągane spod kamieni wije i stonogi. Na kuperkach pojawiają się pierwsze rurki sterówek... Ogon tego odmiennego jest brązowy w jaśniejsze pasy... Ogony pozostałych czarnogranatowe, połyskliwe.

Dlaczego nie wyrzucisz obcego pisklęcia? Dlaczego karmisz je, jakby było twoje?

Na jego głowie pojawiły się pochylone do tyłu drobne, szare piórka. To on jest podrzuconym pisklęciem czubatej kukułki.

– Nie wypędzę go...

– Niech pozostanie...

Wynosimy w dziobach gęste, zielonobrazowe kupki piskląt.

Rosną coraz szybciej, stają się coraz większe... Podkradają sobie

gąsienice i kawałki mięsa.

Widać już wyraźnie obcość, inność, różność podrzuconego pisklęcia. Jednak karmicie je, czyścicie, wyczesujecie, okrywacie własnymi skrzydłami przed chłodem. Nie chcecie go wypędzić? Nie chcecie go zabić?

– Jest w naszym gnieździe, więc jest nasz – tłumaczy Rea.

Pisklęta potrząsają skrzydłami, podfruwają, chcą wychodzić na zewnątrz.

Przyjdzie dzień, kiedy wylecą razem na najbliższą gałąź...

Odkryją własne skrzydła i możliwość unoszenia się w powietrzu.

Na głowie kukułki nastroszy się jasnoszary czub, a biel jej piersi i brzucha będzie się wyraźnie odcinała od ciemnobrązowych, biało prążkowanych skrzydeł... Jakże odmienne jest to pisklę, a przecież pozwalasz mu powrócić do gniazda i usnąć wśród twoich biało – granatowych.

Nadal karmisz, doglądasz, wszystkie chronisz tak samo.

Młode rosą, przyjaźnią się, ścigają, szukają i zdobywają pożywienie.

Kiedy inne sroki zauważą wśród twych młodych czubatą kukułkę, rozwrzeszczą się, rozkrzyczą, rozłoszczą... Przepędzą ją, wygonią...

Do gniazda powrócą tylko twoje i Rei, prawdziwe młode sroki.

Czubata kukułka jeszcze przez dłuższy czas będzie mieszkała w cyprysowym gaju, w pobliżu waszego gniazda.

Pliszki, świergotki, dzierłatki, skowronki, słowiki, drobne i ruchliwe ptaszki o donośnych, wibrujących głosach... Są tak małe i tak szare, że ich nie zauważamy. Nie dostrzegamy ich, dopóki nie zaśpiewają. Dopiero ten świergot, trel, kłaskanie, rozedrgane echo wydobywa je z pozornie nie zamieszkanego zarośli, zmusza nas do zatrzymania się, słuchania, zastuchania...

Ciepły, bezwietrzny wieczór. Sartoris drzemał właśnie na gałęzi, gdy po raz pierwszy za-

śpiewał tamten słowik.

Wśród wieczornych głosów, poszumów, szelestów, grania cykad,

brzęczenia i bzykania, trzepotu motyli skrzydeł, ten drżący i przejmujący głos przenikał cienką warstwę puchu, wciskał się w uszy, przywoływał wspomnienia.

Dziwny niepokój ogarnął Sartorisa. Nagle przypomniał sobie opuszczone miasto, pierwsze światła i cienie, białą sowę wyrwijącą gałąź, pożar, który tak niespodziewanie pozbawił go rodziców i rodzeństwa, tułaczkę i przyjazne nowe gniazdo, wilczycę z ludzkimi szczeniętami...

Śpiew małego, nie znanego ptaka przywołał to wszystko z pamięci, z głębi której istnienia Sartoris nawet nie podejrzewał. Nie był to śpiew spokojny, jednostajny, monotony... Niekiedy słabł, zanikał, urywał się. Po chwili powracał, uderzał silnymi, twardymi tonami, spadał

kaskadą szybkich dźwięków, nagle szeroko rozwierał zaspane oczy.

Puch na głowie Sartorisa unosił się, stroszył, opadał. Ten śpiew zmuszał go niekiedy do przenikliwego wpatrywania się w półmrok, jakby w oczekiwaniu... W oczekiwaniu czego?

Tego Sartoris nie wiedział...

Śpiew słowika niepokoił go, chociaż nie ostrzegał przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Przywoływał, chociaż mały ptak nikogo obcego przywołać nie chciał. Budził tęsknotę za odlotem, chociaż nikt z nas nocą odlatywać nie chciał. Przypominał wydarzenia i szczegóły, o których wołałbyś zapomnieć.

A jednak Sartoris odczuwał ulgę, odprężenie... Czuł się silniejszy i pewniejszy. Zasypiał spokojniej. Widma, szkielety, strachy otaczające go tak często w snach rozbiegały się, chowały, rozpraszały.

Śpiew słowika uśmierzał lęk przed zaśnięciem, przed nieznanym, które mogło czaić się tam, we śnie.

Sartoris spał. Oddychał głęboko i równo. Budził się rześki, wypoczęty, radosny.

I znowu nadszedł wieczór. Oszałamiająco i słodko pachniały żarnowce i magnolie. Słowik śpiewał, a Sartoris usypiał szczęśliwy.

Reę drażnił długotrwały, słowiczy trel, dobiegający co wieczór z

gęstniejącego mroku.

Może zauważyła, że Sartoris zamiast przytulić głowę do jej skrzydła i muskać ją dziobem, wsłuchiwał się w przenikające przez liście echa? Czy nie patrzyła z zazdrością, jak oczekuje tego śpiewu? Jak uspokaja się pod jego wpływem i usypia?

Po skwarным, gorączkowym dniu wieczór był chłodniejszy, jasny, dający wytchnienie.

Słowik rozśpiewał się wśród morw, powojników, magnolii, przekwitających bzów. Sartoris zastygł zasłuchany, przymknął oczy...

Rea syczała, skrzeczała, nerwowo otwierała dziób.

Sartoris spał już mocno, kiedy podniosła się i wymknęła z gniazda.

Rozejrzała się, nasłuchiwała. Ślizgowym lotem przefrunęła bezszelestnie nad żarnowcami żółciejącymi w księżycowym świetle. Wylądowała nieco wyżej, między gałęziami magnolii i ostrożnie posuwała się naprzód, zważając, by jej cień pozostał niedostrzegalny.

Zachwycony swym śpiewem słowik nie zauważył zarysu drapieżnej głowy, nie dosłyszał chrobotu szponów na gładkiej korze.

Chciał odskoczyć... Krzyknął. Za późno!

Rea schwytała go, przycisnęła do gałęzi, przytrzymała. W blasku księżyca dostrzegła w rozwartym dzióbku drżący, maleńki podłużny język. Pochyliła się, zacisnęła pokrywy dzioba, szarpnęła. Słowik drgnął z bólu, zadygotał. Wyrwany jęczyczek zwiślał z dzioba Rei. Wypuściła poturbowanego, poranionego ptaszka i odleciała.

Słowik nadal leżał na gałęzi, oddychał ciężko, drżał. Usiłował się podnieść. Otrząsnął piórka, zsunął się. Odfrunął chybotliwym, niepewnym lotem, zostawiając za sobą krople krwi. Leciał coraz niżej...

Rea wróciła do gniazda, przytuliła się do Sartorisa, skubnęła dziobem puch na jego głowie.

I znowu nadszedł wieczór. Sartoris przysiadł na gałęzi i czekał. Chciał zasnąć... Wiercił się niespokojnie, otrząsał nerwowo pióra, przymykał i otwierał oczy.

Początkowo nie rozumiał dlaczego...

Brakowało mu słowiczego śpiewu... Tęsknił.

Rea spała już głębokim nie zakłóconym snem.

Sartoris raz po raz otwiera półprzytomne z bezsenności oczy. Jest sam w zgęstniałym, groźnym mroku. Wydaje mu się, że leci nad poczer-niałą, wypaloną równiną, przypominającą popielisko, martwe przestrzenie wokół wulkanu. Otaczają go kłęby dymu i pary, duszące wyziewy i mgły. Okraczają go, przyduszają, unieruchamiają... Chcesz się wyzwolić, umknąć, uciec. Nie wiesz dokąd lecieć. Zaskrzeczał rozpaczliwie, zatrzepotał.

Rea poruszyła się, prychnęła ze złością. Wyczuł ciepło jej piór i zapach gniazda. Jest bezpieczny, ale mimo to długo nie może zasnąć. Wychodzi więc z gniazda, staje na gałęziach i nadśluchuje głosów dobie-gających z oddali. Coraz częściej wylatuje wieczorami z gniazda i frunie daleko, tam, gdzie śpiewają słowiki.

Podchodzi cicho, by ich nie spłoszyć. Chce słuchać długo, jak naj-dłużej...

Małe ptaki stały się jednak ostrożniejsze, nieufne i bardziej bojaź-liwe. Milkną przy najmniejszym bodaj szeleście i szmerze...

Wtedy Sartoris powraca do gniazda, sam zмага się ze swymi sna-mi i nie może pojąć, dlaczego żaden mały ptak nie śpiewa już w pobliżu sroczych siedzib.

Większość ptaków śpi zmęczona upałem. W pomarańczowym gaju chichoczą sroki. Przedrzeźniają się, krztuszą, straszą, przepędzają. Wyżej, na horyzoncie pióropusz dymu pochyła się, rozwiewa. Ciemnobrunatna mgła spada aż na morze, daleko od owoców tryskających żółtym sokiem. Z przeciwległych wzgórz nadlatuje gorący, południowy wiatr. Sartoris przy-siada na gałęzi z rozwartym dziobem i szeroko rozłożonymi skrzydłami.

Pomarańcze są tak dojrzałe, że wystarczy mocno uderzyć zaciśnię-tym dziobem w błyszczącą powierzchnię, by pociekła pachnąca strużka. Pióra na piersiach Sartorisa są pozlepiane, zmierzwione. Skwar rośnie i starzejący się ptak nie ma sił, by teraz je czyścić.

Z dziupli potężnego cedru dobiega głuche pohukiwanie, ściszone, jak echo nocnego nawoływania.

Mieszkające tam żółte sowy też przeżywają swoje złe sny.

Może śni się im fala, która zatopiła ich gniazdo? Może wąż pozerający pisklęta? Lub ogień wspinający się po pniu starego drzewa?

Wszystkie ptaki gniazdujące wokół góry bluzgającej płomieniami i popiołami mają sny niespokojne, nerwowe, męczące.

Ty też, Sartorisie, stale śnisz o tych, którzy mieszkali tu niegdyś przed ptakami, a właściwie obok ptaków. Wszędzie bieleją wydłużone, cienkie kości, których ptaki, gdy brakuje wyschniętych gałązek, używają do budowy gniazd.

Śni ci się, że ludzie powrócili. Podnoszą się białe szkielety i rzucają kamieniami w twe gniazdo, gdzie Rea uczy małe sroczęta pierwszych uderzeń skrzydłami i samodzielnych przelotów. Szkielety o próchniejących, okrągłych czaszkach podskakują wokół drzewa, usiłują cię spędzić. Wdrapują się, wyciągają klekocące dłonie, by złapać i zabić Reę i pisklęta.

Dziobiesz w puste oczodoły, bijesz skrzydłami, drapiesz. Oblegają cię, otaczają.

– Nie! – budzisz się z przeciągłym krzykiem na dygocącej gałęzi, wśród pomarańczy przejrzalnych, ciężkich od słodyczy.

Patrzysz pytająco na śpiącą Reę, na rozspane sroki.

Stoję na przeciwległej gałęzi, a ty grożąco wysuwasz dziób. Słucham twoich snów, Sartorisie, przejmuję się twymi odlotami, przelotami, spotkaniami tam, po drugiej stronie, w półmroku, mroku, w ciemności, w otchłani snów, których też się boję.

Oczy Sartorisa są przerażone, dziób rozdziawiony. Rozgląda się, jakby sprawdzał, czy szkielety ze snu nie czają się pod drzewami pomarańczy.

– Dlaczego zamieszkałeś pod wulkanem, Sartorisie? Dlaczego osiedliłeś się w pobliżu mrocznej, dymiącej i zamglonej góry, przy której ptaki śpią dłużej niż gdzie indziej, a budzą się zmęczone i przerażone sennymi przygodami? Dlaczego zatrzymałeś się właśnie tu, nad morzem, a nie w głębi lądu, gdzie wiatry nie są tak silne i porywcze?

Sartoris patrzy wprost w moje oczy, jakby szukał odpowiedzi na pytania, na które nie ma odpowiedzi.

– Dlaczego nie poleciałeś na wschód, jak powracające ptaki? Lub na północ, gdzie jest chłodniej? Lub wzdłuż jakiegokolwiek rzeki przecinającej kontynent?

Sartoris patrzy na mnie, bo tylko ja nie usnęłam w tym rozgrzanym dygocącym powietrzu.

Oczy kleją mu się, zamykają. Boi się zasnąć, bo tam we śnie znowu mogą czyhać szkielety istot, które żyły tu przed nami.

– Boję się, boję się – przyznaje cicho Sartoris i usypia.

Patrzę na lśniące błękitem i fioletem pióra, na zarośnięte do połowy pokrywy dzioba, na niemal przezroczyste sine błony na oczach.

Ostrożnie, powoli, by nie obudzić Rei, przysuwam się do jego skrzydeł opuszczonych na pomarańczową gałąź. Z każdym oddechem poruszają się nieznacznie, a ich zwisające końce drżą w gorącym powietrzu.

Sartoris śpi twardo w zieleni upalnego południa. W osłoniętych błoną oczach nie ma mrocznego nieba z ledwie widocznym zarysem horyzontu, skamieniałych czarnych drzew i ludzkich szkieletów wygrających kamieniami. Jest tylko mrok, pusty, nie zaptasiony, nie zaludniony, nie zamieszkały, niemy, mrok uśpienia, mrok bez snów, mrok zupełny.

Przytulam się do niego skrzydłem, przyciskam głowę do jego pochylonej głowy, której dziś nie chowa między rozpalone do gorąca pióra.

Błona drży, jakby chciał otworzyć oczy. Jednak nie otwiera.

– Jak dobrze – szepcze ledwie dosłyszalnie.

Rea i sroczeła śpią. Gdybyś był mój, Sartorisie, gdybym wspólnie z tobą wysiadywała i karmiła pisklęta, gdybym mogła codziennie pieścić twą głowę, rozczesywać pióra, puch na skrzydłach i barkach, oczyszczać oczy i dziób z najmniejszych pyłków i okruchów, gdybym mogła nie bać się tego, że chcę być z tobą, gdybym była z tobą...

Zbliżam dziób do nasady jego dzioba, do miejsca obficie zarośniętego sztywnymi piórkami przypominającymi grube włosy. Tuż obok, blisko oka, sterczy sinobłękitna kulka, owalny kształt spijający krew.

Kleszcz wkręcił się niedawno w delikatną błonę i Rea nie zdążyła go usunąć. Pamiętam ptaki oślepione przez kleszcze, wczepione wokół oczu. Przysuwam dziób, zaciskam wokół owada, lekko przekręcam, wyszarpuję. Wyrwałam go z głową i poruszającymi się odnóżami.

Sartoris podnosi nieprzytomne oczy, przeciąga się, ziewa.

Miażdżę kleszcza dziobem i wypluwam.

Sartoris znowu usypia.

Kleją się i moje oczy. Teraz ja bronię się przed zaśnięciem.

Nie chcesz usnąć, bo wiesz, że wasze sny są podobne, niemal takie same.

On jest w twoim śnie, a ty w jego.

I tobie, i jemu śni się rozległe mroczne miasto, którego ty nigdy nie widziałaś na jawie.

Fruwacie po ulicach, placach, parkach, nad zakolami rzeki o ciemnym lśniącem nurcie.

Wciąż lecę za tą rzekę, zawsze czegoś tam szukam i nigdy nie znajduję.

Domy za rzeką są wysokie, rozległe, zbudowane z szarych, betonowych brył z olbrzymią liczbą okien. Kiedy chcesz się zbliżyć, okna rozwierają się i widać w nich szkielety trzymające kamienie.

– To sen – powtarzasz, chcąc się uspokoić.

– To tylko sen.

I cóż z tego, że to tylko sen, jeżeli uciekasz, zawsze uciekasz.

Kiedy zasypiasz, obiecujesz sobie, że tym razem nie uciekniesz przed rękami ze snu, które podnoszą kamienie. Pozostaniesz, przetrwasz, bo to przecież tylko sen. Lecz kiedy już tam jesteś – znowu uciekasz, uciekasz zawsze tak samo, tą samą drogą, błędząc wśród nadrzecznych zaułków.

I nagle, na skale, widzisz olbrzymie gniazdo orłów zbudowane z cienkich wysuszonych kości, jakie większość ptaków wplata w swe gniazda. Ścigające cię białe cienie zatrzymują się, a ty chowasz się w tym gnieździe, które przecież jest opuszczone...

Wzbijasz się, wlatujesz wyżej i wyżej, dalej i dalej, w niebo, gdzie nigdy jeszcze nie byłeś, gdzie nie było przed tobą żadnego ptaka.

Boisz się tej zawrotnej wysokości, która zdaje się nie mieć kresu.

Sartoris jest przy tobie, za tobą, przed tobą, tuż obok.

Stara się przewodzić, lecz jego skrzydła słabną, nie przecinają już powietrza z dawną siłą.

Widzisz strach w jego oczach, lecz nie umiesz mu pomóc.

Możesz tylko krzyknąć, dodać mu odwagi, lecz czy twój krzyk przywróci mu siły? I nagle widzisz przed sobą Olbrzymiego Białego Ptaka. Przejrzystego, bo przez jego biel dostrzegasz brzegi morza, góry i rzeźbę spływających rzek. Największego, bo wypełnia sobą widnokrąg, i całe twoje istnienie mieści się w jego istnieniu. Białego, bo przypomina obłoczną mgłę zasnuwającą horyzont.

Ptak jest pod wami. Podlatuje od dołu i szybującym skrzydłem podtrzymuje zmęczonego Sartorisa.

Sartoris zbliża się do ciebie, przybliża, dziobem pieści twoje pióra. Tu, na przejrzystym skrzydle Wielkiego Ptaka, wysoko, najwyżej nad ziemią czujesz, jak bije na tobie skrzydłami, obejmuje cię, dosiada, zapładnia.

– Czy tu, tak wysoko, możemy zbudować gniazdo, Sartorisie?

Nie odpowiada. Jego oczy błyszczą, a skrzydła trzepocą w miłym uniesieniu. Skąd w tobie tyle siły, stary ptaku? Szelest, szmer, podmuch. Gałąź chwieje się, kołysze.

– Odejdź! Odejdź od Sartorisa! – skrzeczy napastliwie Rea.

Zniknęły białe ptaki i zawrotna wysokość, Wiatr uderzył silniejszą falą i zmienił kierunek.

Przyniósł ledwie wyczuwalną woń siarki i ognia.

Przeskakuję na sąsiedni wierzchołek, naprzeciw nastroszonego Sartorisa.

On patrzy na mnie i już wiem, że byliśmy tam razem.

Sartoris przestał zabijać.

Nie poluje, nie ściga, nie chwyta.

Nie łapie sikorek, szczygłów, wróbli, wilg, trznadli, dzierlatek, sło-

wików, mysikrólików, pliszek. Nie wpada już do gniazd, nie rozbija i nie wypija jaj. Obojętnie przechodzi obok słabego, gołębiego pisklęcia, któremu jeszcze niedawno wydarłby serce i oczy.

Zmieniłeś się, Sartorisie, przeobraziłeś, stałeś się innym ptakiem, nie znanym, zaskakującym najbliższych, niepewnym siebie, małym mównym.

Byłeś myśliwym, przewodziłeś obławom na małe ptaki, prowadziłeś sroczę nagonki na wiewiórki, krety, szczury, drobne węże i żaby. Kiedyś oślepiłeś małe wilki. Napadłeś na ledwie widzące szczenię lisa, które nieostrożnie wypełzło z nory w słoneczny poranek.

Zatłukłeś je dziobem, a zrozpaczona lisica długo wyła pod drzewem, na którym zasiadłeś wraz ze swą gromadą.

Lubiłeś wtedy krew, gorący, gęsty, żywy, oblepiający płyn płynący wprost z serca. Gasił pragnienie i pomnażał siły.

– Dlaczego teraz nie zabijasz, Sartorisie? Sroki zerkają zdziwione i coraz bardziej niechętne. Z oburzeniem potrząsają głowami, skrzydłami, ogonami.

- Dlaczego nie zabijasz?
- Uczyłeś nas wrywać serca, a teraz?
- Osłabłeś? Jesteś chory?
- Zabij choć wróbla!
- Napij się krwi!

Przylatują, pytają, złorzeczą, denerwują się, złoścą. Nie odpowiadasz. Nastroszyłeś się i milczysz. Udajesz, że nie słuchasz, jakby mówiły o obcym ptaku.

Może nie umiesz odpowiedzieć? A może nie chcesz odpowiadać? Widzę, jak szukasz sobie miejsca w rozwidleniu dębowych gałęzi. Chcesz zasnąć, lecz boisz się.

Jestem pisklciem w pierwszych dniach życia. Pisklciem, które jeszcze nie przejrzało, jeszcze nie powinno widzieć.

To sen. Jesteś pisklciem, które nie rozwarło przecież oczu, a wie, zna, dostrzega, przewiduje. Leżysz w ciepłe, w matczynym puchu, w głębi

miękkiego gniazda.

Pochyla się nad tobą błysk, blask, jasność, srebrzystość, zbieleły ptak, biała kawka, niegdyś wypędzona, a teraz powracająca.

Przeraziłeś ją, prześladowałeś, wyгнаłeś, skazałeś.

Powróciła.

Unosi głowę. Zamierza się ostrym przejrzystym dziobem.

Rozdziera cię ból. Najgłębszy, najpotworniejszy, przenikający. Nie ból, lecz przerażenie, paraliżujący strach. Nie ból, lecz świadomość umierania. Cierń przebijający na wskroś, kolec sięgający serca.

Dziób zaciska się w środku, świdruje, przecina, wrywa, wydziera.

Nie mam już serca.

Nie jestem ślepym pisklęciem.

Jesteś dojrzałą, doświadczoną, starzejącą się sroką, silną i pewną siebie, którą zabija obcy, biały ptak. Mści się, bo go wypędziłeś.

Nienawidzi cię, jak ty nienawidziłeś jego odmienności.

Biały ptak stoi nad tobą, z twym sercem w dziobie.

Pijesz własną krew.

Rea przytrzymuje pazurem zabita żołą.

Stoi na gnieździe wydzierając kawałki mięsa. Krew przecieka przez gałęzie, skapuje na oczy, głowę, skrzydła.

Ból minął, strach został.

Wylatujesz z gniazda czym prędzej, jakby ścigał cię myszołów.

Rea ze złością kłapie dziobem.

Sen powtórzył się już tyle razy, a ty z każdym snem stajesz się inny, bardziej obcy, głębiej samotny.

Rea patrzy na ciebie jak na nie znanego sobie ptaka. Nie jesteś już Sartorisem, którego znała, przebiegłym, nieustraszonym przewodnikiem i obrońcą.

Zmalałeś w jej oczach, przestałeś oznaczać dawnego siebie.

Rea widzi, jak się boisz, i boi się, że wypełni ją twój strach. Rea chciałaby uciec od twojego lęku, jak ucieka się od chorych i słabnących srok o matowiejących oczach, srok zbliżających się do śmierci.

Boisz się, że któregoś dnia biały ptak z twego snu zadziobie cię, zakłuże, przebije, zanim zdążysz się obudzić.

Wokół Rei zawsze kręciły się młode samce, zazdroszczące ci władzy nad srokami i dużego wygodnego gniazda. Coraz częściej spotykasz tu Krisa, którego niegdyś wysiedzieliście razem z jajka w waszym gnieździe.

Teraz wyczekuje na Reę, nie licząc się z tobą.

Rea jeszcze niedawno przepędzała Krisa, nie dostrzegała jego załotów, błagalnych spojrzeń, zduszonych słodkawych much, które kładł przed nią na chropowatej korze. Jeszcze niedawno przepędziłbyś go i postraszył tak, że długo nie odważyłby się zbliżyć i zalecać do Rei.

Dzisiaj pewny siebie Kris przechwala się swą siłą i szybkością, skrzecząc natrętnie z pobliskiej gałęzi. Bezczelnie rozkłada skrzydła, puszy się i pyszni.

Sądzi, że się go boisz, że ze strachu schodzisz mu z drogi.

Rea coraz częściej spogląda zachwyconym wzrokiem na silnego, młodszego od niej ptaka, którego zniosła, wysiedziała z jajka i wykarmiła.

Teraz ten wspaniały samiec o fioletowo – granatowych piórach pobłyskujących zielenią i złotem buduje gniazdo w pobliskim, oliwnym gąszczu.

– To dla ciebie! – woła zwabiając Reę. – Przyjdź!

Dlaczego nie rozgniewasz się, Sartorisie?

Dlaczego go nie przepędzasz?

Czy pozwolisz, by zabrał ci, zagarnął Reę i wszystkie błyszczące złote okruchy, jakie rozjaśniały wasze gniazdo?

Czy to sny odbierają ci siły do życia w blasku dnia?

Sartoris szuka samotności. Unika wszystkich srok, którym dotąd przewodził. Unika również mnie. Czy nie powinnam być teraz stale przy nim? Rozczesywać jego piór, wygładzać puchu na głowie i oczyszczać sztywnych włosków wokół dzioba?

Nie ma go w gnieździe. Przepędzam gromadkę derkaczy, które zakradły się i wynoszą strzępy sierści i pióra do swych gniazd. Uciekają przestraszone moim krzykiem. Nie ścigam ich, tylko myślę o nim.

– Sartorisie! Sartorisie!

Nie ma go. Zniknął. Nie ma go w pomarańczowych i cytrynowych gajach. Nie ma na zboczach porośniętych gąszczem oliwnych drzewek. Nie ma nad wodą, gdzie łowił osy i zbierał ślimaki.

– Czyżby odfrunął? Nie. Sartoris nie odfrunąłby sam. Sartoris nie pozostawiłby sroczjej gromady – odpowiadam sama sobie.

Nagle ogarnia mnie radość. Krzyczę najdonioślej, najgłośniej.

– Wiem, gdzie jesteś, Sartorisie!

Jesteś w dawnych siedzibach ludzi. Zaszyłeś się pod dachem, w wygodnym obszernym pomieszczeniu, w jednym z tych, które zwiedzaliśmy niedawno z Reą. Tak. Tylko tam jeszcze ciebie nie szukałam, a więc na pewno jesteś tam. Musisz tam być.

Lecę do miasteczka. Już nad wąwozem słyszę dalekie skrzeczenie srok. Słucham, czy nie wyłowię grubszego, gardłowego wrzasku Sartorisa.

Nie. Nie słyszę. I cóż z tego? Sartoris nie jest już młody i nie woła tak głośno jak dawniej.

Krzyk Sartorisa rozlega się tylko wówczas, gdy dzieje się coś naprawdę ważnego. Wlatuję w niespokojną gromadę srok granatowo – białych i niebieskich. Nie widzę Sartorisa.

– Gdzie nasz przywódca? Chcemy odlecieć! Musimy odlecieć! On zna drogę! – sroki wrzeszczą, krzyczą, drą się wszystkie jednocześnie i już wiem, że w miasteczku również go nie ma.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że niebawem czeka naszą gromadę krótki przelot na północ, jakiego dokonywałyśmy od lat o tej właśnie porze.

Ten przelot nie był właściwie konieczny i niektóre ptaki pozostawały na miejscu uważając, że las i miasteczko po tamtej stronie niewielkiego płaskowyzu są w zasadzie takie same, jak te, w których jesteśmy.

Sartoris odlatywał jednak co roku o tej samej porze, podczas pełni księżyca, kiedy wysoko nad nami przelatywały klucze żurawi, bocianów, kormoranów i czapli.

Wielkie i ciężkie ptaki leciały z bardzo daleka, a ich cel musiał być

równie odległy. Sroki wyciągały ku nim dzioby i wrzeszczały, lecz wielkie ptaki ciągnące na północ nie zwracały na nas najmniejszej uwagi, lecąc przed siebie wytyczonym szlakiem. Nawet w nocy słychać było szum ich ciężkich, rozłożystych skrzydeł.

Sartoris patrzył za nimi, jakby zastanawiając się, czy tam, dokąd leca, nie ma lepszych warunków życia i lęgów niż tu, w pobliżu pomrującego wulkanu.

Przez kilka dni wydawał się niespokojny, a później zwoływał sroki i namawiał je do odlotu. Gromada dzieliła się wtedy na te, które gotowe były natychmiast lecieć, i te, które chciały pozostać.

I teraz też podniecona i niespokojna część nawoływała do odlotu, podczas gdy wiele sroczych rodzin przyglądało się tej krzątaninie obojętnie, chcąc pozostać w cieniu wulkanu.

– Gdzie jest Sartoris? Dlaczego nie ma Sartorisa? – zawołałam.

Sroki przycichły. Zrozumiałam, że nieobecność Sartorisa nie była dla nich teraz najważniejsza.

– Znam drogę między wyżynami! – oświadczył nagle Kris. – Szybko i bezpiecznie! Możecie lecieć ze mną!

– A gdzie Sartoris? – krzyczałam donośnie, coraz bardziej przestraszona.

– Polecimy z tobą! Polecimy za tobą! – gardłowały sroki wyciągając ku Krisowi długie szyje. – Chcemy polecieć!

– Polecimy! – krzyczał Kris. – Będę waszym przewodnikiem!

– Naszym przywódcą! – krzyknęły sroki, jakby nie pamiętały już o Sartorisie.

– A Sartoris? – wrzasnęłam oburzona. – Zawsze przewodził nam Sartoris!

– Lecimy za Krisem! – darły się młode sroki, zachwycone odbiciami słońca w jego granatowoczarnych piórach. – Lecimy za tobą, Kris!

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zupełnie jakby nieobecność Sartorisa na tym wystłonecznionym placu, w miasteczku nad strumieniem wpadającym do morza, była nieistotna, nieważna w tak doniosłej chwili?

Nastroszyłam pióra, błysnęłam oczami, groźnie pochyliłam głowę.

– Sartoris! Sartoris! – zawołałam.

– Lecimy natychmiast! Czy jesteście przygotowane? – wołał Kris. – Czeka nas długa droga. Im szybciej wylecimy, tym szybciej będziemy u celu.

Sroki podskakiwały, wirowały, kręciły się, podfruwały i opadały, pochylając i unosząc głowy. Postępowały tak zawsze przed podróżą.

– Lecimy! – krzyczały podniecone.

– Zostaję! – zawołała najstarsza z rozwalonego komina najbliższego domu. – Nie chcę nigdzie odlatywać!

– Czy nie widziałaś Sartorisa? – wylądowałam przy niej.

Nie odpowiedziała. Zamrugła, cofnęła się, odwróciła. Odfrunęła do gniazda, ukrytego w splecionych gałęziach brzoskwiniowego gaju.

– Odlatujemy! – krzyknął Kris, wskakując na najwyższą gałąź wyschniętego platana.

Wzbiły się w górę, zatoczyły krąg nad placem, nad miasteczkiem.

Odfrunęły. Patrzyłam na granatowo – błękitną gromadę frunącą za Krisem, który wylągl się przecież z jaja wysiadywanego na przemian przez Reę i Sartorisa. Rea leciała tuż za nim.

W miasteczku zrobiło się niemal cicho. Szumiał strumień. Cwierkały wróble. Gołębie gruchały, szczekały zdziczałe psy. Podfrunęłam na szczyt wyschniętego dębu. Z wysoka dostrzegłam granatowo – błękitny cień, malejącą smugę ptaków, której przewodził Kris.

– Sartorisie! – zawołałam po raz kolejny i usłyszałam skrzeczące echo własnego głosu odbite od skalistego brzegu rzeki i kamiennych ruin.

Gromadka wróbli odfrunęła przerażona, niepewna, czy nie zacznę polowania. Rozglądałam się po pustych oknach, czy nie zobaczę gdzieś granatowoczarnej sylwetki. Niestety.

Powróciłam do starego gniazda, w którym przez tyle lat obserwowałam szczęście Sartorisa i Rei, kolejne lęgi, gdzie przeżyłam obok nich tyle radości, trosk i rozczarowań. Wnętrze gniazda było puste, tylko na korze widać było ślady piór i sierści rozkradanej przez dziecięcy i derkacze.

Czułam się bezradna i zagubiona, bo nagle znalazłam się sama tu, w miejscu, gdzie nigdy dotąd sama nie byłam.

Jeżeli potrzebowałam samotności, odlatywałam w stronę wulkanu, do ustronnych, zacisznych parowów, porośniętych wyschniętymi porostami i czerwonym mchem. Byłam tam sama, bo chciałam być sama. Teraz zostałam osamotniona, bo nie było Sartorisa, a większość srok odleciała. Samotność została mi narzucona.

Rozdrażniona, ponownie zawołałam Sartorisa. Wołałam na wszystkie strony, krzyczałam, wzywałam wiedząc, że nie ma go w pobliżu, bo gdyby mnie usłyszał, odpowiedziałby na pewno. Gdyby usłyszał, moglibyśmy teraz być razem, być parą w tym gnieździe, w jego gnieździe.

Lekki wstrząs gałęzi i głuchy pomruk przerwały nawoływania. Wulkan odezwał się, przypominając, że mieszkamy, żyjemy, latamy w jego cieniu. Wzbiłam się nad korony i zatoczyłam krąg, wpatrując się uważnie w siniejącą kopułę na horyzoncie.

Żółcie, zielenie, brązy, ochry, posiwiałe sine błękity, biel skał i brzegów, blask słońca w morzu. I tylko tam szarobrunatna wyrwa otoczona dymem i parą, szarością popiołu, czerwienią ściekającego żaru.

Stamtąd dobiegał głuchy pomruk, głos wydobywający się z ziemi.

– Sartorisie! – zawołałam. – Sartorisie!

Przypomniałam sobie wieczór, kiedy odleciał w stronę wulkanu i powrócił dopiero w południe następnego dnia.

Ależ tak. To możliwe. Sartoris latał tam, gdzie nikt nie latał, docierał do miejsc omijanych przez zwykłe ptaki. Nie unikał niebezpiecznych przelotów, nawet wtedy, gdy wulkan wyrzucał z siebie rozgrzane do czerwoności głązy, tryskała lawa, a chmury pyłu zasłaniały słońce.

Serce zabiło mi silniej. Zanurkowałam, przekreśliłam się kilkakrotnie w powietrzu. Sartoris mógł tam być. Może chciał być sam, z dala od innych? Szybko nabrałam wysokości i leciałam ślizgiem w stronę groźnie dymiącej góry.

Lekki wiatr uderzał w dziób i skrzydła niosąc woń siarki i spaleni-
zny. Czy Sartoris potrzebuje twej pomocy? A może tylko ty czujesz się sa-

motna i opuszczona?

Uderzałam skrzydłami chcąc jak najszybciej dotrzeć do szarego pasa stygnącej lawy, otaczającego stok pulsujący ogniem. Ptaki nie zapuszczały się dalej.

Wydzielające się dymy, gazy, opary nie pozwalały na przelot.

Pamiętasz młodego, niedoświadczonego jastrzębia? Chciał przelecieć nad krawędzią wulkanu. Jak kamień runął w dół, a gromada srok szybko uciekła w stronę miasteczka.

Wulkan zbliża się, zapach siarki staje się ostrzejszy. Rośliny wokół są szare, zmarniałe.

Rozglądam się uważnie, starając się nie przeoczyć jakiegokolwiek śladu. Na skale dostrzegam resztki orlego gniazda. Ptaki porzuciły je dawno, przerażone nagłym wybuchem.

Sartoris nie bał się orłów, wiedział, że jest dla nich zbyt wątłą, mizerną zdobyczą. Przylatywał tu i podglądał, jak ogromne ptaki dźwigały w szponach króliki, jagnięta, węże, rozrywając je na oczach swych piskląt.

Krzyk srok drażnił orły, więc niekiedy rzucały się za nimi w pozorowanej pogoni. Sroki jednak zawsze potrafiły umknąć. Orły przeganiały je tylko do krańca starego pomarańczowego gaju.

Oblatuję gniazdo i widzę, że w jego poszyciu kryją się szaro – brązowe maleńkie zięby.

Przez chwilę waham się, czy nie zapolować na młode ptaszki, których mózgi dla srok są szczególnym przysmakiem.

Zięby na mój widok zbijają się w rozwścieczoną gromadę i rzucają się ku mnie z gniewnym świergotem. Otaczają mnie małe rozwarte dziobki i niespokojnie furkoczące skrzydełka.

Odlatuję. Sartorisa nie ma.

A tereny wokół wulkanu to ostatnie miejsca, w których dotychczas go nie szukałam.

Ostry swąd palonego drzewa owiewa mnie siną smugą. To lawa pożera karłowate sady i sosnowe laski. W oddali pełzają wianuszki płomieni.

- Sartorisie!

Głos, jego głos. Ściszony lub pochodzący z wielkiej odległości dociera niespodziewanie.

Rozglądam się, odwracam głowę, wypatruję.

Pochylone kamienne ściany dawnych ludzkich gniazd. Nadwątlone przez bezustanne wstrząsy, częściowo zasypane popiołem. To stamtąd.

- Sartorisie! - wzywam ponownie.

Lecę ku resztkom górującej nad ruinami wieży. Serce łomocze, pióra drżą, dziób otwiera się i zamyka nerwowo.

Na murze, nad gmatwaniną rdzewiejących rur i blach widzę skulonego, postarzałego ptaka. Matowe pióra, zszarzała biel, oczy wypełnione lękiem, twożnie rozwarty dziób. Czy to Sartoris? Tak wyglądają ptaki, którym grozi śmierć. Ptaki, które się boją. Czy Sartoris bał się kiedykolwiek?

To on.

Skrzydła zwisają, najniższe lotki rysują bruzdy w wulkanicznym pylenie. Zlatuję krzycząc z radości. Biję z uniesienia skrzydłami. Jego oczy! Jego oczy patrzą na mnie z bólem, z żalem, z udręką.

- Będziemy już zawsze razem, Sartorisie! - dotykam dziobem jego dzioba. - Chcę być z tobą! Tylko z tobą!

Ziemia drży. Wulkan wyrzuca z siebie czarne kłęby. Sartoris milczy i tylko pióra na jego głowie nastroszyły się, spęczniały, zjeżyły.

Drażni mnie ta obojętność, niedostrzeganie, milczenie. A może jest zły, że przerwałam jego samotność? Że pojawiłam się, przypominając mu o całym poprzednim życiu?

- Odlatujemy stąd! Tu jest niebezpiecznie! - krzyczę rozkazująco, podskakuję i uderzam skrzydłami. - Odlatujemy do naszego gniazda!

Patrzy, jakby zastanawiał się, co zrobić?

Podrywam się, przelatuję, okrążam go, muskam go skrzydłami.

Czy się poderwie? Czy polecą za mną?

Odlatuję, zataczam krąg, zawracam.

Sartoris jak dawniej pionowo wzbija się w górę. Błyskawicznie

osiąga dużą wysokość i cicho, bez krzyku leci ku rozżarzonej granicy.

– Nie tam! – krzyczę. – Pomyliłeś kierunki! Do naszego gniazda trzeba lecieć w odwrotną stronę! Nie leć tam, Sartorisie!

Nie słucha. Mocno uderza skrzydłami, mija rozplomioną granicę wyciekającej lawy.

Leci ku krawędzi wulkanu. Wznosi się coraz wyżej i wyżej nad pulsującym stokiem.

– Sartorisie, zawróć!

Stał się biało – czarnym punktem nad dymami, oparami, mgłami.

Przez chwilę lecę za nim.

Dym, żar, swąd, siarka i ogień.

– Zawróć!

Lecz Sartorisa już nie ma. Wchłonął go szary mrok.

Brunatne dymy co chwila purpurowieją nad krawędzią wulkanu.

Gołębica

Spętano ci nogi, Gołębico, aż krwawią.

Nie możesz chodzić,

nie możesz walczyć o chleb,

*słabniez.
A jednak wlatujesz wysoko
pomimo bólu.*

Zapamiętałem skupisko gołębic gniazd na rozwalonym strychu budynku ze stali i szkła.

Każda rodzina pilnowała tu swego betonowego poletka. Wystarczyło przekroczyć granicę, by otrzymać silny cios dziobem w potylicę lub gwałtowne uderzenie skrzydłem odrzucające aż pod ścianę.

Zanurzam dziób w głębokim, rozciągniętym wolu mojego ojca. Wypijam, wypijam płynną mleczną treść, pełną nasion traw, okruchów tynku i mięsa.

Już widzę. Odróżniam cienie, odcienie, barwy, przemiany światła. Już wiem, że za betonową krawędzią znajduje się świat ptaków, które potrafią wzbić się w powietrze na skrzydłach. Nie mam jeszcze piór, dopiero zaczątki ukryte, schowane, otoczone białymi błonami i łuskami.

Przeważnie są z nami ojciec lub matka. Starają się nie opuszczać nas, nie pozostawiać samych, boją się, że znowu nadleci pustułka i porwie roztrzepotanego, przestraszonego pisklaka, jak wczoraj, kiedy wszystkie dorosłe gołębie nieopatrznie wyfrunęły z gniazda.

Wieczorem, gdy ogarnia nas senność, wpada rdzawy ptak z zakrzywionym dziobem i ciężkimi, grubymi szponami wywleka któreś z piskląt. Wlece małego piszczącego gołębia, opędzając się dziobem i skrzydłami od broniących go zrozpaczonych rodziców. Już na krawędzi zaciska pazury na nie opierzonym kuperku lub mostku. Szpony wchodzą głęboko, wciskają się między żebra i przeponę, krępują ruchy i oddychanie. Mały ptak leży z rozłożonymi skrzydłami, skreconą szyją i nawet nie ma już sił, by popiskiwać. Drapieżnik stoi na nim, mocno wczepiony pazurami. Zrywa się do lotu i unosi go ze sobą.

Zapada noc. Ciemność gęstnieje. Na strychu długo jeszcze rozlega się pełne rozpachy gruchanie gołębic rodziców.

Młode giną. Najczęściej od nagłych, niespodziewanych uderzeń w

szyję. Wystarczy, by młody gołąb nie trafił nogami w miejsce, gdzie chciał wylądować, lecz szyją, piersią czy podgardlem zderzył się z twardą krawędzią.

Krucze, delikatne kręgi pękały, łamały się, wyginały, wykręcały, kruszyły. Nieporadny, niepewny swych sił odzyskuje równowagę nie wiedząc, że od tej chwili zaczyna się nieodwracalne, powolne umieranie.

Może jeszcze fruwać, lecz z trudem utrzymuje równowagę, chybotrze się raz do przodu, raz do tyłu, wyciągając szyję, prostując się i kuląc, bo w każdej pozycji czuje się źle. Trudno mu kręcić głową, trudno się odwrócić i pochylić dziób ku wodzie lub jedzeniu. Coraz ciężiej porusza nogami, które chwieją się i słabną. Coraz trudniej jeść, bo przecież przełyk przebiega tuż przy chorym, nadwątłym, złamanym lub pękniętym kręgu. Połyka nasiona, lecz krtań zwęziła się i przełknięcie większych ziaren jest bolesne.

Zwraca jedzenie, wypluwa, wymiotuje, chociaż dręczy go rosnące pragnienie i głód. Słabnie. Zaszywa się w kącie, w cieniu, w półmroku. Łudzi się, że słabość i wypełniający go powoli chłód miną i znów będzie mógł lecieć wzwyż, w słońce, w przestrzeń, wszędzie, gdzie zagna go ciekawość.

Wierzy, że potrzebuje krótkiego odpoczynku, spokoju, snu, by znowu było jak dawniej, gdy czupurny i spragniony lotu opuszczał po raz pierwszy gniazdo. Kiedy tak trwa pod murem w półmroku, może go zagryźć łasica lub kot, pożreć wąż, porwać sowa lub jastrząb, za-dziobać gawron, wrona lub sroka. Gołąb kuli się widząc przesuwające się wokół cienie chmur, ptaków, zwierząt. Chce żyć, lecz nie wie, że śmierć jest już w nim.

Ogarnia go chłód i senność.

Oczy zachodzą białą błoną i świat wokół obojętnieje. Nie dostrzega już cieni, przeobrażeń światła, ruchu liści, uderzeń wiatru.

Pęknięte kręgi odbierają życie powoli, lecz nieustannie, aż w końcu gołąb leży z wyciągniętymi do tyłu nogami i nie otwiera oczu.

Puch na głowie i piersiach nastroszył się, dziób rozwiera i zamyka łapczywie chwytając powietrze, skrzydła drżą. Otwiera oczy w ostatnim

poszukiwaniu blasku, lecz jest w nich już tylko mrok. Obraca, kręci głową. Nie czuje już bólu. Jeszcze poruszy skrzydłami, jakby chciał wzlecieć, lecz nieruchomieje.

Odwracam się, odchodzę. Patrzę na białe cętki pokrywające jego skrzydła i myślę, że jastrząb wypatrzy go z daleka, nawet ukrytego w półmroku pod drzewem, ścianą lub skałą.

Szum skrzydeł. Rodzice powracają z długiego lotu nad morze. Matka wbiega na szeroki murek górujący nad strychem. Zasiada na gałązkach i piórach. Szykuje się do nowego składania jaj i to jest dla niej najważniejsze.

Niespodziewanie poderwały się do lotu. Przestraszył je sokół? Spłoszył podziemny wstrząs? Krzyk pawia umykającego przed borsukiem? Łomot spadającej rynny?

Gołębie wzbily się w niebo, okrążyły kopułę, rozleciały we wszystkie strony.

Zostałaś. Skoczyłaś pod rozrośniętą kępę kopru i czekasz.

Jesteś odważna i przewidująca.

Kiedy fruną nad tobą, przyciągając poszumem skrzydeł, przez chwilę odczuwasz nieodpartą potrzebę przyłączenia się, współuczestnictwa, wspólnego odlotu.

Trzeba wielkiej siły woli, by pozostać, gdy wszyscy nagle odlatują.

Zostałaś, nie poddałaś się i zamiast odlecieć czekasz, rozglądając się ciekawie spośród suchych, wysmukłych łądyg.

Om już cię dostrzegł. Starzejący się ciemnoczerwony gołąb o rozrośniętych białych naroślach wokół dzioba i kanciastej wydłużonej głowie też pozostał, rozplaszczony na płaskim kamieniu.

Om nigdy nie ulegał panice ogarniającej ptaki. Pęd do uciezki, zrywanie się i nagły odlot jakby go nie dotyczyły. Często też frunął w przeciwnym kierunku niż gołębie stado, nawet pod prąd ich skrzydeł.

Też pozostał. Nie widział potrzeby odlotu tylko dlatego, że odlatują inni. Zwykle pozostawał sam.

Teraz z zaciekawieniem patrzył na młodą Gołębicę. Gdybym odle-

ciała w ogromnej gołębiej rzeszy, nigdy by mnie nie zauważył.

Om często zalecał się zarówno do gołębic, jak i do młodych gołąbków. Jednak od początku zimy, gdy w szponach kani zginął zaprzyjaźniony z nim długodzioby gołąb Białogon, do nikogo nie zbliżał się i nie zalecał.

Młoda Gołębica, która nie przestraszyła się i nie poddała zbiorowemu pędowi, zachwyciła go i zadziwiła.

Przyciągały go rdzawo – różowo – białe pióra, smukłość jej sylwetki i wydłużone, sierpowato wygięte silne skrzydła, mówiące o szybkości, zwrotności i wytrzymałości.

Sama i niepewna wyglądała zza wysmukłych łodyg, wahając się, czy wybiec na odkrytą przestrzeń.

Podfrunął, podbiegł, zakręcił się, zabiegał, prężył się, podskakiwał.

Odczuwała już potrzebę założenia rodziny i znoszenia jaj.

Om, chociaż podstarzały i z lekka utykający, po przytrzaśnięciu palców przez okno poruszone przeciągiem, oszołomił ją swą wielkością, rozłożystością ogona i fioletowo opalizującym puchem na grzbiecie i piersiach.

Kiedy obchodził ją, fukając i prychając, czuła się szczęśliwa, że właśnie ją wybrał, że właśnie jej zapragnął.

Zgodziła się, pochyliła, podkuliła nogi, przysiadła cichutka i pokorna.

Oddała mu się rozsuwając skrzydła i wypinając stek. Om podniecony i uszczęśliwiony brał ją, wachlował skrzydłami, pusząc i pyszniąc się przed gołębiami powracającymi z niespodziewanego lotu wokół wzgórza.

Następnego dnia na tym samym kamieniu omal nie schwytała cię kuna. Nagłe kłapnięcie zębami. Ból. Odlatujesz. Za tobą spadają krople krwi. Kuna odgryzła ci czubek palca. Zbliźni się szybko i tylko od czasu do czasu, przed zmianą pogody, odczujesz w nim pulsowanie i narastający ucisk.

Rodzić będziesz we krwi. Cierpienie, z jakim znosisz jajka, Gołębi-

co, przeraża mnie i boli.

Skorupki pokrywają rdzawe plamy. A ty już podgarniasz je pod siebie i okrywasz skrzydłami, gruchając i potrząsając głową.

– Moje jajka! – powtarzasz, przestępując z nogi na nogę, z wyniosłą pewnością siebie. – Moje i twoje jajka.

Twoje pióra są zakrwawione, twój stek rozszerzony i obolały. Siedzisz na jajach skubiąc dziobem rozrzucone gałązki. Ich zakończenia nie mogą być ostre, bo mogłyby przedziurawić jajka lub pokaleczyć pisklęta.

Zaciskasz więc pokrywy dzioba starając się zmiażdżyć i zmiękczyć wszelkie niebezpieczne twardości, sztywności, ostrości.

Pod sobą odróżniasz twarde, sztywne patyki. Na nich ślepe jeszcze i nie opierzone gołębice będą ćwiczyły zaciskanie i rozkurczanie palców zakończonych pazurkami. Dzięki temu szybciej staną się silne i chwytne.

Otulasz, ogrzewasz jajka. Cieszysz się wyczuwając brzuchem ich kształty.

Om tańczy wokół, podnosząc i opuszczając głowę, obracając się, gruchając. A ty patrzysz na niego z zadowoleniem, że jest twoim samcem i broni gniazda, w którym złożyłaś dwa białoróżowe jajka.

Spośród wszystkich gołębic, które przyszły na świat tej wiosny, tylko ty masz już bezpieczne gniazdo i swojego samca, który chodzi za tobą krok w krok, pilnując, zapędzając, popędzając. Gniewa się i karci za każde spojrzenie w bok, na innego, za spojrzenie na mnie, za oddalenie się od gniazda.

Teraz, gdy urodziłaś mu jajka, stał się jeszcze bardziej zazdrosny. Krąży wokół nastroszony. Odpędza mnie ze złością, grucha, bulgocze, wydyma wole, zrzuca z pobliskiego gzymsu.

Kiedy siadam na przeciwległym parapecie, leci natychmiast, uderza, strąca.

Gołębica patrzy sennie, jak spycha mnie skrzydłem i dziobie w kark. Zlatuję do niszy pod ich gniazdem. Om spada za mną. Nie spodziewał się, że szary Młody Gołąb, jeszcze matowy, oprze się bokiem o ścianę, uniesie skrzydło i rąbnie zniecka w napuszoną, gruchającą głowę. Cof-

nał się, rozdziawił dziób, spojrział wściekle, zagulgotał z nienawiścią. Potwornie zamierzyłem się skrzydłem...

Odskoczył unikając ciosu. Teraz zobaczyłem, o ile jest ode mnie potężniejszy, większy, masywniej zbudowany.

Stał na szerokich krótkich nogach, grubokościsty, o dużej okrągłej głowie z haczykowato zakończoną górną pokrywą dzioba i wytrzeszczał oczy, złowrogo gulgocząc i plując. Usiłował zająć mnie od tyłu.

Nie spodziewał się, że tak młody gołąb, który jeszcze niedawno popiskiwał bity, spychany i przepędzany przez wszystkich, zdobędzie się na odwagę i uderzy starego, dojrzałego ptaka.

Przeglądał mi się ze złością, przeskakiwał z nogi na nogę, zastanawiając się, jak i gdzie uderzyć tego niepokornego gołębia, który zakłócał spokój jego samicy siedzącej na jajkach.

Wiedziałem, że jeżeli złapie mnie dziobem z tyłu za głowę, może przetrącić mi kręgi szyi.

Nie czekałem. Znowu uniosłem skrzydło i uderzyłem. Om uderzył równocześnie. Teraz strzelaliśmy do siebie skrzydłami stojąc pod kamiennym posągiem o szeroko rozłożonych ramionach.

Trzask sroczego dzioba. Przemknęły obok jak wielkie niebiesko – białe motyle. Chwila nieuwagi i łapie mnie za potylicę, prowadzi roztrzepanego do krawędzi i strąca uderzeniem skrzydła. Spadam, zlatuję między stojącymi wokół posągami. Niżej i niżej... Upokorzony, pobity...

Dopiero nad samym placem wściekłość przesłania mi oczy i uderzam silniej skrzydłami. Z białej głowy posągu oglądam obroty i podskoki starego samca wokół gniazda Gołębicy siedzącej na okrwawionych jajkach.

Fala nienawiści przepływa przez skrzydła i piersi. Podgardle pulsuje rozgrzany powietrzem. Biję skrzydłami, tupię i obracam się na rogątej głowie posągu.

– Nienawidzę cię! Nienawidzę! Zgiń! Odejdź! Przepadnij!

Om widzi mnie z wysoka i denerwuje się, chociaż udaje, że nic go nie obchodzi gruchanie, tupanie, obracanie i puszenie się Młodego Gołę-

bia.

Drażnię go, złoścę, obrażam. Obraca się jeszcze szybciej, grucha jeszcze głośniej, a wszystko po to, by mnie nie dostrzegać, lekceważyć, jakbym nie istniał.

– Jestem! Jestem tu! Ja jestem tu! – powtarzam obracając się na niewygodnej głowie olbrzymiego, brodatego posagu z zimnego marmuru.

Om przestaje wirować. Odwrócony tyłem kiwa się raz w tę, raz w tamtą stronę, zamiatając kuprem krawędź niszy.

Białoróżowa Gołębica skubie piórka na jego szyi, ociera się ulegle o skrzydło.

– Idź! Siadaj! Broń naszych jaj! Naszego gniazda!

Om spokorniał, pochylił się, jeszcze raz zamiótł ogonem. Zniknął w cieniu. Gołębica staje na krawędzi i uderza skrzydłami. Pęd wzruszonego powietrza unosi ją, ponosi, lecz ona nadal trwa na krawędzi, zachowując równowagę.

Gołębica! Moja Gołębica!

Skacze w dół, rozpościera skrzydła, zatacza wznoszący krąg, obserwując siedzącego w gnieździe Oma. Wzbija się kilkoma silnymi uderzeniami. Leci nad plac, przelatuje blisko kolumn sprawdzając, czy na niebie nie ma drapieżnych ptaków. Jest już za kolumnadą. Leci ku wodzie.

Zerwij się, lataj za nią. Lataj jak cień. Leć! Przecież chcesz być z nią! Może cię dostrzeże, zauważy, zgodzi się, ulegnie. Twoje marzenie...

Jasnoróżowa, wąskodzioba, z puchem opalizującym fioletem na szyi i piersiach, błękitem, zielenią, złotem, o ostro zakończonych skrzydłach i jeszcze jaśniejszych, niemal białych końcówkach lotek.

Zniknęła z pola widzenia. Boisz się o nią. Nerwowym ślizgowym lotem wwiercasz się w wiatr, który owiewał jej skrzydła.

Nie ma. Zniknęła. Rozglądasz się przerażony. Patrzysz wyżej, czy nie fruwa nad placem wśród tylu krążących gołębi?

Nie ma jej.

Jesteś już przy wodopoju obramowanym kamiennymi progami, zwaliskami, ruinami. Cętkowany kot chyłkiem unosi schwytanego ptaka w

cieniste chaszczce.

Opadam na strzaskaną kolumnę.

– Gołębico! Gdzie jesteś?

Przed chwilą przelatywała tędy w stronę stawu zarośniętego tatarakiem i rzęsą.

– Odezwij się, Gołębico!

Siwoczarna gromadka rozbryguje skrzydłami wodę. Kawki otrząsają się, wyczesują osobno każde pióro, przeczesują puch.

Jest. Stoi na marmurowych stopniach. Różowe żyłki kamienia, lekko zaczerwieniona biel stopni prowadzących ku wodzie uczyniły ją niewidoczną. Zbiega ku wodzie. Zanurza się w płyćźnie, przysiada, uderzeniami skrzydeł roztrząsa wokół krople. Rozkłada ogon, pochyla głowę, rozpryskuje.

Podkula nogi i unosi się na nieruchomej powierzchni, utrzymywana nagrzanym powietrzem wewnątrz swego puchu. Przyryka oczy z rozkoszy.

Patrzę z zachwytem, jak obraca głowę i dziobem rozdziela posklejane chorągiewki piór na kuprze.

Nie dostrzegła cię zajęta czyszczeniem skrzydeł.

Leć do niej! Natychmiast! Na co czekasz! Om siedzi na jajkach, a Gołębica jest sama. Obróć się przed nią! Zatańcz, zawiruj, krąż wkoło, zamiatając kamienie skrzydłami i ogonem!

Pochylaj się nisko, najniżej, by po chwili znowu unieść czoło! Wygruchaj jej swe tęsknoty, pragnienia, marzenia! Opowiedz o miłości, namiętności, zazdrości! Wyrzuć z siebie ukrywane, maskowane, powstrzymane uczucia! Pragniesz jej? Więc skacz z tej kolumny! Leć prosto! Zatocz łuk nad kąpiącą się Gołębica! Ugaś pragnienie, bo przecież twój rozwarty dziób aż płonie z wewnętrznego żaru! Leć do niej! Pokaż się! Jesteś silnym, zwinnym, świetnie fruującym gołębkiem! Chcesz być jej gołębkiem! Tylko jej! Chcesz przepędzić Oma!

Chcesz razem z nią wysiadywać jaja i pisklęta! Wasze jajka i wasze pisklęta! Zdobądź się na ten lot! Teraz! Już! W tej chwili! Zdobądź ją! Niech ci ulegnie! Jeżeli nie zechce, zmuś ją!

Widziałeś przecież, jak stare gołębie postępują z gołębicami! Łapią dziobem za kark, przyduszają do ziemi, wskakują od tyłu na grzbiet łomocąc skrzydłami. Leć do niej! To przecież twoja gołębica! Twoja, bo jej pragniesz!

Zbliżasz się, zataczasz koło nad kąpiącą. Tak nisko, że skrzydłem muskasz wodę. Wtem plusk, plusk, plusk. Żaby wyskoczyły spod liści grzybieni tuż przy Gołębicy. Krople padają na jej białoróżowe pióra.

Otwiera oczy. Unosi skrzydła i wprost z wody podrywa się, odlatuje.

Zanurzasz dziób, pijesz, wsysasz nagrzaną wodę pachnącą błotem i butwiejącymi korzeniami trzciny.

Gołębica jest już obok szczytu kolumny, z której ją obserwowałeś. Lecisz za nią wiedząc, że to nie ma sensu, bo za chwilę i tak wyląduje w swej niszy i sprawdzi, czy Om siedzi na jajkach. Om wkrótce zejdzie z jaj, ustąpi jej miejsca, a kiedy dostrzeże ciebie, zacznie wściekle krążyć, podskakiwać, nadymać się i gruchać. Jeżeli nie odleczę, będzie mnie spychał, przepędzał, szczypał, bił.

Gołębica nie leci do gniazda. Znika między morwami, których słodkawe smaczne owoce leżą w zeschniętej trawie. Białe – żółte pęcherzyki są pełne mięszu. Jedzone w nadmiarze wydają się mdłe.

Gołębica siedzi na obnażonym, pokręconym, sękatym korzeniu i łapczywie zdziobuje żółte grudki. Siadasz obok. Zalecasz się i tańczysz, podbiegasz, stroszysz pióra, gruchasz.

Jestem wspaniały i silny, Gołębico! Bądź moją! Pragnę cię...

Nie słucha. Zachłannie pożera morwę wraz z drobnymi mszycami i muszkami przylepionymi do owoców.

Ogonem i skrzydłami omiatam przed nią opadłe kulki morwy. Przeskakuję na korzeń obok. Grucham miłośnie, pochylając i unosząc głowę.

Nie zwraca na mnie uwagi, nie dostrzega.

– Bądź tylko ze mną! – grucham.

Fuka, pryca, odwraca się i odlatuje, strącając wyschnięte liście. Nie gonisz jej. Pochłaniasz miękkie, rozpływające się owoce. Mdła, kwa-

skowata słodycz napełnia wole.

Wypatrujesz między gałęziami wygodnego, zacienionego miejsca do snu, gdzie nie dociera żar południowego słońca.

Śniesz o Gołębiczy. Jest przy tobie.

Jej czerwień, a może mieniący się tęczowo jasny brąz, przechodzący w różowość, przeobraża się w biel na końcach skrzydeł i ogonie. Końcówki lotek są już białe najczystsza bielą.

– Gołębica! Moja Gołębica! – powtarzasz przez sen.

Promień słońca prześliznął się przez nieruchome liście, musnął czoło i grzbiet. Czarne gałęzie i zieleń. W prześwicie widzisz jasnoblękitne niebo i krążące pustułki, wypatrujące nieostrożnych gołębi.

Om chce, by bały się go wszystkie gołębie. Do naszej niszy nie pozwala zbliżyć się nie tylko obcym, lecz i bliskim ptakom. RzUCA się na nie, atakuje, przewraca, chwytA dziobem za kark lub ciemię i strąca. Szczególnie nienawidzi innych samców, o które jest zazdrosny.

Udaję, że ich nie dostrzegam. Odwracam głowę, przymykam oczy, nie odpowiadam na zalotne gruchanie i falujące ruchy głowy.

Sądzisz, że Om uwierzy, iż nie dostrzegasz innych? Przypuszczasz, że się uspokoi, złagodnieje?

Czy można uśpić zazdrość starego mądrego gołębia, który przeżywa przy tobie powtórna młodość? Om zawsze wyczuwał moje zainteresowanie innymi samcami. Om wie, że półprzymknięte oczy, leniwe rozwieranie dzioba, znużenie, ziewanie, odwracanie głowy, uległość, posłuszne fruwanie tuż za nim lub przy jego skrzydle to niecała prawda.

Czyż nie zachwycasz się młodymi smukłymi gołębiami o rozłożystych i silnych skrzydłach? Czy nie masz ochoty musnąć skrzydłem tego szarego Młodego Gołębia, który co rano wypatruje cię z przeciwległej ściany? Czy gdyby Om nie był w pobliżu, pozostałabyś obojętna na rozkochanie gruchania i wirujący taniec na rogatej głowie posągu? Czy nie przyleciała-byś do niego? Czy nie o tym rozmyślasz, Gołębico? Czy nie marzysz? Czy w twych snach nie jesteś daleko stąd z tym matowym, szybokolotnym gołębkiem, który jeszcze nie miał swej gołębiczy i własnego

gniazda?

Wyczuwasz brzuchem rozgrzane krągłości. Unosisz się i dziobem przesuwasz ciepłutkie jajka. Om patrzy na ciebie z samozadowoleniem. Ma głębokie poczucie własności.

– Moje gniazdo! Moje jajka! Moja Gołębica! I wszystko wokół moje! – powtarza, obracając się w nieskończoność.

Przez chwilę żałujesz, że tak szybko umknęłaś przed Młodym Gołębiem, który najwyraźniej szukał cię tam przy wodopoju. Rozglądał się z niepokojem siedząc na szczycie kolumny.

A później, gdy udałaś, że spłoszyły cię żaby, pomknął za tobą do morwowego gaju. I znowu mu uciekałaś. Zostawiłaś go pod starą skręconą morwą z rozwartym z niezadowolenia dziobem.

Patrzysz na przeciwległą ścianę. Tam, na wysuniętej pod stropem belce, zobaczysz jego cień... Nie ma go. Jeszcze nie powrócił. Może usnął w chłodnym cieniu morwowych liści?

Wnętrza rozgrzanych jaj są ciche, ty jednak czujesz, że rodzi się w nich życie, że pod białymi skorupkami, z których nie zeszyły jeszcze brązowe cętki twej krwi, powstaje ptak, ślepe, nagie piskłę, jakim i ty nie tak dawno byłaś.

Słońce powoli wędruje po niebie. Przez rozbite sklepienie widzisz wąski obszar błękitu z wolno krążącym jastrzębiem.

Tu, w zacienionej niszy jesteś bezpieczna, jego bystry wzrok nie pokona głębokiego cienia.

Przymykasz oczy. Ściszone głosy ptaków dochodzą jakby z wielkiej odległości. Przynoszą uspokojenie i sen.

Zbudzi cię nerwowe pogruchiwanie i szelest pazurków Oma. Otworzysz oczy i zobaczysz Młodego Gołębia ciekawsko wyciągającego ku tobie głowę. Om denerwuje się coraz bardziej i prycha rozgniewany jego bezczelnością.

– Wynoś się stąd! – grucha Om.

Leci na kamienną półkę, spada ukośnie i zrzuca samczyka.

Gniewnie potrząsa głową patrząc, jak strącony zalotnik daremnie

próbuję powrócić na kamienną półkę, na której on kręci się groźnie gruchając.

Przypominasz sobie, jak obojętnie potraktowałaś go pod drzewem morwy. Jak zależy mu na tobie, jeżeli nawet groźny Om nie może go przepędzić?

Nagle Młody Gołąb wzbija się w górę i pikuje prosto na ciebie, leci do waszego gniazda.

Om, który przed chwilą widział go pod sobą, usiłującego powrócić na półkę, nie zorientował się i nadal wściekle grucha, nadymając spęczniałe wole.

Serce bije silniej. Młody Gołąb przysiadzie tuż pod kamienną figurą kiwając się, kłaniając, pyszniąc, pusząc.

– Musisz być moja! Pragnę cię, Gołębico! – zagrucha miłośnicie.

Będzie wpatrywał się w ciebie, nie spuszczać oka i nie zważając na Oma, który chce wyładować na nim wściekłość. Uniesiesz się, podniesiesz, zesztwniejesz, twoje skrzydełka zadrżą. Gdyby nie białe owale jaj pod brzuchem, poleciałabyś za tym głosem.

– Poleć za mną! Razem założymy gniazdo! – grucha zalotnik.

Om jeszcze go nie dostrzegł. Rozgląda się po gzymsach, kolumnach, posągach, oknach i niszach szukając, gdzie ukrył się znieawidzony rywal.

Przestępujesz z nogi na nogę, pochylasz dziób, stroszysz puch na głowie i grzbiecie. Przyleciał tu do mnie, przyleciał nie licząc się z silnym i ciężkim Omem. Od jajek bije ciepło, twoje ciepło, ciepło, które teraz cię powstrzymuje. Młody Gołąb nadal wpatruje się w ciebie, tylko w ciebie, nie zważając, że Om może w każdej chwili zaatakować go z tyłu.

– Leć ze mną! Leć do mojego gniazda! Do naszego gniazda!

Serce zabije ci mocniej, fale ciepła przejdą przez ciało, zrobisz następny krok.

– Zostaw to wszystko i leć! – prosi.

– Odejdź! – odpowiadasz bez przekonania.

Pragniesz go. Chcesz być z nim. Dlaczego masz tkwić przy starze-

jącym się, natarczywym, odstrasającym wszystkich Omie? Czy ten Młody Gołąb o jedwabistych szarych piórach, na których pojawiają się pierwsze fioletowo – zielone lśnienia, nie jest ci bliski? Czy ci się nie podoba? Co przykuło cię do tego gniazda? Co cię zatrzymuje?

Jajka, rozgrzane białe owale, w których drzemie potomstwo twoje i Oma? Wystarczy je przekroczyć. Uderzyć silniej skrzydłami i pozostawić. Polecieć za Młodym Gołębiem i przeżyć rozkosz, której oczekujesz, którą przeczuwasz.

Twoje oczy znieruchomiały, zaokrągliły się... Młody Gołąb już wie, że ty pragniesz tego samego, co on, że gdyby nie te jajka, dawno już byłabyś w jego gnieździe. Podrzuca wysoko głowę, już czuje się zwyciężcą. Wściekły furkot skrzydeł, świst przecinanego powietrza.

I ty, i Młody Gołąb zapomnieliście, że Om pozostał tam, na przeciwległej ścianie...

Om wpada między was z szeroko rozłożonymi skrzydłami, z rozczapierzonymi pazurami, z plującym, chrypiącym nienawiścią dziobem. Odpycha zalotnika skrzydłem, wyciąga szyję, chwyta za kark, doprowadza do krawędzi, wypycha, zrzuca. Już. Młody Gołąb odlatuje na przeciwległą ścianę.

Om dyszy. Stoi przed tobą z falującą krtanią, rozszerzonymi gniewem oczami. Chwyta cię za puch na głowie i wciska w gniazdo, sadza na jajkach, przygniata.

Nie protestujesz. Pomrukujesz z zadowolenia. To dla ciebie, to z twojego powodu Om szaleje, rzuca się, ciska, poszturkuje cię raz dziobem, raz skrzydłem.

– Jesteś moja! – powtarza szurając rozłożonym ogonem po kamiennym gzymsie. – Zabiję go, zabiję!

Do końca dnia jest niespokojny i nerwowy. Nie pozwala ci nawet na rozprostowanie zdrętwiałych nóg. Kiedy podniosłaś się sądząc, że jak zwykle zastąpi cię w siedzeniu na jajkach, Om zagruchał gniewnie i z całej siły wepchnął cię z powrotem.

– Nie oddalaj się! Siedź! – złościł się.

Odfrunął i przyniósł ci w wolu pokarm, a właściwie płyn, wodę z rozmoczonymi ziarnami, owocami, owadami. Stał nad tobą, a ty zaspokajałaś pragnienie i głód grzebiąc w potężnym podgardlu.

Kiedy słońce przemieściło się ku zachodowi, Om odfrunął, a gdy przyleciał, wybrałaś z jego wola wszystko, co znalazł, do ostatniej gęstej kropli.

Om zmęczył się już pilnowaniem, czuwaniem, obserwowaniem, przynoszeniem i zaspokajaniem twego pragnienia i głodu. Siedzi pod białą marmurową figurą i oczy kleją mu się ze zmęczenia. Ogarnia go senność, znużenie tak głębokie, że musi się poddać.

Stare ptaki śpią inaczej niż młode. Usypiają częściej, lecz śpią krócej. W ciągu dnia potrzebują kilku drzemek. Om śledzący Młodego Gołębia starał się nie usnąć. Przysiadł nastroszony pod ścianą, zagradzając wyjście z gniazda, przymknął oczy, podparł dziobem opadającą głowę.

Drażni cię, że Om nie pozwala ci wyfrunąć, że ci nie ufa.

Patrzysz na krążące wysoko ptaki i ogarnia cię pragnienie lotu.

Rozglądasz się, wypatrujesz Młodego Gołębia. Gdzie jest? Czy aż tak przeraził się pogródźek Oma? A może znalazł sobie inną gołębicę?

Chciałabyś, żeby znów się pojawił, żebyś mogła zobaczyć go chociaż z daleka. Om budzi się na krótko. Wciska się do gniazda, wspiera się o ciebie całym swym ciężarem i usypia.

Niebo pokrywa czerwony cień. Słońce zachodzi. Za chwilę wnętrze gniazda wypełni szarość. Ze szczytu przeciwległej ściany opada ptak. Niemal bezszelestnie ląduje w kamiennej niszy. Rozgląda się, patrzy na ciebie.

Om śpi twardym snem znużonego ptaka. Młody Gołąb zatacza łuk, ląduje na wysuniętym kamiennym nadprożu. Chce być bliżej ciebie, chociaż we śnie.

- Zabiję go, zabiję! - grucha przez sen Om, ale Młody Gołąb tego nie słyszy.

Przetaczasz jajka na bok, okrywasz skrzydłem, usypiasz. Cieszysz się, że on tam jest, że nie przestraszył się, nie uciekł, nie zapomniał, że nie

znalazł innej gołębiczy.

Śpisz przytulona do swego Oma, a myślisz o tamtym.

W nocy były dzwony. Może poruszał je silnie wiejący wiatr? Dlaczego jednak nie słyszałaś ich dźwięku w dzień?

Uderzenia budziły cię, silniej biło serce. Dzwony z ciemności zwiastowały istnienie nieznanych istot.

Chwytałaś dziobem dziób Oma, ścisłałaś leciutko i wpatrywałaś się w mrok. Lęk mijał.

Zasypiałaś mimo uderzeń dzwonów. Rano zapominałaś o bezsenności i lęku. Ziewasz, przeciągasz się, prostujesz skrzydła i nogi, wyciągasz szyję.

Om zamiata parapet rozłożonym ogonem. Grucha zalotnie.

W słońcu ogarniały go miłosne pragnienia, biegał za tobą, podskakiwał, podrygiwał.

Byłaś głodna. Leciłaś ku sadzawkom zarośniętym grzybieniami i rzęsą, a za tobą Om rozpalony namiętnością. Przeszkadzał ci jeść, poganiał, przyspieszał, niecierpliwił się, pobijał

dziobem po ciemieniu, karku i skrzydłach. Ledwie sięgnęłaś po nasionko rdestu lub serduszko tasznika, a Om już stał za tobą, poszturchiwał i pokrzykiwał.

Napierał ciałem, przydeptywał sterówki w ogonie i lotki w skrzydłach, a ty odwracałaś się i odpędzałaś go, poszczypując delikatnie po szyi i piersiach. Om obwieszczał tobie i światu swe pragnienia.

Z napełnionym wolem, osaczona zalotami, zatrzymywałaś się, przystawałaś, podkulałaś nogi rozkładając skrzydła.

Om u szczytu swych pragnień oczekiwał szybkiego zaspokojenia. Leżałaś na brzuchu z lekko uniesionym kuprem, wodząc za nim oczami.

Podbiegł z tyłu, wspiął się na ciebie, wskoczył i bijąc skrzydłami przeżywał rozkosz.

Czułaś jego ciężar, przygniecenie, przyduszenie, zaciskanie pazurów na bokach, przyspieszony oddech, dotyk dzioba na nastroszonym karku, uniesienie.

Już. Przymknęłaś oczy ze szczęścia. Przeżywałaś podobny wstrząs i zachwył.

Om puszy się, pyszni, biega, szoruje piórami o trzon przewróconej kolumny.

Jesteś uległa, posłuszna, pokorna... Czekasz, aż ponownie cię zapragnie i zmoczy twój stek swym nasieniem.

Inne pary gołębi podglądają was z okolicznych dachów. Gołębice pochylają głowy, wyciągają szyje, mrużą oczy. Wiele z nich chciałoby mieć przy sobie tak dużego silnego gołębia.

Samce gruchają niechętnie, starając się odwrócić od Oma uwagę swych partnerek.

Jesteś niepewna i zazdrosna. Dlatego starasz się towarzyszyć Omowi w wędrówkach za miasto. Przyłączacie się do kawek, sójek, turkawek lecących nad morze. Trzeba nabrać wysokości i frunąć na zachód. W połowie drogi dostrzegasz rozległą niebieską przestrzeń.

Morze. Lecimy ku jaskrawym, białym plażom, na które wiatr nawiewa nasiona traw, a w piasku kryją się drobne raczki.

On i ty. I ja – nieco wyżej, za wami, by nie stracić z oczu twej smukłej sylwetki.

Od morza wieje wiatr silniejszy niż w głębi lądu. Chodzisz po sypkim piasku zapadając się niekiedy po piersi. Obok rozłożyły się pelikany, brodzą flamingi, pływają i nurkują perkozy, łyski, kormorany, łabędzie.

Mewy kłóca się o wyrzucone przez fale ostrygi. Biegną do nas z wyciągniętymi syczącymi dziobami.

Wśród tylu ptaków czujesz się bezpiecznie i pewnie. Gdyby pojawił się jastrząb, dlaczego miałby schwytać akurat mnie? Om też czuje się pewniej. Przepędza młode kawki podkradające mu spod dzioba galaretowate szczątki meduzy. Ich błękitnooccy rodzice udają, że nie widzą, jak lekceważąco uderza je skrzydłem i trąca dziobem.

Rozdarty kadłub statku na wpół zagrzebany w piasku przyciąga ptactwo. Mewy, rybitwy, wydrzyki gniazdują w nadbudówkach. Pilnują jajek i odpędzają natrętów. Na pochylonym maszcie wypoczywa pustułka.

Skręcasz. Przelatujecie bokiem nad wydmami, dalej na zachód.

Odnajdujesz znak zapamiętany przez wszystkie przylatujące tu ptaki... Trzy kościotrupy w ruinach dawnego portu. Szkielety łodzi, ryby i człowieka, nadwątlone solą, piaskiem i wichrami.

Dalej nie lecimy, bo nie zdążylibyśmy wrócić przed nocą.

Om wlatuje w rozwartą przestrzeń magazynu. Silna fala przeciągu wskazuje odległą bramę wylotu. Chłodne powietrze rozdyma błony krtani, osusza wnętrze wola, rozchyła dziób.

Ścigają się z nami lelki, jaskółki i jerzyki lepiące swe gniazda pod dachami portowych budynków. Rozległe są te magazyny wypełnione ciężkim żelaznym złomem, rdzewiejącym rumowiskiem.

Wypadamy na szary plac i drogę wiodącą do miasteczka.

Słońce przechyla się na zachód. Będzie teraz oświetlało powrót do miasta. Lecimy nad portem, nad basenami pełnymi łodzi zatopionych po maszty, nad resztkami rozpiętych na brzegach sieci. Nad białymi domami, z których sztormy zerwały dachy, wypchnęły okna. Om nie frunie przy tobie. Jego czerwieniejące w słońcu skrzydła dostrzegam wśród trzymających się razem młodych, jeszcze matowych gołąbków.

Zarośnięte trzciniami lustra. Opadamy. Gasisz pragnienie słodką wodą i rozglądasz się zdziwiona, że nie ma go przy tobie.

Ze wzgórza porośniętego wysychającą ciemną, ostami, nadmorską trawą dobiega czułe gruchanie. Om zaleca się do młodych samców, jak rano zalecał się do ciebie. Nadskakuje, doskakuje, ociera się, przewraca oczami. Szary Gołębek o wydłużonej głowie i białych lotkach ulega i szczęśliwy Om bije skrzydłami na jego grzbiecie.

Nastroszona, zazdrosna rozpędzasz zakochanych.

Lecimy... Promienie słońca spurpurowiały, cienie wydłużają się, w oddali mającą kopuły miasta.

Leć obok Gołębicy. Dotykaj jej sterówek swym ciemnobłękitnym skrzydłem. Nie bój się zazdrosnego i gniewnego Oma, który przepędza cię z pobliskich kolumn, gzymsów, murów.

Zbliż się do niej... Czy widzisz, jak wiatr rozwiewa białożółowy puch,

jak słońce zapala iskry na jej grzbiecie, jak drżą końcówki jej lotek, jak zwinnie porusza sterówkami wyrównując kąt lotu, jak mruży oczy i odchyła szyję?

Czy nie ty jesteś Gołębicą, której oczekiwałem i szukałem? Czy nie dostrzegasz mojego pragnienia? Dlaczego nie odejdziesz od Oma, nie uciekniesz ze mną, chociażby do portu, który zostawiliśmy za nami?

Czy nie słyszysz mojego gruchania i szurania ogonem o kamienie? Czy nie widzisz, jak nawet w locie chcę być obok? Jak najbliżej ciebie? Czy wiesz, dlaczego tak robię? Czy to możliwe, żebyś nie rozumiała moich spojrzeń, pochyleń, okrażeń, podlotów, podchodów, zalotów?

Pragnę cię, Gołębico, tylko ciebie... Spójrz, jak Om frunie, skrzydłem w skrzydło z młodym Szarym Gołąbkim. Raz pod nim, raz nad nim... Zbliży się podniecony, niemal kładzie się na nim w locie... Ociera się podbrzuszem. Szary Gołąbek opada, a Om natychmiast pod-fruwa, aby pomóc mu dźwignąć się wyżej.

Dlaczego, Gołębico, niepokoisz się kaprysami Oma? Dlaczego nawet w tak szybkim locie odwracasz głowę, by sprawdzić, czy nadal frunie obok Szarego Gołąbka? Dlaczego jesteś tak wzburzona i zaniepokojona? Gdybyś była ze mną, odpędzałbym wszystkie inne samice i młode szare gołąbki...

Błyszczą wieże, kopuły, miasto na wzgórzach... Dostrzegam daniele umykające przed wilkami. Podświetlone słońcem białe chmury rażą wzrok.

Niespokojna spoglądasz w górę...

Z północy nadciągają drapieżne ptaki... Wiedzą, że o tej porze powracają znad morza gołębie, turkawki, synogarlice, zięby, kaczki, kuraki, ptaki o słabych małych dziobach i drobnych pazurach, przeznaczonych bardziej do utrzymywania się na gałęziach i grzebania niż do walki.

Drapieżnicy są ostrożni... Unikają kawek, wron, srok, sójek, gawronów, bo uderzenia ich dziobów i pazurów mogą zabołec, poranić, oślepić. Krążą na szeroko rozłożonych skrzydłach, podtrzymywane przez wznoszące prądy powietrzne. Pustułki... Sokoły... Jastrzębie... Kanie...

Om i Gołębica dostrzegli niebezpieczeństwo. Schodzą niżej, by w razie pościgu ukryć się w zacienionych jarach, wąwozach, ulicach... Tylko że tam czyhają sowy, płomykówki, puchacze.

Zataczający kręgi drapieżnik rzuca się w dół, ku wybranemu z daleka gołębiowi. Om i Gołębica opadają... Tylko Szary Gołębek leci przed siebie, zapatrzony w białe szczyty obłoków i srebrzyste kopuły miasta. Om zawraca, wzbija się i przydusza młodego ptaka swym ciężarem. Razem lecą w dół.

Ze świstem przemknęła kania. Widzę rozszerzone żółte oczy, cofnięte skośnie skrzydła, rozwartą zakrzywioną dziób. Wysuniętymi szponami uderza w lecaącą blisko synogarlicę.

Łapie, przetrąca dziobem szyję, unosi.

Ptaki rozpraszają się, umykają, kluczą. Z wysmukłych kamiennych wież atakują pustułki.

Gołębica, Om i Szary Gołębek kryją się między płaskimi budynkami błyszczącymi stalą i szkłem. Różowa biel Gołębicy odcina się niebezpiecznie od przyciemnionych, przydymionych ścian. Czy skrzydlaci łowcy jej nie wypatrzą? Lecisz za nimi. Z wysoka raz po raz spadają pióra i krople krwi.

Gołębica wie, że jasność białoróżowych piór przyciąga wzrok drapieżców. Kryje się między Omem a Szarym Gołębkiem. Słońce błyszczy w jej skrzydłach wirujących i migocących jak u motyla.

Wypatrzyły cię... Czarny cień zatacza krąg w twym kierunku, cofa skrzydła, wysuwa szyję, leci w dół jak oderwany kamień. Rzucam się, chcę przeciąć mu drogę. Przyspieszam skrzydłami ze wszystkich sił. Och, jakże błyszczysz, Gołębico, wśród ciemnych cyprysów...

O ileż słabiej widać stąd ciemny brąz Oma i matową szarość Gołębka.

Myszołów przelatuje obok. Czarna głowa z grubym, zagiętym dziobem i ciężkie szpony.

Nie dostrzegł cię... Widzi tylko białoróżową, roztrzepotaną Gołębicę, która ostatkiem sił chce dotrzeć do rosnących na wzgórzu platanów.

– Weź mnie, jestem bliżej, schwytaj, porwij, rozedrzyj zamiast niej.

– Co robisz? Uciekaj! Twoje życie jest ważniejsze od jej życia...

Lęk. Trwoga. Spadasz jak głaz... Bliżej Gołębiczy pędzącej między szpalerem ciemnych cyprysów.

Myszołów wyciąga szyję, za chwilę wysunie szpony...

Skręć Gołębico... Wpadnij między ciemne gałęzie, zaszyj się w gąszczu...

Wrzask, terkotanie, skrzek... Ciemnogramatowe i jasnobłękitne sroki wypadają spośród gałęzi, machają ogonami, wyciągają złe dzioby. Odlatują, uderzają skrzydłami, płoszą, krzyczą, grożą.

Myszołów przerażony, zaskoczony, rozdrażniony, zdeorientowany opędza się od chmary zwinnych natrętnych ptaków błyszczących bielą, czernią, błękitem, podlatujących pionowo w górę, odskakujących, gdy chce je schwycić lub uderzyć dziobem.

Gołębica umyka w cień platanowego lasu, przy niej jest Om i mały Szary Gołąbek... Frunę za nimi między szczelnie zabudowanymi wzgórzami. Piach, pył i żwir zasypują dawne ulice.

Ze szczelin w asfalcie i betonie wyrastają karłowate krzewy, przebija się trawa. Przy kępach zieleni pasą się sarny, daniele, kozice, dziki.

Gołębica i Om są już w niszy, za wysmukłym białym posągim. Mały Szary Gołąbek przycupnął na rogatej głowie... Om grucha ku niemu miłośnię.

Patrzysz na Gołębicę z gzymsu na przeciwległej ścianie.

Om już cię nie przepędza... A gdybyś to ty wzbudził w Omie tęsknotę, gdybyś to ty stał się małym Szarym Gołąbkiem?

Byłbym przy niej, przy mojej Gołębiczy.

Błony opadają na oczy. Szarość. Zmierzch.

Odległe dźwięki dzwonów...

Bałaś się srok. Słyszac ich wrzask, często wybierałaś inną drogę. Nieostrożnego ptaka, który niespodziewanie znalazł się spośród nich, potrafiły otoczyć, poturbować, nawet zabić.

Jestem dużą silną Gołębicą i sroki nic mi nie zrobią.

Pamiętasz zadziobane i na wpół zjedzone małe gołębie? A zakłuta dziobami młoda synogarlica? A piskłeta wróbli, szczygłów, sikorek i pokrzewek rozrzepotane w sroczych dziobach?

Srok trzeba się bać... Po pierwszej, która się pojawi, przylecą następne. A ty chcesz, by z twoich jaj wylęgały się piskłeta, rosły, dorosły i odfruwały niedaleko. Chcesz widzieć, jak żyją, zakładają własne gniazda i wychowują własne piskłeta. Przenikliwy wrzask srok rozprasza uwagę... W olbrzymim skupisku gołębic gniazd na rozwalonym strychu stalowo – szklanego budynku każda rodzina pilnuje swego betonowego skrawka zarzuconego patykami i piórami.

W dzień niepokoją mnie cienie jastrzębi i złowrogo skrzeczące sroki. W nocy z dziur, pęknięć i szczelin wylażą pluskwy i rano ciała wielu gołębi są czerwone od wysysanej krwi. Pluskwy czekają, aż zaśniemy. Nie czujemy ich ukąszeń, nie drapiemy się, nie otrząsamy. Śpimy twardym głębokim snem zmęczonych ptaków, nie wyczuwając owadziej ruchliwości i krwiożerczości.

Pluskwy najchętniej ssą krew młodych, jeszcze ślepych gołębi. Piskłeta są niekiedy tak pokłute, że umierają. Zdarza się, że wypijające krew pluskwy przez błony powiek wysysają im oczy.

Rodzice daremnie oczekują rozwarcia powiek swych piskląt, bo pod zbielałymi błonami nie ma już oczu. Małe gołębie, chociaż nie widzą cieni i plam, też oczekują przewidzenia, które nie nadejdzie.

Takie małe oślepte gołębie są niekiedy bardzo długo karmione przez swych rodziców, którzy ciągle wierzą, że otwarcie oczu musi przecież nastąpić.

Przychodzi dzień, gdy pomimo ślepoty usiłują wyruszyć i pofrunąć. Spadają lub rozbijają się o ściany.

Południe. Żar. Senność. Też zapadniesz w sen. Głowa już się pochyla. Oczy zachodzą błoną... Sadowisz się najwygodniej na białych, rozgrzanych jajach i ziewasz.

Z dachu dobiega gruchanie Oma, który kłóci się ze mną o względy Szarego Gołąbka. Myślisz, że o tobie zapomniałem? Przypuszczasz, że

jakikolwiek młody samczyk mógłby zastąpić mi ciebie?

Om wścieka się na mnie. Gołąbek zachowuje się jak gołębica. Siedzi w gnieździe i oczekuje, chce znosić jaja. Tymczasem ja, gruchając i tańcząc wokół Szarego Gołąbka, staram się tak zaprzętnąć uwagę Oma, by przestał pilnować ciebie.

Gołąbek, który chyba uwierzył, że jest samicą, pozwala Omowi pieścić się dziobem po szyi. Na moje gruchanie odwraca się i spogląda okrągłymi, czerwonymi oczami. Om z zazdrości bije go po ciemieniu.

Oczy masz zaspane, Gołębico, jakbyś jeszcze śniła o pierwszych blaskach i cieniach pod powiekami. Om jest znów przy tobie, ale cały czas niepokoi się o tamtego Gołąbka siedzącego samotnie między patykami, w gnieździe takim jak twoje. Om marzy, że ty i Gołąbek zasiądziecie razem obok siebie, a wówczas łatwiej będzie mu was pilnować.

Om jest zaborczy i zazdrosny. Nie rozumie, dlaczego przepędziłaś Szarego Gołąbka z waszego gniazda. Wciąż kroczy gruchając i wygrażając wszystkim, którzy odważyliby się tu wtargnąć.

Szary Gołąbek znużony wysiadywaniem nie istniejących jaj rozgląda się szukając swego samca, jak czynią to zwykle młode gołębice. Wy-suwa ku mnie szyję, unosi się, trzepoce.

Udaję, że go nie dostrzegam. Niezadowolony z mojej obojętności wzbija się w powietrze, leci nad staw. Skwar jest wyjątkowy. Ptak chce ochłodzić rozgrzane pióra i napełnić wole wodą.

Ląduje na kamiennym progu nie dostrzegając baraszkujących w pobliżu młodych sroczek.

Zanurza się, kuca rozbryzgując wodę. Krople lecą daleko, między siedzącą w gałęziach gromadę srok.

Zachwycony ciepłem Gołąbek rozbija skrzydłami wodę, a sroki ze złością otrząsają zmoczone pióra.

Om, który z twojego gniazda raz po raz siał spojrzenia tam, gdzie pozostawił Gołąbka, nagle dostrzegł jego nieobecność.

Znad wody dobiega rozszoszczony skrzek. Om widzi z daleka, jak sroki nie wpuszczają Gołąbka na brzeg, a odwrotnie, podskakując, krzy-

cząc, dziobiąc i strasząc – spychają go na głębie.

Om leci w dół na szeroko rozłożonych skrzydłach.

Zostawił cię, Gołębico, nie zważając na mnie, siedzącego na pobliskim gzysie.

Szerokie srebrzystoszare skrzydła, lekko uniesione w górę, sterują wprost ku szamoczącemu się przy brzegu Gołąbkowi.

Om wpada między rozżłoszczone sroki. Przelatuje pomiędzy nimi... Jest już nad swym Gołąbkim, który stoi w płytkiej wodzie mokry i przestraszony.

– Poderwij się, oderwij od wody i leć ze mną – nakazuje ruchami skrzydeł.

Nie czekam. Odwracam się i widzę twoją smukłą, białoróżową szyję.

Czy patrzysz na mnie, Gołębico?

Lecę... Niech Om jak najdłużej zajmuje się swym Gołąbkim...

Zostawił cię samą i muszę to wykorzystać.

Już jestem przy tobie, już nad tobą... Patrzysz bez wrogości, nie odpędzasz, nie fukasz, nie dziobiesz.

Uniosłaś się tylko, stanęłaś nad jajkami i rozłożyłaś skrzydła w obronie, jakbym chciał rozbić skorupki.

– Musisz być moja! Pragnę! Chcę ciebie! Bądź ze mną! – powtarzam pusząc się, pyszniąc, gruchając, przekonując.

Patrzysz z uległością, pokorą, zgodą. Kręcę się nie mogąc uwierzyć, że spełnia się moje marzenie.

Om z Gołąbkim wzbili się w powietrze, lecz mokre pióra Gołąbka przerwały lot. Siedzą teraz na wysłonecznionej kamiennej balustradzie i Om czyści mu pióra, wyciskając z nich nadmiar wody.

– Gołębico! Moja Gołębico!

Pod sobą czujesz pokryty puchem wysmukły ciepły grzbiet. Bijesz skrzydłami. Jesteś szczęśliwy, szczęśliwszy, najszczęśliwszy.

Po bezśnieżnej suchej ziemi nadeszła słoneczna, wysuszająca wiosna. Upały, skwar, gorący wiatr, ani kropli deszczu.

Fruwasz przerażona od bajorka do strugi, od źródelka do stawu, od rowu do rzeki. Boisz się, przeczuwasz... Po tak suchej zimie, po suchej wiośnie przyjdzie upalne, gorączkowe lato... Pisklęta będą wysychać w skwarze, w gorących podmuchach i przeciągach. Stare ptaki będą umierały i spadały podczas przelotów nad rozpalonymi obszarami. Z jajek prześwieconych promieniami słońca nigdy nie narodzą się pisklęta.

Lękasz się swych przecuć, bo wiesz, że się spełniają... Gdyby nie spełniały się, nie szukałabyś tak gorliwie chłodnych, podmokłych miejsc, dołów, rowów, schodów i wnęk zatrzymujących wilgoć.

Nie ukryjesz, Gołębico, strachu. Nie pokryjesz go krzątaniną przy dwóch białych, gładkich jajkach w gnieździe, gdzie stale coś poprawiasz, skubiesz i przenosisz. Gorliwie dokarmiasz dojrzałe już pisklęta, rozrosnięte, niemal takie jak ty. Nie oszukasz, nie uspokoisz mnie pozornym spokojem, nie rozproszysz podejrzeń, że czujne spojrzenia i szybkie uderzenia skrzydeł nie wynikają ze strachu przed przyszłością, którą już znasz. Usypiasz. Przez sen gruchasz, fukasz, uderzasz dziobem. Śniesz o skwarze gorącego lata, kiedy wyschną potoki i jeziora, a z nieba zamiast deszczu spadać będzie szary pył i popiół. Patrzę z lękiem na cienkie błony zakrywające oczy. Pamiętam ptaki oślepięte przez słońce.

Jak wszystkie gołębie rozumiem barwę ziemi, blask nieba, szepty powietrza, odcienie brzasku i wieczoru.

Między posągami w fontannach od dawna nie ma wody, lecz ptaki nadal siadają na kamiennych balustradach i czekają. Wody nie będzie, lecz ptaki nadal łudzą się, że nagle popłynie, wytryśnie, spłynie rynnami, obmyje kurz z dziobów, gardeł, skrzydeł i nóg.

Lecę nad wysłonecznionymi progami, basenami, balustradami, fontannami. Tu umierają ptaki wierzące do końca, że woda pojawi się za chwilę.

Cisza... Południe. Ptaki ukrywają się pod gałęziami, w niszach, wnękach, łukach, wszędzie, gdzie chłód przynosi ulgę.

Obok pod ścianą śpi gołębia rodzina. Oczy zamknięte, dzioby rozchylone, gardła drżące i pulsujące z poświstem wciągają powietrze.

Chcesz usnąć – nie możesz, zmagasz się z go-rączką, z parzącym dotykiem, z drażniącym ciepłem leżących obok gołębi. Gołębicą podpira dziobem ocieżałą głowę. Oczy poruszają się, obracają pod cieniutką błoną, skrzydła lekko drżą, szeleszczą lotki pocierane o boki i ogon.

Cień kopuły nasuwa się powoli na gniazdo, oddziela je od rozpalonej zewnętrznej reszty świata, ochładza rozdygotaną, pulsującą w słońcu zawieszoną pyłu.

Gołębicą rozwiera powieki, patrzy uśpionymi oczami.

Wyciągam szyję, muskam dziobem jej skrzydło, ale ona mnie nie dostrzega.

Dzień mija za dniem, przebudzenie za przebudzeniem... Patrzymy w niebo w oczekiwaniu deszczu lub ochłodzenia. Latamy za miasto i dalej, nad morze. Opadamy na pomarańczowe gaje. Walimy wściekle dziobami w rozgrzaną słońcem skórę owoców, dopóki nie pęknie.

Spijamy sok, wyjadamy miąższ... Słabsze i młode ptaki, których dzioby nie są tak silne i twarde, bezskutecznie próbują przebić pomarszczone łupiny. Z rozdziawionymi dziobami snują się wokół czekając, aż odejdziemy i dopuścimy je do naszych owoców.

Om jest przy Gołębicą i Szarym Gołąbku. Gołębicą podpatruje mnie przez podłużne, skręcone liście. Om nie przepędza mnie jak kiedyś. Zresztą nie ma czasu na szukanie ze mną zwady, bo pilnuje Gołębicą i Gołąbka, który stał się dojrzałym srebrnoszarym gołębiem i coraz częściej rozgląda się za gołębicami. Om denerwuje się, przepędza młode samiczki podchodzące zbyt blisko.

Gołąbek nie protestuje... Om kładzie się na gałęzi, Gołąbek wspina się na jego grzbiet i szybkimi uderzeniami skrzydeł przyspiesza wytrysk. Gołębicą nie przepędza już Gołąbka, pogodziła się, że są razem, i że Gołąbek też wysiaduje jajka jej i Oma.

Młódki szaleją, zataczają się, chwieją, padają pod drzewami, na które nie mają już siły wzlecieć. Wydziobują ziarna traw, okruchy łupin, wszystko, co odnajdą nieprzytomnym wzrokiem. Rozzłoszczone wypluwają okruchy kory, drzazgi, kamyczki. Oczy zamykają się z osłabienia, głodu,

pragnienia, z przerażającej, porażającej jaskrawości słońca.

Upał otępią słuch. Krzyk, który dochodzi jakby z daleka, jest bliski. Dostrzegły nas myszołowy. Zrywamy się, lecimy nisko pod drzewami, chcąc jak najszybciej ukryć się w gęstwinie.

Jastrzębie też chcą pić, a podczas suszy łatwiej o krew niż o wodę. Rozrywają tętnice gołębi gasząc pragnienie ich krwią. Umknąłem, odleciałem lawirując nisko pod drzewami. Na głogach i żarnowcach zostały pióra. Gołębica, Om i Gołąbek lecą wzwyż, skręcają w stronę morza.

Leciałeś tym szlakiem tyle razy.

Wyprzedziły cię... Widzisz przed sobą równo bijące skrzydła. Nie ma już młodych, osłabionych gołębi, rozgrzebujących spieczoną ziemię pod drzewami.

Lecisz sam. Wypatrujesz miejsc, gdzie mogą być pestki, nasiona, jakiegokolwiek okruchy.

Susza zabiera nie tylko wodę, susza pozbawia wszelkiego pokarmu.

W głębi jaru bieleją kości, wyschnięte żebra, kręgosłupy, czaszki końskie. Przelatujesz, zawracasz, opadasz... Na kościach mogły zostać okruchy wyschniętej skóry lub mięsa. Wilki, lisy, myszy, ptactwo, owady, mrówki... Każda padlina, każde zwłoki przyciągały żyjących i chcących żyć.

Latasz wokół, bojąc się usiąść na szkielecie.

Dostrzegasz cętki, brązowe ślady mięsa...

Zeschnięte płaty skóry na piszczelach, skręcone włókna mięśni w wiązaniach stawów, między kręgami, na żebrach.

Brzęczą błękitne muchy. Z pionowych ścian osypuje się piasek, a duże brązowe żuki toczą kule zwierzęcego nawozu.

Z szarego złomu piaskowca uważnie przyglądasz się rozrzuconym szczątkom koni. Zapędziły się w piaszczysty jar i zabrakło im sił, by stąd wyjść... Zabił je upał, głód i pragnienie...

Nie widzisz śladów węża, wilka, lisa, łasicy. Wyglądzasz dziobem pióra, przeczesujesz puch... Na końskiej czaszce ciemnieją gruzełkowate kawałki, grudki zeschniętego mięsa.

Gdybyś połknął taki okruch w całości... Gdyby udało się go rozdziobać, byłbyś nażarty, nasycony, pełny, aż do porannego głodu.

Przełykasz ślinę, zeskakujesz na pokrytą drobnymi zmarszczkami wydnię. Obchodzisz ją szukając najdogodniejszego dojścia. Ostrożnie, zygzakami, gotowy do ucieczki, gdyby z czaszki wyskoczył wąż.

Przerażają cię wyszczerzone zęby i oczodoły, przez które przeziara puste, brązowokrwiste wnętrze. Dzioby sępów na długich szyjach oczyściły je dokładnie z mózgu.

W nogi parzy cię nagrzany kamienny żwir, z którego wystają badyle i spłowiałe źdźbła zeschniętej trawy.

Wskakujesz na czaszkę, chwytasz brązowe napięte ścięgno i ciągniesz, rozciągasz, odrywasz. Zaciskasz dziób na zeschniętej żyłce i starasz się ją wyrwać. Kruszy się, rozsypuje, rozpada. Wyjadasz pozbawione smaku kruszyny zeschniętego mięsa, przełykasz szybko, szukasz dalej.

Od krawędzi jaru odbija się krzyk kawek powracających znad morza.

Niebo ciemnieje od zachodu. Słońce zbliża się do horyzontu. Napelniłeś już wole. Chcesz pić. Szaro – rdzawy grzbiet zamigotał między kamieniami...

Przechodzisz między zbiegającymi, podłużnymi kręgami, stwardniałymi więzaniem kręgosłupa.

Nagle otacza cię mgła. Przezroczysta, przyciemniona, rozwichrzona mgła końskiej grzywy.

Niespodziewanie wpadłeś w sieć cienkiego ostrego włosia. Szamoczesz się, wygrzebujesz, wyciągasz nogi, szarpiesz...

Wychudzony, wyleniały szarak o rozszerzonych, wyłupiastych oczach dotyka cię nosem i odchodzi kicając, podbiegając, obracając się w kółko.

Rzucasz się, kręcisz szyją, usiłujesz oswobodzić skrzydła.

Leżysz spętany obok końskiej czaszki daremnie próbując się uwolnić z węzłów, supłów, pętli, zaciśnięć.

Skrzydła! Gdybym uniósł je dostatecznie wysoko, by wzlecieć,

oderwać się od kamiennego podłoża. Gdybym je wyswobodził z oplatających włosów, to nawet ze spętanymi nogami mógłbym powrócić. Przecież gołębie ze spętanymi nogami mogą żyć, mogą żyć, jak długo mogą latać, choć nici, druciki, żyłki, sieci, sznurki, dratwy, których tyle leży w opuszczonych ludzkich siedzibach, są jak silne, nieustępliwe pajęczyny.

Włosy z końskiej grzywy, pajęczyna oplatająca coraz szczelniej.

Przebieram nogami. Może uda się obrócić i wyplątać? Włosie oplata lotki, wrzyna się w piersi.

Chcę przebić się przez gęstwinę włosów... Przyj ku przodowi, w skos, może się uda. Włosy oplatają szyję, ciągną w bok, łamią i wyszarpują pióra. Przewracam się na grzbiet. Podrywam się, obracam.

Kątem oka widzisz siebie pokrytego srebrzystą siecią. Nie dostrzeżesz niebezpieczeństwa, nie przeczujesz. Prerażony syczysz, gulgoczesz, jęczysz.

Oślupiałym wzrokiem patrzysz w niebo, raz po raz ponawiając rozpaczliwe ruchy skrzydłami, nogami, głową.

Czerwona tarcza dotyka horyzontu. O tej porze powinieneś wracać do gniazda.

Półprzytomny oślupiałym wzrokiem dostrzeżesz Gołębicę, Gołąbka i Oma szybko uderzających skrzydłami.

Przemkną wysoko nad tobą zapatrzeni w blask miasta, do którego ty już nie wrócisz.

Usiłujesz uderzać skrzydłami w szaleńczym strachu, w panice, w nadziei, że uda ci się polecieć za nimi.

Opadłeś dysząc ciężko, charcząc, kaszląc. Słuchasz łomotu własnego serca.

Noc zaskakująca ptaka na ziemi to śmierć. Teraz jesteś tylko bezradnym, nieruchomym, wciśniętym między kości gołębiem.

Brzegi jaru rzucają cień, a ty leżysz spętany, z wyschniętym gardłem, próbując zrzucić ostre raniące pęta.

Gołębica, Gołąbek, Om już dolecieli. Wypatrują ciebie w niszy na przeciwległej ścianie, wśród olbrzymich białych posągów.

Słońce stało się już tylko skrawkiem czerwieni.

Jeszcze się tłuczesz, jeszcze starasz się oswobodzić, jeszcze łudzisz się, jeszcze wierzysz.

Uwolnić się...

Słońce znika. Nad tobą bieleje ogromna końska czaszka. Z kamieni, ze ścian jaru, z zeschniętych badyli wypełza ciemność.

Noc, której nie przeżyjesz.

Przylecisz zwabiona jaskrawą bielą kości. Gmatwanina. Płatana. Ptak uwikłany jak w pajęczynie.

Wyschnięty gołąb szczelnie owinięty końskim włosiem. Gnijący kokon otoczony przez żuki. Długo fruwasz nad zmierzwionymi, szarymi piórami, starając się rozpoznać je po połysku.

To on, Młody Gołąb z kamiennego nadproża, który chciał być przy tobie najbliżej mimo gniewnego gruchania Oma, spychania i odpędzania.

Poruszone wiatrem, rozwiane sploty końskiej grzywy otarły się o ciebie.

Odpycham się, odbijam skrzydłami, by nie schwytały mnie, nie spętały, nie uwięziły...

Cieniutkie ostre włosy oplątują ptaka, zaciskają się, wrzynają, kalczą, przecinają ścięgna.

Spętany gołąb fruwa ze związanymi nogami, ale nie może zwyczajnie chodzić, podrapać się, rozczesać. Jeżeli znajduje pożywienie, może żyć długo. Może nawet pić opadając na brzeg i zanurzając dziób w płytkiej wodzie. Największym jednak niebezpieczeństwem jest wysoka i gęsta trawa, w którą nagle gołąb zapada się jak w gęstą sieć i z której nie może się już wyrwać.

Z białej, płaskiej skały spoglądasz na końskie szkielety, kości rozwleczone przez wilki i sępy. Tu, w pobliskim pomarańczowym gaju po raz ostatni widziałeś zakochanego w tobie Młodego Gołębia.

Stamtąd poleciałam nad morze. Obok lecieli Om i Gołąbek.

Znowu siadasz na wystonecznionej skale i patrzysz w dół, na końską grzywę chwytającą wiatr i nieruchomą plamę wysychającego gołębia.

Odleć stąd! Uciekaj! Czemu siedzisz na skale, widoczna z daleka, i wpatrujesz się w szary opierzony punkt?

Już go nie ma, nie żyje. Oderwij się od skały. Wróć do miasta, do niszy obok posągu.

Nie mogę odlecieć!

Możesz!

Nie chcę tak odlecieć!

Chcesz!

Odleczysz, bo żyjące ptaki zawsze odlatują. Bo życie ptaków to wieczne odloty. Jeżeli przestajesz odlatywać, to przestajesz żyć.

Czekam, chociaż nie powinnam czekać. Niebo dziś jest czyste, wolne od drapieżników.

Skała poruszyła się, drgnęła jak zwierzę. Poderwałam się, zatoczyłam koło nad jarem i okolicą. Inne ptaki też się zerwały, też krążą. Drgnęła więc cała ziemia. Zaniepokojone chomiki wspinają się na kamienie.

Odlatujesz. Zostawiasz za sobą zaplątanego w końskiej grzywie gołębia, fruniesz do miasta. Zaniepokoiło cię nagłe wzruszenie ziemi i jak najszybciej chcesz znaleźć się przy Omie i Szarym Gołąbku, który na zmianę z tobą wysiaduje twoje jajka.

Lecisz prosto do waszej niszy i ukrytego za posągiem gniazda.

Om i Gołąbek jak zwykle potrząsają głowami, obracają się, gruchają. Ptaków jest dziś w powietrzu więcej niż zwykle.

Wstrząs, który wyczułaś na skale, dotarł aż tu.

Om popędza cię, popycha ku leżącym w gnieździe jajkom.

Zasiadłaś, rozłożyłaś skrzydła, podgarnęłaś je w puch podbrzusza. Wyczuwasz ruchy rosnących tam piskląt, przesunięcia, drgnienia, rytm rodzącego się życia.

Ukradkiem spoglądasz na przeciwległą ścianę, gdzie zwykle o tej porze szykował się do snu srebrnoszary gołąb.

Om patrzy za twym spojrzeniem. Wpatruje się podejrzliwie w puste miejsce, grucha ostrzegawczo.

Gdy patrzysz dłużej, podrywa się, leci na wystający kamienny gzyms, siada, obraca się, grucha pytająco.

Wraca uspokojony. Dokładnie czyści dziobem puch na głowie swego Gołąbka.

Z wnętrza wysiadywanych jaj dobiegają szmery i szelesty.

Wpatrujesz się w tamto miejsce z zawodem, z żalem. Wpatrujesz się aż do zaśnięcia.

Słup pyłu. Huk. Dudniące echo spadających kamieni.

Wir powietrza uderzył cię, podrzucił, wyniósł. Zakrzuszyłaś się pyłem, odbiłaś skrzydłami, uciekłaś nie oglądając się za siebie.

Miasto trzęsło się, waliło, zapadało, umierało.

Głęboki grzmot wydobywał się z ziemi.

Syk, zgrzyt... Falujące wzgórza, kotliny, ulice, domy. Wszystko, co uważałam dotąd za trwałe, stałe i pewne, rozsypywało się, przewracało, ginęło. Nawet korony drzew trzęsły gałęziami z poświstem siekąc powietrze. Grube pnie pochylały się, wyginały, łamały, plując ostrymi drzazgami i liśćmi porywanymi przez wiatr.

Kilka gołębi dołączyło do ciebie. Nie było wśród nich tych najbliższych i najważniejszych.

Tak... Przed pierwszym wstrząsem Om z Gołąbkim sfrunęli do nisz. Dochodziły stamtąd odgłosy pieszczot, zachwytu, zdobywania, zazdrości, zaspokojenia. Wtedy nastąpił pierwszy gwałtowny ruch ziemi. Podbicie, wypchnięcie, drgnięcie. Lawina kamieni i gruzu runęła w dół zasypując posągi, kolumny, wielobarwne ściany...

Wszystko zostało pogrzebane. Dreszcz strachu przenika od steku po dziób. Skrzydła kulą się, lot załamuje. Przez chwilę lecisz w dół jak kamień.

Już... Znowu silniej uderzasz skrzydłami, dźwigasz się wzwyż. Powracasz na poprzednią wysokość.

Zbliżasz się do krańców miasta.

Na najwyższym dachu, wciśnięta między zwoje lin, leży młoda ciemnopióra gołębica z przetrąconym skrzydłem.

Wokół gruchają podniecone stare i młode samce. Przebierają nogami, zderzają się, dziobią, podrygują. Gołębica dyszy, kuli się, rozpląszcza między linami, drży. Gołębie wpadają na nią, pokrywają, gwałcą, dziobią w tył głowy.

Po szarym – białogłowy, po białogłowym pstrokaty, po pstrokatym grubodzioby, po grubodziobym czarny. Jeden po drugim. Nie zważają nawet na ruchy pochylonego, roztrzęsionego dachu. Przyciąga je jasny grzbiet, ciepło puchu i pomarańczowe, lekko przymknięte oczy.

Gołębica zamiera, umiera.

Gołębie długo jeszcze będą wpadać na nią i gwałcić miękkie, stygnący kształt.

Odlatują.

Pod tobą rozpryskujący się, gwałtowny wybuch. Ogień i dym.

Huk rozproszył ptasią gromadkę. Z północy nadciągają gęste, czarne chmury. Rozglądasz się niepewnie, gdzie lecieć? Gołębie zniknęły. Jesteś sama.

Miasto zostało za tobą. Miasto, którego już nie ma.

Uciekaj przed siebie, ku słońcu, które jak każdego dnia wstaje i błyszczący.

Przezroczysty Ptak leci naprzeciw. Czy to Białoskrzydły Olbrzym prześwietlony słońcem, czy obłok jasności?

Nie skręcasz, nie wzbijasz się, nie nurkujesz w ucieczce. Lecisz w jasność, w przezroczystość, w łagodny blask jego piór.

On jest powietrzem, światłem, horyzontem, światem. Zbliżasz się do niego bez niepewności, bez lęku, który tak często poraża ptaki i wywołuje panikę. Jest bardziej przejrzysty niż morskie płycizny w pogodny dzień... Bielszy od porannej mgły... Ptak, a może przywidzenie?...

Jego skrzydła ogarniają świat. Nie, to świat mieści się w nim i w jego skrzydłach. Okrągłe jasne oczy i wydłużony promienny dziób...

Nie jest drapieżnikiem. Raczej przeogromnym gołębkiem, podobnym do ciebie, jak ty wędrującym, a może uciekającym przed odległą katastrofą.

Leci do miasta, z którego ty odlatujesz przerażona zniszczeniem gniazda i śmiercią najbliższych ptaków.

Czyżby był tylko snem, wyśnionym podczas lotu w rozrzedzonym powietrzu na zawrotnej wysokości? Przelotne, lecące wysoko ptaki często zasypiają, przeżywają sny, zwidy, złudzenia, a gdy się budzą, to nawet nie wiedzą, że spały.

Zbliża się... Dostrzegasz nie kończące się pióra skrzydeł, wypełniające przestrzeń od ziemi po niebo. Ich uderzenia są wolne, zdecydowane i mocne.

Wielki Ptak zna cel, kierunek i drogę...

Na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy...

Zdąża na północ, ty lecisz na południe.

Nagle wydało ci się, że Ptak chce cię zatrzymać, że chce, abyś powróciła do miasta zrujnowanego wstrząsami.

Już... Wlatujesz w ogromne przejrzyste oko, jesteś w nim, w mózgu Ogromnego Jasnego Ptaka, lecącego naprzód z tobą wewnątrz. Z tobą lecącą w przeciwnym kierunku. Przeleciałaś, przemknęłaś, prześliznęłaś się przez przejrzysty jasny cień, cichy i bezszelestny. Rzeczywisty czy nierzeczywisty?

Tak wielki ptak, a jakże bezgłośny, milczący. Chyba to sen, bo sny są bezdźwięczne... A lot białej sowy, czy nie jest najcichszy, jak ze snu?

Lecisz na południe... Dokoła płoną gwiazdy, ptasie gwiazdozbiory, odwieczne drogowskazy...

Jak wszystkie ptaki rozróżniasz, dostrzegasz, rozumiesz, wiesz... Noc nad tobą, noc wokół ciebie... Księżyc... Spadające gwiazdy.

Mkniesz wzdłuż skalistego brzegu wyłoczonego księżycową poświatą. Lekki łuk... Daleko za tobą pozostała przejrzysta biel miarowo uderzających skrzydeł.

Ciepły prąd bijący od nagranych skał unosi cię wyżej i wyżej. Skrzydła nie czują zmęczenia. Oddychasz, lecz nie wyczuwasz powietrza. Gęste pióra chronią przed chłodem wysokości i nocy.

Morze, zmarszczki fal, skały, wyspy, rafy... Lecisz z ciepłym wiatrem

do nie znanego wybrzeża, do ładu. Czy stąd pochodził Przejrzysty Ptak?
Czy był jawą, czy snem?

Rozglądasz się, badasz nie wierząc, że doleciałaś aż tu. Wtem wydaje ci się, że fruną przy tobie Om, Szary Gołąbek i ów lśniący fioletem srebrnoszary Młody Gołąb o lekko podłużnych, jakby nie do końca otwartych oczach, który pewnego dnia nie powrócił z wyprawy do pomarańczowego gaju.

Chcesz dotknąć ich skrzydłem, wyczuć muśnięcie ich piór.

Jesteś sama. Samotna nad drżącym morzem i wyspami, które w świetle księżyca przypominają uśpione zwierzęta.

Z daleka na wodzie młode pelikany są niewidoczne. Matowy szary puch zlewa się z powierzchnią odbijającą niebo zamglone, zasnute chmurami.

Dojrzałe ptaki kłapią ostrzegawczo skórzastymi dziobami.

Na brzegu z łapami w płytkiej wodzie stoi wyleniały szakal z wywieszonym językiem.

Usychające drzewo, próchniejący dąb, z którego tylko najniższe gałęzie wypuściły tej wiosny drobne liście, osłania cię przed olbrzymim płonącym słońcem. Mrużysz oczy z senności i zmęczenia.

Chcesz spać, chcesz śnić. Nogi uginają się, dziób rozwiera lekko, oczy zachodzą białą błoną. Doleciałam. Jestem, żyję.

Zobojętniała, znużona, umęczona. W oczach drżą czerwone kręgi.

Otwieram oczy. Skalne rumowisko, tylko gdzieś przebija zieleń trawy lub wątłego drzewka. Wyżej ruiny domów, mury, budowle z porozrywanej falistej blachy, drogi.

Gdzie jestem? Południowe słońce grzeje mocniej niż w mieście, z którego uciekłam. Nie ma wilgotnych chłodnych wąwozów, rozległych splątanych winorośli, pomarańczowych i oliwnych gajów.

Nasiona szybko dojrzewających traw mieszają się z piaskiem i pyłem. Dokoła pustynia, skalne rumowiska i zbiorniki przeważnie słonawej wody, która nie gasi pragnienia. Tylko poranna rosa, o ile się pojawi, jest zimna i chłodna. I ta rzeka, tak często wysychająca.

Chcę spać, chcę śnić, śnić o tamtym mieście, które opuściłam po przerażającym trzęsieniu ziemi i które pogrzebało moje gniazdo. To miasto jest mi nadal najbliższe i tęsknię za nim.

Przymykasz oczy. Nie możesz spać, nie będziesz śnić.

Gałęzie dębu, na którym schroniłaś się przed słońcem, są szerokie, rozłożyste. Podkuliłam nogi i leżę wygodnie na boku, rozglądając się po okolicy. Gołębie, z którymi wyfrunęłam z tamtego miasta, chyba nie doleciały?

Czyżby zatrzymały się na wyspach, a jeżeli leciały za nisko i zmoczone falami spadły do morza?

Ciepło, sennie, spokojnie. Tylko ten szakal biegający w płytkiej wodzie skamle i poszczekuje na ptaki, których i tak nie schwyta.

Cień przesuwają się, więc i ty przesuwasz się bliżej pnia. Powietrze nad rumowiskiem drży, pulsuje, faluje, unosi się, opada. Skwar rozleniwił cię, rozpląszczył na konarze odartym z kory.

Brzeg gęsto wypełniają muszle i kamienie. W takim miejscu pełno jest drobnych krabów i raczków, nie większych niż ziarno grochu. Kiedy zbliży się wieczór, wypełzną, wyskoczą, pojawią się gromadnie... Można się wtedy najeść i ugasić pragnienie zawartą w nich wilgocią.

Ziewasz. Przeciągasz skrzydła, prostujesz nogi. Rozczesujesz puch na piersi i lotki skrzydeł. O tej porze zwierzęta i ptaki śpią, odpoczywają, leniuchują. Przytulasz się do szorstkiej kory pnia, zapadasz między sen i jawę, w świat, o którym nie wiesz, czy rzeczywiście istnieje na zewnątrz, czy jest tylko w tobie?

Lecisz tam nad rzekę do leżącego w kotlinie miasta.

Na górującej nad miastem skarpie, w najwyższym domu wpadasz przez okno do pokoju, gdzie w metalowym fotelu na kółkach siedzi wyschnięty szkielet człowieka, który rozsypuje się w podmuchu twych skrzydeł.

Na brzegu nagły wrzask. Pelikany odlatują. Rozwścieczony szakal gramoli się z wody na brzeg, otrząsa gniewnie, sapie, wyje ze złości.

Gdzie jesteś? Jak daleko od tamtego wielkiego miasta z rozłoży-

stymi drzewami, rzucającymi obfite chłodne cienie?

Chcę powrócić? Będę próbowała... Będę wlatywała najwyżej, spoglądała najdalej, na krańce horyzontu, szukając właściwego kierunku.

Szakal z podkulonym ogonem przebiega obok drzewa, na którym siedzisz. Czas mija, cienie wydłużają się, smukleją.

Otacza cię rozgrzane nieruchome powietrze.

Nagle z wysoka, z bezlistnych nagich konarów dobiega gruchanie.

Czarny gołąb o czerwonych oczach i nogach spada na twą gałąź i rozpoczyna miłosny taniec.

Zachowuje się, jakby należały do niego dąb i cała okolica. Grucha nadymając gardło, obraca się, wiruje, przestępuje z nogi na nogę, podskakuje, podbiega i zwalnia. Kochliwy stary samiec błyszczący zielenią, fioletem, purpurą wydobywanymi przez słońce z lśniących, czarnych piór. Silny, rozrośnięty, wszechwładny.

Tańczy przed tobą na gałęzi, dotyka dziobem twych skrzydeł i głowy, jakby chciał sprawdzić, czy nie jesteś złudzeniem, grą pozorów w rozpalonym powietrzu.

Unosi i opuszcza głowę, zachłystuje się własnym zakochanym gruchaniem.

Pustynia, skwar, wyschnięte drzewo, rozpalone rumowiska.

Jakież to wszystko nieważne wobec głosu miłości, wobec gruchania starego gołębia, którego tak niespodziewanie spotkałaś.

Czeka.

Wysuwa ku mnie ciągle głodny dziób.

Pozwalam mu wsunąć się w moje gardło, aż do wola.

Pakuje dziób najgłębiej, wypijając rozmiękczoną, półpłynną masę. Odskakuje. Piszczy poruszając szybko krótkimi skrzydełkami. Znowu zanurza się w moim wolu. Powtarza to kilka-krotnie, aż odczuwam pustkę. Ścianki wola zapadają się, wiotczeją. Wypluwam resztkę pokarmu w dziób mojego małego pisklaka i nastroszona przysiadam na zmęczonych nogach wysoko pod dachem na wystającej krokwi. Patrzy z dołu i piszczy nie mogąc się tu dostać.

Blachę rozpałiło słońce. Odpoczywam od jego zachłannego głodu, od podrygów, podskoków, popiskiwań, trzepotań i ciągłych prób wciskania się w mój dziób.

Błona zasłania oczy. Głowa staje się coraz cięższa. Ziewam. Usypiam.

Zniżam się ku błyszczącej asfaltowej drodze. Zbieram w skrzydła podbijające od dołu przychylnie prądy wznoszące.

Lecę wolno, spokojnie, pewnie. Jakbym leciała tym szlakiem wielokrotnie. Droga prowadzi na wzgórze. W kotlinie widzę miasto. Kopuły, iglice, dachy, wieże, ruiny. Porośnięte zielenią, wciskającą się wszędzie trawą, wszędobylskim perzem, jeżynami, malinami, powojami.

Z dachów, z rynien, z rozbitych okien zwisają pnącza, liany, gałęzie. Drobne karłowate drzewka rosną na szczytach domów usiłując tam zakorzenić się i trwać. Dolatuję do wysokich szarych gmachów wzniesionych na skalistych obrzeżach miasta.

Gdzie jestem? Nie byłem tu nigdy!

Wysokie szarżate domy, płaskie okna. Siadam na najwyższym parapecie. Zaglądam. Szyby są popękane, okiennice otwarte.

Jestem na szczycie miasta. Silny podmuch wiatru wciska mnie do wnętrza. W fotelu siedzi wysuszony, rozsypujący się szkielet przykryty zbutwiałym szarym kocem. Puste oczodoły.

Wyszczzerzone zęby. Wyszchnięte, zmurszałe dłonie. Oblatuję pokój, bojąc się usiąść. Niepokoi mnie nie znany teren i jego martwy gospodarz. Ruch moich skrzydeł, szum odbijający się od niskich betonowych ścian, wibracja, rezonans, echo...

Wyszchnięta czaszka odrywa się, odpada, toczy na korpus owinięty kocem. Z bijącym sercem siadam na stole pokrytym pyłem.

Pod ścianami leżą kości małych gołębi. Pisklęta, które straciły swych rodziców. Kości gołębi, wyschnięte skórki szczurów.

Zbieram dziobem zeschnięte drobiny skóry i mięsa. Nie mają smaku ani zapachu. Trzeba wylecieć, wydostać się, wrócić.

Okrażam pokój poszukując wlotu. Okiennice są zamknięte, drzwi

zatrzaśnięte. Przerazona wałę skrzydłami. Fruwam uderzając się o sprzęty, wzbijając tumany kurzu, wzbudzając coraz to nowe fale powietrza. Tkanina pęka. Człowiek siedzący na fotelu porusza się, chwieje, przewraca, wysypuje z przegniłego koca. Szkielet spada na podłogę, rozsypuje się, rozdziela na piszczele, żebra, kręgi, kości, kosteczki.

Coraz szybciej krążę wzdłuż pustych ścian usiłując się wymknąć. Nagle pojmuję, że to tylko sen, że śnię i wkrótce się obudzę. Obudzić się? Czy zdołam przerwać sen? Czy można obudzić się tylko dlatego, że nie chce się dłużej śnić?

Pod ścianą, wśród szcurzych kości, moje pisklę z lękiem porusza skrzydłami. Czego się boi? Nie dostrzegam jeszcze zagrożenia. I nagle słyszę gwałtowne uderzenia skrzydeł, jakby oprócz mnie na szczycie domu znalazł się obcy ptak.

Jest! Nieznajoma gołębnica, większa od wszystkich, które dotychczas widziałam, krąży wokół, lata za mną, fruwa tuż obok, oddalając się i przybliżając w prześwielonych słońcem smugach pyłu.

Jej pojawienie rozprasza moje obawy o uwięzieniu, o zamknięciu, o zatrzaśnięciu okien i drzwi.

Rozbite szyby, więc co z tego, że okna są zatrzaśnięte? Wzlatuję pod sufit i powoli opadam nad fotelem, gdzie leży rozsypany szkielet, a wokół próchno, pył, proch, kurz, truchło.

Gołębnica sunie za mną wzdłuż ścian. Uderza skrzydłami jak ja, wzbija się, opada. Czy to rzeczywiście gołębnica? Czy mój cień?

Pisklę woła do mnie z dołu, wzywa, prosi o obronę.

Przed gołębnicą, której nigdy dotąd nie widziałam? Przed moim cieniem? Rozdziawia miękkie dziób, unosi skrzydło, jakby chciał odpchnąć niezwykłego intruza.

Już mam lecieć ku niemu, gdy srebrzysta gołębnica opada tuż przy nim i z całej siły uderza go dziobem w odsłoniętą krtań. Chwyta widoczne, poruszające się kości, odciąga, szarpie.

Znam to uderzenie. Przynosi śmierć, oznacza powolne konanie, zachwianie równowagi, upadanie na dziób, nieprzyjmowanie pokarmu,

szybki, urywany oddech, koniec.

Jeszcze nie wie, co się stało. Porusza skrzydełkami, trzepocze z przerażenia i bólu.

Z wściekłością lecę ku tamtej gołębiczy.

Odwraca się i odlatuje. Wprost w niebo, w błękit, w jaskrawość. Leci inaczej niż ja, inaczej niż znane mi gołębie. W słońce, w żar płonący nad ruinami miasta...

Nie ma szkieletu, nie ma wyschniętych gołębich piskląt, nie ma szcurzych skórek, nie ma ruin tamtego miasta. Przebudziłam się... Jestem u siebie. Za oknami dziurawe dachy, migocące liście. Zlatuję w dół i patrzę w niebo. Ptaki fruną we wszystkie strony. Samotnie i gromadnie, kluczami i parami. Wysoko dostrzegam malejący punkt, wzbijający się wzwyż. Orzeł?

Sokół? Mewa?

Gołębica istniała chyba tylko w moim śnie?

Wracam. Pisklę trzepocze się nieporadnie pod ścianą. Stoi na wyprostowanych patykowatych nogach, z szyją wysuniętą do przodu i uniesioną sztywnie głową. Oczy rozszerza mu strach.

Kiedy przysiada i jego grzbiet zmienia położenie, widzę wypukłość, ostre zgięcie, złamanie kręgow tam, gdzie szyja jest najcieńsza.

Chce mnie przywitać. Cieszy się, że powróciłam. Potyka się, pada na dziób.

Wiem, że niedługo znieruchomieje pod ścianą i wyschnie jak tamte gołębie pokryte kurzem w najwyższym domu nie znanego sennego miasta.

Karmię go płynem z mojego wola. Jego dziób zanurza się we mnie z bólem i trudem. Nie może już przełykać, chociaż tak bardzo chce jeść. Czarny gołąb też dostrzegł śmiertelną rysę na gardle pisklęcia. Pozostanie z nim, a ja pofrunę nad strumień, by napełnić wole nasionami i wodą. Chociaż umiera, chcę karmić i poić go do końca. Kiedy nie będzie już niczego pił i jadł, nadal będę dotykała jego żółtawego, miękkiego dzioba, żeby się nie bał.

Ciekawe małe gołębie badały pióro. Dotykały, gniotły, zginały. Ba-

wiły się podrzucając je i łapiąc. Długie, sztywne, twarde. Pochodziło ze skrzydła wrony i po spłowieniu barw widać, że przetrwało wiele przelotów, deszczów, susz, burz.

Szczypały, rozciągały, czochrały. Zadziwia je sprężysta, sztywna stosina, nie dająca się złamać, i ostro zakończona dutka.

Ich pióra są krótsze i nie tak sztywne.

Kręcą głowami. Z podziwem dotykają własnych jasnobrązowych piórek, nie rozwiniętych chorągiewek otoczonych błoną. Przyglądam się im z troską. Szanse przeżycia mają niewielkie. Wylatuję za nimi na wąski gzyms i z niepokojem patrzę w niebo, czy nie pojawi się jastrząb lub kruk.

Zbliża się wiosenny przelot drapieżnych ptaków. Będą polowały, będą chwytać i pożerać każdego mniejszego ptaka, jaki pojawi się na ich szlaku. Z wysoka widać każdy poruszający się punkt, cień, kształt, zarys. Nawet silne orły po długim locie nad pustynią najchętniej szukają małych i słabych ptaków, które nie potrafią się bronić i nie mają sił, by długo uciekać.

Ucieczka małego gołębia trwa przeważnie krótko. Młody niedojrzały ptak nie jest pewny siebie, nie ufa własnej sprawności i nie zna miejsc, w których mógłby się ukryć.

Niekiedy małe gołębie lecą w kierunku swych prześladowców lub wskakują na kamień sądząc, że odepchnięciami słabych skrzydełek zdołają się obronić przed jastrzębiem. Podskakują, zamierzają się, popiskują i uderzają miękkim, zaokrąglonym dziobem. Ale drapieżnik przygniata je i miażdży pierwszym ciosem.

Odwracam głowę. Czujnie patrzę na niebo.

Wysoko na południu krążą sępy szukające większej padliny.

Ty nie przyciągasz ich uwagi.

Pamiętasz? Jesienią krwiożercze ptaki wędrowały na południe. Teraz będą wracały tą samą drogą. Wyczuwasz, boisz się. Już niebawem spróbują porwać kolejne pisklęta. Jak wtedy...

Gdyby potrafiły równie szybko jak ty wynajdywać kryjówki i błyskawicznie chować się przed jastrzębiami, sokołami, orłami...

Są niezaradne i bezradne. Nauczyły się już latać, lecz same nie potrafią się wykarmić i nadal chętnie zaglądaają do twego wola. Ich dzioby są miękkie, a przełyki wąskie i wrażliwe.

Nawet wysuszonych nasion trawy nie potrafią zjeść bez zmoczenia i rozmiękczenia.

Wygniatają dziobami nasiona z taszników, rdestów i babek, ale większość nasion pozostaje na piasku, między kamieniami.

Z południa nadlatuje szybki punkt. Czarny turkocze skrzydłami. Dziób ma rozwarty szeroko...

Wyhamowuje, opada między małe i ciebie.

Piskłeta piszcza, potrząsa skrzydełkami, wsuwają dzioby w jego dziób.

Czarny potrząsa głową, kręci się nerwowo.

– Lecą, lecą – grucha niespokojnie.

Pogania, zapędza do kryjówki, ciągnie, popycha piskłeta.

Opierają się, odskakują, znowu wypraszają jedzenie niezdarnym poruszeniem skrzydełek.

Błagalnie wyciągają szyje.

Czarny szeroko otwiera dziób i małe wyjadają z jego wola mleczno-słonawy płyn. Czy teraz dadzą się zapędzić do kryjówki?

Sępy odlatują. Na horyzoncie widać szarosrebrną rozmigotaną smugę. Gdybyś nie wiedziała, że to drapieżne ptaki lecą z południa na północ, mogłabyś pomyśleć, że to burza.

O tej porze nie ma tu burz ani deszczów.

Małe napuszyły się, nastroszyły i z ciekawością patrzą w górę. Staramy się zapędzić je do szczeliny w kamiennej ścianie. Bronią się, odbiegają. Tam, w głębi jest duszno, gorąco i cuchnie. A w półmroku czają się owady pijące krew.

– Nie chcemy – popiskują.

Pod nami zające kryją się już w norach, węże wpełzają pod kamienie.

Piaskowy żółw nieruchomieje między kamieniami szarymi jak jego

skorupa. Rozkrzyczana rodzina bażantów szuka schronienia w gęstwinie pomarańczowych drzew. Nawet szakale ze zjeżoną sierścią skomlą i szczerzą zęby. Stado jasnobrązowych koziorożców zbiło się w krąg, wokół drobnych kózek. Stare kozły groźnie potrząsają brodami, waląc kopytami w kamienne podłoże.

Ciemna linia zbliża się, faluje, zniża. Widać poszczególne ptaszyska z zakrzywionymi dziobami. Ich oczy śledzą nas, wypatrują każdego, śladu życia. Żywią się mięsem i krwią, więc szukają mięsa i krwi. Czarny pospiesznie zapędza popiskujące małe gołębie do mrocznej szczeliny. Wpełzamy do środka i z ulgą rozprostowujemy skrzydła. Siedzimy w ciszy, wpatrując się w wąski korytarz łączący ukrytą niszę ze światem zewnętrznym.

Kwilenie, gardłowe nawoływanie, krzyki.

Drapieżne ptaki zatrzymują się, by ugasić pragnienie w wysychającym potoku, schwytać i pożreć nieostrożne zwierzęta, które nie zdążyły się ukryć.

Siedzimy w gorącym, dusznym pomieszczeniu, wsłuchując się w dobiegające echa, szmery, krzyki.

Tumult, beczenie, ruch, szybsze uderzenia skrzydeł, rżenie.

Chyba kozłátko odłączyło się od stada koziorożców i teraz rozrywane i rozszarpywane kona na kamiennej płycie.

Przymykam oczy, potrząsam głową. Pamiętam, jak w tamtym miesiącu sępy czekały na śmierć starego wilka. Leżał ze złamanym kręgosłupem groźnie warcząc i szczerząc białe, ostre zęby. Sępy czekały, aż umrze.

Pożerały go później przez kilka dni, aż na kościach pozostały tylko brązowe smużki po mięśniach.

Zgrzyt szponów i ostre kwilenie tuż przy wejściu do naszej kryjówki. Zdradził nas biały pas odchodów biegnący w dół po kamiennej ścianie.

Intruz chce się wdrzeć, drapie pazurami o głązy, dziobie zaprawę. Nagle pojawia się nastroszona głowa z zakrzywionym, ostrym dziobem na długiej szyi. Czarny przyciska się do ściany, chce zakryć małe, osłonić je skrzydłem. Ptak nie może się głębiej dostać. Wyciąga szyję i kłapie za-

krzywionym dziobem.

Małe leżą w cieniu. Podkuliły nóżki i wyglądają jak kamienie.

Chyba ich nie dostrzegł. Chwyta leżące w korytarzu jasne pióro i potrząsa nim ze złością.

Gniecie, rozrywa, łamie.

Stara się wcisnąć głębiej. Bystre żółte oczy wypatrują w półmroku. Moje białoróżowe pióra wyraźnie odcinają się od kamieni. Wyciąga dziób i stara się chwycić mnie za skrzydło.

Cofam się, uderzam skrzydłem w powietrze.

Sokół powoli wycofuje się. Głowa znika.

Jesteśmy zdenerwowani, przerażeni. Krtań Czarnego drga, jego oczy rozszerza strach.

Drapieżnik na pewno powróci.

Wie, że tu jesteśmy, i będzie czekał.

Z kamiennej półki uważnie obserwuje wejście. Ostrzy dziób, czyści szpony. Będzie tak tkwił, aż głód i pragnienie zmuszą nas do wyjścia. Czas płynie. Małe usnęły. Kiedy zgłodnieją, zbudzą się i daremnie będą zagłębiały dzioby w nasze puste wola.

Szum skrzydeł, kwilenie sokołów, wrzaski orłów.

Czy nasz prześladowca odleciał?

Pozostaje tylko oczekiwanie. Może głodny sokół złowił inne ptaki?

Przysmykam oczy.

Pisk, trzepotanie małych skrzydełek. Gołąbki przebudziły się, puste żołądki znowu domagają się słodkiego płynu.

Podbiegają, podskakują, wtykają dzioby w nasze gardła wypijając resztki pokarmu i śliny.

Mały dziób łaskocze wnętrze wola, szczypie śluzówkę, wciąga śluz.

- Jeść! - piszcza. - Jeść!

Czarny odwraca głowę od natrętnych piskliwych dziobów.

Patrzymy na siebie wiedząc, że nie możemy wyfrunąć, bo małe natychmiast ruszyłyby za nami. Chyba że sokół już odfrunął? Czy możliwe, by czyhał tak długo? Ostrożnie podchodzę do wyjścia. Rozglądam się, wpa-

truję...

Na pobliskich budynkach, wieżach, murach nie widzę żadnego ptaka.

Nie słyhać szumu skrzydeł, świergolenia, ćwierkania. Pochowały się nawet wróble. Tylko wysoko nad miastem przelatują ciemne, ciężkie szeregi. Chcę się cofnąć, gdy tuż za sobą słyszę przeraźliwe piski.

To małe przepychają się do mnie, chociaż Czarny stara się je powstrzymać. Odwracam się, wykręcam, wchodzę. Małe rozdziawione dzioby wyciągają się z błagalnym wrzaskiem.

– Jeść!

Szum skrzydeł narasta tuż za mną. Gwałtownie przepycham się do przodu. Zgrzyt szponów, chybiony cios twardego dzioba. Małe odskoczyły. Dlaczego nie głębiej pod ścianę? Sokół już je dostrzegł. Wczepił się mocno w próg, by jak najgłębiej zanurzyć głowę w gnieździe.

Złapał najmniejszego za główkę. Ciągnie za sobą roztrzepotany korpus. Wywleka, porywa.

Silne uderzenia skrzydeł. Odfrunął. Krtań Czarnego mocno pulsuje. Przerażone gołębie z rozpaczą spoglądają na siebie. Mniejszy, jakby nie rozumiał, co się stało, biegnie do wyjścia.

Powstrzymać go, zatrzymać.

Ponownie narasta szum. Zgrzyt szponów. Nastrozona głowa o jasnożółtych oczach wpełza do gniazda. Wczepia się w pierś pisklęcia, zagarnia, wyciąga, zabiera, unosi.

Słyszemy jeszcze przeraźliwy pisk. Siedzimy z rozwartymi dziobami, rozszerzonymi źrenicami. Głodne, spragnione, przerażone, bezradne i niespokojne, osamotnione gołębie.

Ośmiornice, mureny, delfiny. Skały, kępy wodorostów, zatopione statki, rozedrgane tafle prześwietlonego morza, jakże groźnego dla naszych piór.

Nie zniżaj się, nie zbliżaj do powierzchni. Fale mogą cię zmoczyć i porwać. Leć wyżej, zawsze leć wyżej, wyżej i szybciej, bo nad otwartą wodą, pod otwartym niebem lecący gołąb widziany jest przez wszystkich i ze

wszystkich stron.

Niezmienny rytm uderzeń serca i skrzydeł odmierza czas i drogę. Zbliża się południe, a wyspy jeszcze nie widać, i boisz się, czy ją odnajdziesz w tym przejrzystym, błękitno – zielono – srebrnym morzu. Czarny leci obok. Odzyskałam przy nim siły, chociaż wydaje się dużo starszy ode mnie.

Jego wyspa... Stamtąd pochodzi i dlatego lecimy nad morzem, które wydaje się rozległe, bezkresne, nieskończone.

Albatrosy, rybitwy, mewy, kaczki, gęsi, bociany, czaple, pelikany, flamingi, żurawie obojętnie przelatują obok nas.

Czarny leci dalej, jakby ich nie dostrzegał. Kieruje się ruchem słońca, światłem białego księżyca i prześwitującymi przez toń płycznami.

Chce powrócić tam, gdzie dziobem rozbił od wewnątrz skorupkę białego jajka i wydostał się na świat, do wysłanego piórami gniazda. Zapamiętał muszle, kamienie, patyki zabezpieczające zejście, a właściwie spadek z białych kamiennych murów.

Wie, dokąd lecimy, i kiedy czuję przy sobie uderzenia jego silnych, czarnych skrzydeł, jestem spokojna. Lecę bliska uśpienia, w ciemnoszarym świetle przebijającym moje powieki.

Trącasz mnie skrzydłem... Srebrzystoszary tunel przeobraża się w świetlisty, błękitny horyzont.

Pod nami lśni zatopione miasto... Kolisty place, ulice ginące w otchłani, białe ściany, wie-

że bliskie powierzchni, ławice ryb i różowych meduz przepływających przez zacienione wnętrza... Błyszczą grzbiety delfinów, kołyszą się włosy alg i wodorostów. Cienie, para ciemnych punktów przesuwają się po wynurzającym się z głębi wzgórzu. To my, on i ja, nasze cienie, ptaki lecące na wyspę.

Zerwał się słaby wiatr, uderzył z boku i z przodu. Ile lotu za nami, ile przed nami? Wieże i białe mury zatopionego miasta znikają w zmarszczkach fal. Tylko rybie łuski pobłyskują spod zszarzałej nagle powierzchni morza.

Lecę nadal spokojna i pewna, bo czym jest słaby wiatr wobec siły jego czarnych skrzydeł rozbijających powietrze.

Morze zlewa się z niebem tak szczelnie, że czujesz się zamknięta jak między szarymi szklami soczewki.

Tylko że tam, w mieście, z którego uciekłaś, mogłaś usiąść na jakimkolwiek murze i odpocząć. Tu, nad morzem, pod bezkresnym niebem możesz tylko lecieć. Musisz lecieć obok niego, przy nim, za nim, z nim, nad nim, pod nim, przed nim.

Mój gołąb – przewodnik kieruje nas ku wyspie, gdzie założymy nowe gniazdo w murach starego domu, wśród owocujących śliw, pomarańczy, grusz, jabłoni, morw, granatów. W mieście, gdzie z kłosów wysuszonych traw wypadają słodkawe nasiona, a z pękających strąków roślin wspinających się po murach wysypują się ziarna fasoli i grochu.

Zniesiesz jajka. Młodym pomożesz wydostać się ze skorupki, otworzyć oczy. Nauczysz je jeść, fruwać, uciekać. Nie złapie ich i nie rozedrze żaden drapieżnik. Przeżyją i będą przy tobie.

Czarny leci obok, nieco wyżej... Widzisz jego pomarańczowe źrenice i lekko rozwarty dziób... Uparcie pracuje skrzydłami. Wysunięta głowa i płasko rozłożone sterówki zmniejszają opór powietrza.

Pewność jego lotu jest moją pewnością, spokojem i nadzieją.

Przymknęłaś powieki i rozkoszujesz się lotem w srebrnoszarym tunelu ciepłego powietrza.

Jesteś pewna, że otworzysz oczy i znowu zobaczysz przed sobą jego skrzydła uderzające równo, bijące stale tak samo, z niezmienną szybkością i mocą.

Ale gdzie on jest?

Spada w dół roztrzepotany, bezwładnie jak kamień.

Zanurkował?

Chce lecieć bliżej fal, bo męczy go pragnienie?

Czyżby słońce za bardzo rozpałiło czern jego piór?

Chce poczuć na piersiach chłód morza?

Nie...

Spada jak przebity promieniem, przyduszony wiatrem, jak jajko wypchnięte z gniazda.

Już spadł w fale, bezwładny, martwy.

Krążysz nad tym miejscem, przelatujesz nad nim coraz niżej, aż słone krople osiadają na twoich skrzydłach.

– Podnieś się, poderwij, wróć, lećmy dalej na twoją wyspę...

Pióra nasiąkają, rozwarty dziób wypełnia woda. Czarny zanurza się coraz głębiej.

Czarny zanurza się głową w dół... Jest już tylko ciemnym punktem w głębokiej toni.

Zniknął. Nie ma go... Latasz zrozpaczona, przerażona, osamotniona.

Krążysz nadal, nie wiedząc co robić? Rozglądasz się, wypatrujesz, upewniasz.

Czyżby to było możliwe? Czyżby to była prawda?

Czy rzeczywiście zmarł w locie?

Jesteś sama pod otwartym niebem, nad otwartym morzem, między lądem a wyspą, której nigdy nie widziałaś, której wybrzeża i tak nie umiałabyś nawet rozpoznać.

Możesz tylko zawrócić, starać się lecieć szlakiem, którym aż tu doleciałaś, kierować się promieniami słońca, zimnym blaskiem białego księżyca, wieżami zatopionego miasta, zapamiętanymi kształtami raf, skał i mielizn.

Zawrócić?

Nie czuję już obok siebie jego skrzydeł, jego pewności, jego siły i jego wiary, że dolecimy do naszego celu.

Przypominasz sobie starego gołębia, który pierwszy otworzył przed tobą wole i napełnił cię słodkawym, grudkowatym mleczkiem... Też zmarł w locie i spadł jak kamień, roztrzaskał się o marmurowe płyty, którymi wyłożony był plac otoczony kamienną kolumnadą.

A perkoz, przy którym kiedyś powracałaś do miasta? Też zmarł w locie...

Wracasz. Musisz wracać. Nie można inaczej.

Szukasz kształtów zatopionego miasta, lecz zasłaniają je fale coraz wyższe i bardziej spienione.

Już wiesz, że wrócisz, bo wiatr ci sprzyja, niesie cię z powrotem. Nadchodzi wieczór. Już widać brzeg, z którego wyruszyłaś.

Ptaki, które przetrwały zimowe chłody i deszcze, wierzą, że kiedy pojawi się pierwszy silniejszy promień słońca, będzie im łatwiej żyć, latać i zdobywać pokarm.

Złudzenia. Marzenia o łatwiejszym życiu w cieplejszych promieniach słońca przynoszą rozczarowania i świadomość własnej słabości.

Chociaż dni są ciepłe i coraz dłuższe, to noce nadal są bardzo chłodne. Z każdym dniem więcej ptaków nerwowo poszukuje pokarmu, a i drapieżniki stają się coraz bardziej pomysłowe i wytrwałe w śledzeniu, prześladowaniu i zabijaniu.

Wkrótce w każdym gnieździe i w każdej norze pojawi się potomstwo, trzeba więc nabrać sił, by je wykarmić.

Nadejdzie czas śmierci dla ptaków wątłych, kruchych, głodnych, wycieńczonych, starych... Dla piskląt, które przedwcześnie wykluły się z jaj, dla tych, które są jeszcze za słabe, by samodzielnie żyć, a ich rodzice nie chcą się już o nie troszczyć, wypychają je z gniazd, by jak najszybciej pozbyć się trudu karmienia.

Pisklęta, które chcą najszybciej poznać świat, najwięcej zobaczyć i wiedzieć – giną pierwsze. Pchane zachłanną ciekawością wypadają z gniazd lub wylatują zachwycone odkrywając nagle możliwość długotrwałego utrzymywania się w powietrzu. Lecą przed siebie, nie wiedząc, że aby żyć, trzeba wrócić. Ich dzioby są kruche i delikatne, wole wypełnione jest nie-wielką ilością mlecznej papki wysranej z rodzicielskiego gardła. I nagle znajdują się sam na sam z palącymi promieniami słońca, na suchych i bezlistnych stokach, gdzie nie ma niczego do picia i jedzenia.

Stare gołębie odleciały, a młode rozpaczliwie usiłują odnaleźć rodziców. Biegają za obcymi gołębiami, a nawet za kawkami, wypraszając od nich pożywienia.

Odpędzane, podziobane, zbolące długo popiskują, daremnie wypatrując swych najbliższych. Jeżeli rodzice nie wrócą, ich szanse przeżycia najbliższej nocy będą znikome.

Ciemność, przenikliwy chłód, zimne podmuchy wiatru, zacinający deszcz, osierocenie, oddalenie, strach przed nieznanym.

Boję się wiosny, którą już przeczuwam, która zbliża się z każdym porankiem, z każdym przelotem ptaków nad moją kamienną ścianą.

Jestem sama. Gdybym miała przy sobie silnego zwinnego gołębia, którego ciepłe pióra muskałabym w nocy dziobem... Gdybym znosiła duże białe jaja i nasłuchiwała dobiegających z nich głosów, wówczas z nadzieją oczekiwałabym wiosny, tęskniłabym za jej ciepłem i tym dziwnym poczuciem radości, które przynosi.

Cieszę się jednak każdym przeżywanym dniem, każdym porannym przebudzeniem.

Śmierć już cię nie przeraża. Przeraża cię dalsze samotne życie. W młodości nie myślałaś, jak ciężko być starym, skazanym na siebie ptakiem. Boisz się lecieć nad morze, bo nie wiesz, czy temu podołasz. Brakuje ci sił w skrzydłach i nie wlatujesz tak wysoko jak wtedy, kiedy często przelatywałaś nad morzem.

Młodość nie zna strachu, lekceważy niebezpieczeństwa.

Młodość przewycięża lęk, starość oswaja się z lękiem.

Zleć w dół ku ledwie sączącemu się strumykowi. Na kamiennych płytach będziesz bezpieczniejsza niż na niebie, gdzie pojawił się już ciemny punkt, zataczający szerokie kręgi.

Pustynia powoli pożera miasto. Jej piaszczyste języki wpełzają coraz głębiej między wykruszające się mury, zasypują ulice, place, domy, napierają, zagarniają. Niesione wiatrem drobiny układają się w kopce i wydmy, osiadają na dachach pękających pod ich ciężarem.

Pustynia wkracza do miasta bezustannie, i nocą, i dniem. Kiedy wieją silne wiatry, nawet tu, w szczelinie wysokiej kamiennej ściany słyszysz szelest spadających ziaren piasku. Na placu utworzyła się właśnie rozległa płowa wydma.

Lecisz wzdłuż kamiennej balustrady patrząc na szaro – zielone karłowate gaje przebijające się przez kamienie i piach. Powykrzywiane sękaty pnie, splątane konary, rozłożyste korzenie zagłębione w spękaniach skał pozwalają przetrwać i żyć.

Rozkładałam skrzydła, opadam ku błyszczącej wodnej linii. Zanurzam dziób w przejrzystym nurcie. Z przeciwległego brzegu śledzą mnie oczy wyleniałego starego lisa, który nie ma już sił polować na szybsze od niego zające i codziennie wyczekuje tu na stare, osłabione ptaki. Oblizuje się, mruży oczy. Nie zagraża mi, nie skoczy z tamtego brzegu. Wie, że zdołam przed nim umknąć.

Piskliwe, gardłowe głosy. Od strony pustyni na niebie pojawił się szarosrebrny obłok, chmura lecących ptaków.

Lecę pod najbliższy dach, wciskam się między belki stropu.

Orły, które jesienią, jak zawsze, leciały na południe, teraz wracają na północ. Olbrzymie, ciężkie skrzydła łopocą nad miastem, wypatrując zdobyczy.

Nadeszła kolejna wiosna.

Dotykasz, wyczuwasz, sprawdzasz. Dutka, stosina, odchodzące od niej promienie, promyczki, poszczepiane ze sobą w jedwabistą, uginającą się powierzchnię. Chorągiewki piór są twarde, elastyczne, giętkie i zwarte. Krawędziami dzioba łączysz zaczepiające się haczyki lotek. Napinają się, wygładzają... Lubisz ten świst, zgrzyt dzioba przesuwającego się od nasady pióra ku górze wzdłuż stosiny. Jeżeli pióro jest słabe, to po kilku takich ruchach wypada. Lecz twoje pióra są mocne, czyste, sztywne, posłuszne uderzeniom skrzydeł. Mogą cię długo utrzymywać w powietrzu i nawet silny wiatr nie zdoła ich wyrwać, wyłamać, zgiać. Z gałęzi oliwnego drzewa patrzysz w zalaną porannym słońcem dolinę wypełnioną kamiennymi ruinami. Większość drzew już uschła i tylko gdzieś widać żółknące trawy i płożące się zielone ciernie.

Cisza. Na wyższej gałęzi śpi synogarlica Zia, od lat mieszkająca w kotlinie. Jej pióra łamią się, kruszą, wypadają. Nie błyszczą jak twoje. Są matowe i postrzępione. Puch na jej piersiach i głowie wydaje się starty,

jakby powygryzany przez mole zżerające pierze umarłych. Nawet lekki wiatr wrywa drobne postrzępione piórka i unosi je wysoko nad oliwny gaj pokryty pustynnym pyłem.

Między domami płynął niegdyś strumień. Teraz z trudem odnalazłaś miejsce pod skałą, gdzie wyszałaś nieco wilgotnego piasku. Zia słabsza i drobniejsza naśladowała cię, zanurzając dziób tuż za tobą. Teraz siedzi z półotwartymi oczami, jednocześnie senna i niespokojna.

Zia wie, że powinna stąd odlecieć, odlecieć natychmiast. Jutro w dawnym korycie strumienia nie będzie nawet tej odrobiny wilgotnego piasku, który dziś zdołała wyszać przy tobie.

Jej dziób jest przecież mniejszy i krótszy, nie sięga więc tak głęboko.

Wyszarzałe, poszarpane pióra i lęk w przemęczonych jaskrawością oczach. Ptaki długo mieszkające w wystonecznionych kotlinach, wśród skał lśniących bielą widzą słabiej lub na starość tracą wzrok.

Bo czyż można rozróżniać szczegóły i dostrzegać wszystko dobrze, przez lata żyjąc wśród takiego blasku? Czyż silne światło nie osłabia widzenia? Czyż ostry blask nie męczy oczu?

Zia też widzi gorzej. Wczoraj nie dostrzegła ziarna przyniesionego przez wiatr. Nie potrafi już wyłapywać czarnych mrówek wspinających się na jej nogi.

Zia chce przeżyć letnią suszę. Dlatego powinna odlecieć. Ale czy odleci? Widzisz jej nogi wyschnięte, zbielałe, pokryte guzami, naroślami jak mchem? Końce pazurków są przezroczyste i prześwietla je słońce. Zia drzemie i zapewne śni o swej młodości. Jest ostatnią synogarlicą pozostałą w kotlinie z gromady liczącej wiele ptaków, wyłapanych przez jastrzębie i sokoły lub wymarłych z głodu i pragnienia. Tylko niektóre przeniosły się nad brzeg morza.

Zia wytrwała. Czy przetrwa? Może nie odlatuje, bo wie, że jej pióra nie wytrzymają długiego lotu?

Powinna odlecieć dawno. Lot z kotliny do miasta wydaje mi się łatwy, dla niej jednak może być śmiertelny. Kotliny tylko pozornie leży

blisko, gdyż od miasta dzieli ją szeroki pas pustyni przecięty skalistymi pagórkami.

Daleko za horyzontem kryje się ciepłe słońce morze, którego brzegi lśnią krystaliczną białą soli. Czy Zia latała tam w młodości? Czy kiedykolwiek była w mieście? Czy kiedykolwiek opuszczała białą kotlinę? Synogarlice przywiązują się do strumieni, skał, drzew, lubią przetarte szlaki, gdzie nic nie może ich zaskoczyć.

Zia chwieje się na gałęzi, chociaż podmuchy powietrza są delikatne. Wznoszą się z nagranych w dolinie skał i wystarczy rozłożyć skrzydła, by kołując wznosić się i wznosić.

Zia otwiera szeroko oczy, wita mnie gardłowym krzykiem. Przeciąga się, rozwiera skrzydła, pokazuje lotki, napina sterówki na ogonie. Ciemne lotki skrzydeł, te, które decydują o szybkim wzbijaniu się, straciły swój kolor, są szare, kruche i pościerane. Biała wstęga na końcu jest zszarzała i poszarpana.

Zia daremnie czyści pióra, trzepoce skrzydłami, rozkłada ogon.

Straciła wiele piór ze skrzydeł i ogona. Na tle nieba ubytki te wyglądają jak rozległe wyrwy. Czy z takimi piórami kiedykolwiek wzleci równie wysoko jak ty?

Prostujesz skrzydło, przesuwasz wilgotnym dziobem.

Zia robi to samo, lecz ostry zgrzyt świadczy, że w jej dziobie prawie nie ma śliny. Patrzy pełna obaw i przestraszona. Co robić?

– Lecieć stąd jak najszybciej! Dzisiaj, bo jutro nie znajdziesz na dnie strumienia nawet tej odrobiny wilgotnego piasku! Uciekaj! – uderzam rozłożonymi skrzydłami.

W spojrzeniu Zia widzę zazdrość. Gdyby miała takie skrzydła...

Słońce przeszło już na tamtą stronę nieba, schodzi ku zachodowi. Jeżeli ona nie odleci, odleczę sama.

Przyzwyczyłaś się do tej drobnej bladobrazowej synogarlicy z czerniejącym na karku sierpowatym paskiem.

Wylądowałaś tu przypadkowo, bo niespodziewanie spadł śnieg i zwilgotniałe pióra nie pozwoliły ci lecieć dalej. Wówczas rosły tu granaty,

pomarańcze, figowce, róże, a na ściany wspinały się jasne pędy bluszczu. Odpoczywałaś na gzymsie, obserwując zaskoczone i przestraszone śniegiem miejscowe ptactwo. Tobie śnieg przypominał miasto, które niegdyś opuściłaś przerażona trzęsieniem ziemi. Strach zapędził cię aż tu, daleko na południe. Dopiero teraz przypomniłaś sobie o istnieniu śniegu w tamtym dalekim mieście.

Wtedy usłyszałaś rytmiczne przyciszone pohukiwanie.

– Skąd jesteś, Gołębico? Czy mieszkasz blisko? Czy zostaniesz?

Zrozumiałam, że od dawna była sama i ucieszyła się z mojego nie przewidzianego towarzystwa. Wzleciała ukośnie w górę, zawróciła, przysiadła. Zapraszała, żebym pofrunęła do jej gniazda.

Poleciałam za nią z ciekawości. Gniazdo z rozsypanych łodyg, pędów i traw znajdowało się przy ścianie na podziurawionym dachu starej szopy.

Stożkowaty komin i rozłożysty usychający platan, którego pień opierał się o szopę, chroniły gniazdo przed skwarem.

Promienie zatrzymywały się na spiętrzonych kamieniach i szerokich bladoszarych konarach. Do gniazda docierały plamy i świetlne refleksy. Zia przyglądała mi się z zadowoleniem.

Pomrukiwała, gruchała, podskakiwała. Jej oczy błyszczały i rozumiałam, że chciałaby zatrzymać mnie tu na stałe. Od jak dawna brakowało jej towarzystwa? Dlaczego jest tu sama?

Nie wiedziałam.

Stary liniejący szakal, ślepy na jedno oko, patrzył na nas z dołu i oblizywał się ukazując poźółkłe, rozchwiane zęby.

Szakal dożywał w tej szopie swych dni i mógł tylko marzyć o schwyтaniu szybko wzbijających się ptaków.

Kiedy pojawiał się, Zia dostawała dreszczy, fukała, stroszyła pióra. Zrozumiałam, że szakal pożarł ostatni lęg jej piskląt, kiedy po raz pierwszy opuściły gniazdo. Teraz leżał w ciemnym wnętrzu starej szopy, zadzierał głowę i skamlał.

Nie miał nawet sił, by rozgrzebywać zeschniętą ziemię w poszuki-

waniu mysich gniazd i dużych żuków. Próbował ścigać króliki, ale nigdy nie widziałam, by schwytał któregośkolwiek.

Nie chciałam pozostać na stałe w białej kotlinie.

Przerażała mnie jej suchość, brak wiatru, wysychający strumyczek, pustka.

Poza synogarlicą Zia nie było tu innych ptaków. Wydawało się, że nawet orły i jastrzębie unikały tego miejsca. Wzlatywałam, zataczałam kręgi zapraszając Zia, by poleciała za mną.

Nie chciała. Co najwyżej dolatywała do podnóża skał otaczających kotlinę.

Wracałam do miasta na mój suchy wysoki strych i rozmyślałam o Zia. Pamiętałam, jak niespokojnie uderzyła skrzydłami i spoglądała zazdrośnie, gdy odlatywałam.

– Zostań! – powtarzała nadymając wole i rozkładając ogon.

Pewnego dnia, gdy przyleciałam, z szopy nie dobiegało już skomlenie.

Szakał leżał z wybałuszonymi oczami i zakrwawioną paszczą. Wokół roiło się od skarabeuszy, które wykopywały pod padliną korytarze. Zia bała się sfruwać bliżej, chociaż teraz była już bezpieczna. Pod sklepieniem szopy dostrzegłam ciemne nietoperze zwisające głowami w dół.

Zia zmieniała się od tamtego czasu, zszarzała, jakby się zmniejszyła, jej oczy straciły resztkę blasku, pióra bardziej zmatowiały. Jest już stara, nie znosi jaj, nie ma swego samca i potomstwa. I może właśnie dlatego przylatuję do niej tak często, a niekiedy zostaję na noc. Jestem silniejsza i codziennie staram się wzbić jak najwyżej, lecieć jak najdalej i wrócić.

Może Zia boi się zabłądzić? Może sądzi, że nie umiałaby wrócić? Siedzimy obok siebie, dotykamy naszych piór. Zbliżyła nas samotność, jak tylko samotność zbliżyć może.

Pod skałą, w zacienionej szczelinie piach nieco zwilgotniał. W wyschniętym korycie strumienia biegają szarozielone jaszczurki. Zia chce pić... Otwierasz przed nią dziób i Zia zanurza się w twym wolu. Ssie długo przymykając oczy jak pisklę.

Zia jest drobną, kruchą synogarlicą, którą osacza starość. Nie wzlataje jak kiedyś, nie widzi jak dawniej. Kiedy dziś wzbiła się w powietrze, zauważyłaś w jej skrzydłach niezliczone szczyrby po wypadających piórach. Z zaokrąglonego brązowego ogona też pozostało niewiele. Zia boi się, że niedługo zabraknie jej piór w skrzydłach, by przelecieć pod skałę, gdzie kryje się nieco wilgoci. Odlatujesz, niepewna, czy jutro tu przylecisz. W mieście, w korycie rzeki zawsze znajdzie się kałuża ciepłej wody, wypełniona larwami komarów, kijankami.

Przylatujesz tu tylko dla niej. Męczy cię świadomość, że tam, w pobliskiej kotlinie samotna synogarlica czeka na szum twych skrzydeł. Patrzy w niebo i czeka. Na ciebie.

Odlatywałam. Zia odprowadziła mnie do skał i zawróciła. Jej spuszczone skrzydła uderzały ciężko, mozolnie. Zauważyłam odrastające piórka wyłaniające się z osłonek... Czy wyrosną dostatecznie szybko, by ją uratować?

Zia zawróciła, a ty popędziłaś do swej zacisznej siedziby pośród krokwi na strychu. Zbliżał się wieczór.

Zaspokoisz pragnienie w dawnym korycie rzeki. Pozbierasz wymłócone przez wiatr nasiona traw i głógów, pestki akacji. Wzniesiesz się nad wieże i kopuły starego miasta. Chmury.

Upał dziś nie jest dotkliwy. Na krańcach horyzontu majaczą skały otaczające kotlinę, w której czeka Zia.

Lecisz. Przelatujesz nad płaskowyżem. Zbliżasz się. Gdy nie ma słońca, skały tracą swą błyszczącą, złowieszczą biel.

Tu, przy tej skale, gdzie w szczelinie skrapla się poranna rosa, zwykle oczekiwała cię Zia.

Nie ma jej. Poleć na dach szopy pod uschniętym platanem. Nie ma jej na dachu. Nie ma w szopie, gdzie ziemia wzruszona przez skarabause pochłonęła już szczątki szakala. Nie ma jej w gałęziach platana. Nie ma na okrągłej wieży w środku dawnej osady, z której lubiła patrzeć na wirujące piaski pustyni. Zaniepokojona fruniesz na krańce, między wysychające gaje granatów, drzew oliwnych, pomarańczy. Będziesz wypatrywała

drobnego, jasnobrązowego ptaka z sierpowatym paskiem na szyi.

Nie znajdziesz jej także przy kamiennej studni, na której siadają zmęczone skowronki i pliszki. Z wysoka zajrzysz do jej mrocznej głębi. Powtórnie oblecisz wszystkie miejsca, w których już byłaś, oraz te, w których Zia mogła się znaleźć.

Nie ma jej... Przelecisz nad kotliną raz, drugi i trzeci, aż twoje skrzydła zmęczą się i usiądziesz przy jej pustym gnieździe.

Przeszukasz wszystkie ruiny, gruzy, dziurawe dachy, domy, baraki, szopy, drzewa, rumowiska, rozpadliny, doły.

Nie ma.

Umkniesz tuż przed zmierzchem i dotrzesz do swojej szerokiej belki na spokojnym bezwietrznym strychu.

Przyfruniesz następnego dnia i kolejno odwiedzisz wszystkie miejsca, w których byłaś wczoraj. Będziesz latać z krańca na kraniec kotliny i szukać najmniejszego śladu. Będziesz wzbijać się wysoko i wypatrywać w szczelinach i na pustyni. Będziesz dreptać w drobnych fałdach nawiewanego z pustyni piasku, szukając jasnobrązowych piór.

Nie mogła odfrunąć. Słabe skrzydła nie uniosłyby jej daleko. Gdyby schwytał ją drapieżnik, zostałyby ślady krwi, zakrwawiony puch, wydarte pióra. Gdyby nagle osunęła się w piach, poznałabym to po pracujących w tym miejscu żukach.

Nie ma już Zia. Zniknęła. Odeszła z mojego życia jak tyle ptaków, miast, gniazd, brzegów i miejsc...

Trudno ci się pogodzić, Gołębico. Ciężko.

Codziennie przylatuję do kotliny i szukam.

Zszarzała sylwetka małej synogarlicy powoli blednie, zaciera się, niknie.

Zapominam o niej coraz częściej.

Sina, siwa linia horyzontu nie budzi strachu. Tyle burz przeżyłaś, chroniąc się w ruinach, w konarach, pod gęstym listowiem, w pieczarach, w załamaniach skał.

Ściemniony widnokrąg może zwiastować ulewę, wicherę, huragan.

Zdarza się, że czarne, groźnie wyglądające chmury przepływają nie zrzucając nawet kropli. Co najwyżej powietrze oziębi się i lekko zwilgotnieje od obłoków nabrzmiąłych deszczem.

Czarne chmury powoli zarastają niebo, a ty zachowujesz się, jakby nadal panowała błękit-na, słoneczna pogoda.

Grom, powolne dudnienie, przetaczanie się echa, zwielokrotnione, potężniejące. Burza, jakiej nie było od dawna w suchym, bezwodnym, pustynnym kraju. Przez chwilę zastanawiasz się, czy nie wrócić do wysokiej, kamiennej ściany i nie ukryć się między głazami. Nie zdążę.

Odfrunęłam za daleko. Sine chmury dopadłyby mnie w połowie drogi. Trzeba ukryć się w pobliżu.

Wydmy, rumowiska, skały, kikuty wyschniętych drzew. Oliwny gaj zatrzymał w sobie trochę niebieskawo – żółtej zieleni. Tam pod skręconymi pniami starych drzew przycupnę i przeczekam.

Zlatuję w szarość kotliny, nad którą nadciąga siny, granatowy cień. Wiatr podbija mi skrzydła i nagle ogarnia mnie chęć wzbicia się w ciepłe, drżące powietrze, pragnienie spróbowania swych sił w zmaganiach z porywami, podmuchami, uderzeniami, wirami.

Jak kiedyś, jak tam, jak wtedy, kiedy byłaś jeszcze młodą silną Gołębicą znoszącą jajka, wychowującą pisklęta...

Wiatr uderza z boku i z dołu równocześnie. Nie musisz ruszać skrzydłami, by lecieć. Rozłożyłaś je szeroko i wiatr niesie cię, i niesie. Zawisłaś nad rumowiskiem, tuż przed szaroniebieskim zboczem oliwnego gaju.

Wiatr odpycha cię, unosi. Opierasz się, nie chcesz, walczysz, uderzasz skrzydłami, lecz cel nie staje się bliższy, a odwrotnie, oddala się, wydaje się coraz trudniejszy do osiągnięcia.

Oliwny gaj, w którym chciałaś przeczekać burzę, nagle staje się bardzo odległy.

Wir powietrza wypełniony pustynnym pyłem wciąga cię, unosi i błyskawicznie wypycha ku górze.

Niebo staje się przeraźliwie jasne i od sinej ściany niskich chmur

dobiega cię szmer i szum nadciągającej ulewy.

Powietrzna trąba podnosi cię, dźwiga, wynosi. Błyskawice rozświetlają za tobą horyzont.

Ogarnia cię przerażenie, że strugi wody dogonią cię, zmoczą, zatopią. A wtedy zmoczona i niezdolna do lotu staniesz się łupem szakala, jastrzębia, kota.

Rozkładasz skrzydła. Poddajesz się uderzeniom wichury. Nie stawiasz już oporu, bo i po co? Przecież właśnie ten wiatr może ci pomóc wydostać się z nagłej pułapki i uciec przed burzą.

Chmury są niskie, ciężkie od wody. Dopiero teraz czujesz ich szybkość. Tylko ten wiatr, który podtrzymuje ci skrzydła, może ci pomóc.

Jeżeli ten wiatr ma mi pomóc, muszę stać się wobec niego jeszcze bardziej uległa i bezwolna, muszę poddać się ostatecznie, zaprzestać wszelkiej walki i pogodzić się, że pchnie mnie i poniesie tam, dokąd dąży.

Czy można przewidzieć, dokąd zanieś nas wiatr, przed którym nie chcemy i nie możemy się obronić?

Synogarlice w blaskach błyskawic wyglądają jak czerwone kwiaty. Lecą pod wiatr. Walczą zaciekle z wichurą, starając się dotrzeć do gniazd, opaść między ślepe, nie opierzone, różowobrunatne pisklaki.

Wicher wykręca im skrzydła, wypycha ku górze. Nurkują, kulą się i opadają jak kamienie.

Cienie maleją między gałęziami.

Wiatr wyrzuca mnie wysoko. Frunę na rozpostartych skrzydłach nad pustynią jak we śnie, jakbym nie uciekała przed burzą, lecz po prostu dała się nieść, nieść i nieść... Jestem nad chmurami.

Huragan pcha mnie przed sobą. Jestem w jego gorącym oddechu, wilgotnym tchnieniu.

Gdybym z nim walczyła, nie starczyłoby mi sił. Odepchnąłby mnie, odrzucił, odarł z piór, wcisnął między strumienie deszczu, zatopił.

Lecę z falą gorącego powietrza, raz niżej, raz wyżej, nie oglądając się za siebie, nie patrząc w dół ani w górę.

Nie mam szans wydostania się z tej fali. Mogę tylko przemierzać

pustynię wraz z nią. Pióra mam lekkie, suche, wypełnione gorącym wiatrem.

Zamykam oczy. Śnię lecąc. Śnię, a może nie śnię?

Wydaje mi się, że z wysoka dostrzegają mnie Olbrzymie Przezroczyste Ptaki, jakie już gdzieś widziałam. Ptaki mieszkające daleko w przestrzeni. My, z ziemi, ich nie widzimy, one natomiast obserwują nas stale. Fruną nade mną, przesuwają się obok, przelatują, szybsze niż szalejąca wokół wichura. Błyskawice ukazują przezroczystość ich skrzydeł i jasne pulsujące serca.

Złudzenie? Sen? Czy te ptaki rzeczywiście są tak blisko?

Czy starzejąca się Gołębica może je podejrzeć?

Otwieram oczy. Zamykam. Zamykam na coraz dłużej.

Zapadła noc, a ja coraz bardziej niespokojna i wystraszona nadal lecę przed siebie. Dokąd gna ten wicher? Czy zostawi mnie na pustyni?

Może porzuci z dala od wody i umrę z pragnienia?

Żałuję, że poderwałam się, wyleciałam z gorącego gniazda w szarej, kamiennej ścianie. Ze strychu, z domu na wzgórzu.

Noc. Niebo rozgwieżdżone. Błyskawice coraz odleglejsze. Chłód przenika pióra. Wicher niesie mnie nadal. Uderzam teraz skrzydłami, starając się utrzymać wysokość. Boję się zderzenia ze skałą lub zboczem góry. Księżyc oświetla pode mną białą, piaszczystą nieckę pustyni. Jezioro otoczone palmami.

Od wschodu nadciąga fioletowy poblask, czerwieniejąca linia.

Świt pełen niepewności.

Pocierasz dziobem porowatą powierzchnię ciemnej skały. Głaz spiętrzony nad leżącymi wokół szkieletami, zawiewanymi przez pustyne wichry, tkwi pośrodku białego miasta. Piach wciąga, zasypuje, zagarnia, zakrywa, maskuje.

W zaułkach i podcieniach czają się lwy, hieny, szakale. Stada wielbłądów, koziorożców, baranów wyskubują zwiędłe badyle, obgryzają korę z palm, kładą się w cieniu i przeżuwiają.

Skarabeusze toczą ciemnobrązowe kule gnoju. Skorpiony okrążają

się unosząc śmiercionośne kolce.

To nie sen. Gdzie jestem? Czy powrócę? Dokąd?

Przypomnisz sobie złotawą taflę wody lśniąca w świetle księżyca, nad którą w nocy niósł cię huragan. Zaraz potem usiadłaś tu, na skale, pośród obcego, nie znanego miasta.

Chce mi się pić, a woda powinna być gdzieś niedaleko, więc chyba ją znajdę. Bez wody umarłabyś, Gołębico...

Muszę napełnić wole i czuć w sobie przelewający się płyn. Tylko wtedy mam szansę powrotu. Inaczej stanę się jeszcze jednym wyschniętym szkieletem wciągany w piach przez żuki i robaki.

Błyszczące oczy czającego się lisa przestraszyły cię, wypłoszyły. Zwierzak pełzył piaszczystą bruzdą, wpatrując się w ciebie... Wywalony czerwony jęzor, zapadnięte boki.

Siedzę na wyniosłej krawędzi kamienia, za wysoko, by płoworudy drapieźnik mógł mnie dosięgnąć.

Odleć, nie czekaj, nie wahaj się, nie przedłużaj jego nadziei, że schwyta cię i pożre.

Lecisz. Nad placem, nad miastem, na północ, z niepokojem wyglądając źródła otoczonego drzewami.

Rdzewiejący złom, rozbite srebrzyste ptaki, wraki rozsypujące się, rozkraczone, zamarte, rozrzucone blachy rozgrzane słońcem pustyni. Upał, przestrzeń i śmierć.

Resztką wody w wolu nagrzewa się, ucieka w przełyk, rozchodzi po całym ciele.

Rozchylasz dziób, by chłodził cię pęd powietrza, wiatr, ruch, szybkość.

Coraz bardziej nerwowo tnę skrzydłami powietrze.

Kiedy niósł cię huragan, sądziłaś, że woda jest gdzieś blisko.

Teraz, kiedy sama, własnymi skrzydłami pokonujesz przestrzeń, pojmujesz nagle, jak daleko się znalazłaś. Czy nie za daleko?

Wszelka wilgoć wyparowała już z twojego wola. Sucho. W krtani drapie i mrowi.

Skrzydła nie uderzają już tak szybko i rytmicznie. Jeszcze trochę, do tej wydmy, nad tym jarem, do tamtej skały.

Pragnienie dodaje ci sił, jak dotąd dodawała ci sił samotność.

Jeszcze tam, za pasmem szarych skalistych pagórków. Wznies się ostatkiem sił.

Zieleń. Palmowy, oliwny gaj pośrodku pustyni otacza gładkie wysrebrzone jezioro. W płytkiej wodzie błyszczą skorupy żółwi.

Różowa chmura flamingów brodzi w rzadkich szuwarach. Skrzeczą wielobarwne papugi, dzioborożce, żołąny.

Usiądź na wynurzającym się z wody kamieniu i pij. Najedz się drobnymi ślimakami, nasionami traw. Zaśnij między gałęziami słodko pachnących fig.

Przypominają konie. Rozwiane grzywy, kopyta, długie ogony, rozdęte połykliwe chrapy.

Rzą, parskają, kopią się, tarzają po piaszczystym brzegu.

Z ich czół wyrasta długi, spiczasty, skręcony róg. Pod białą gładką skórą pulsują żyły, płynie w nich rozgrzana krew, napinają się mięśnie. Odrzucają głowy, tupią, stają na tylnych nogach, gryzą się, galopują wypełniając palmowy gaj tętentem kopyt i rzeniem.

Jednorożce... Klacze, ogiery, źrebaki potrząsają grzywami, skubiąc soczystą zieloną trawę.

Ciepły wietrzyk porusza ich grzywami wzniecając wokół łbów przejrzyste światła.

Przypominasz sobie? Wyschnięty gołąb zaplątany w ostre, mocne włosy, które skrępowwały go i zatrzymały... Tak dawno... Tak daleko...

Jednorożce przetrwały, pozostały tu w oazie otoczonej pustynią.

Pozostań, zapomnij o powrocie.

Czy warto wracać do dalekiego, zrujnowanego miasta, do kamiennej ściany, gdzie w południe ciężko wytrzymać od żaru i pyłu?

Czy warto narażać się po to, by wrócić?

Czy nie lepiej zostać i żyć tu, gdzie nigdy nie brakuje wody i jedzenia? Czy nie smakuje ci przetrawiona i wydalona przez jednorożce trawa,

liście, kora i wodorosty? Nerwowo ocierasz dziób o korę.

Czekasz, aż nabierzesz sił.

Wracam.

Mkniesz nisko nad pustynią. Barwa twych piór zlewa się z odcieniami piasku i skał. Dlatego czujesz się bezpieczna.

Krążące wysoko drapieżne ptaki nie dostrzegają cię, jakbyś nie istniała.

Może biorą mnie za złudzenie, niewyraźny cień na piasku, strzęp pajęczyny, suchą gałąź unoszoną przez rozgrzane powietrze. Od oazy do oazy, od skały do skały, od wzgórza do wzgórza.

Nie jesteś pewna, czy lecisz tam, dokąd chcesz, a jednak lecisz dalej, wewnętrznie przekonana, że słusznie obrałaś tę właśnie drogę, że doprowadzi cię do celu.

Zatrzymuję się tylko wtedy, gdy zmusza mnie zmęczenie, pragnienie, głód.

Często jednak okazuje się, że w wypatrzonym z oddali miejscu wody już nie ma i trzeba jej szukać dalej.

Omyliłam się, uległam złudzeniu, zabłądziłam? Wypełnił cię strach przed śmiercią. Wszędzie pod cienkimi warstwami piasku znowu dostrzegasz zaschnięte powłoki zwierząt, rozsypujące się kości.

Zapanuj nad własnym lękiem, bo nie doleczysz.

Oazy wysychają, umierają. Spękane dno dawnego jeziora, wyschnięte ryby, żaby, jaszczurki, żółwie, kijanki, traszki.

Wokół martwego szerniałego pnia jabłoni zastygł wyschnięty wąż o szarej pomarszczonej skórze.

Złękłaś się, uciekasz.

Lecisz również nocami.

Wzbijasz się wtedy wysoko i rytmicznie uderzając skrzydłami usypiasz w świetle księżyca.

Śpisz lecąc i dopiero o brzasku opadasz, szukasz wytchnienia, krótkiego odpoczynku na ziemi.

Zbudziłaś się leżąc wśród płaskich, popękanych płyt i odłamków

skalnych pokrytych wgłębieniami, wyżłobionymi liniami i punktami.

W bezwietrzne dni podobne ślady pozostawiają stopy ptaków na piaskach wydmy lub na mokrym, nadmorskim brzegu.

Podniosłaś się, nastroszyłaś, otrząsnęłaś skrzydła i wyskubałaś z podbrzusza kilka ledwie trzymających się piórek.

Zawirowały, odleciały, zastygły na nisko położonych się cierniach.

Dokładnie przyglądałaś się kamiennym płytom z nadzieją, że znajdziesz wśród nich przyniesione z wiatrem nasiona.

Zadrzałaś. Ogarnęło cię głębokie przeświadczenie powrotu.

Powrót?

Dokąd?

Czy tu już byłam?

Kiedy?

Byłam tu! Byłam na pewno! Czy byłam wówczas sobą? Jak to możliwe?

Skuliłaś się, zmniejszyłaś, wciągnęłaś głowę między szczyty skrzydeł... Nagle rozpostarłaś je jak do odlotu i opuściłaś, aż końcami dotknęły skalnych złomów.

Byłam tu, wiem, że byłam.

Widziałam, zapamiętałam te płaskie wygładzone kamienie pokryte rowkami, bruzdami, rytmami, dziurami, znakami.

Kto je wyciosał, wydrążył, wyżłobił, wydrapał, wyskrobał?

Dlatego wróciłam. Prowadziło mnie światło, gwiazdy, wiatr, chmury, cienie przesuwające się przez pustynię. Tak. Byłam. Czy miałam wtedy skrzydła? Biegam wśród kamieni usiłując przypomnieć sobie cokolwiek.

Tam, pod skałą, płonął krzak. Stałam przed nim. Palił się jasnym czystym ogniem. Jak drzewo oliwne.

Czy jesteś pewna? Przecież gołębnice obawiają się ognia, bo pióra zapalają się błyskawicznie.

Po co miałabyś się tam zbliżyć?

Przestraszyłaś się? Dlaczego?

Boję się wspomnień ni zjawy, ni ze snów, cieni, które zabijają

przechodzących od bramy do bramy.

Wspomnień czy snów?

A może ani wspomnień, ani snów, tylko czegoś odleglejszego, nie znanego?

Krzaki nadal wciskają się w skały.

Suche, zszarzałe, kolczaste, pustynne rośliny.

Małe ptaszki wiją gniazda w ciernistych wnętrzach, bo tam czują się bezpieczne.

Gasisz pragnienie wodą wypływającą spod kamieni. I odlatujesz.

Ze strychu wylatywałam raz dziennie. Nad wąską strugą znajduję spęczniałe nasiona i drobne ślimaki. Gdy skwar jest szczególnie dotkliwy i struga wysycha, wysysam wilgoć z piasku na dnie lub ostrożnie spijam poranną rosę z szarzielonych kaktusów z każdym rokiem gęściej zarastających miasto.

Moje pióra zmieniają się, odbarwiają, jaśniejają. O świcie, w porannej mgle, skrzydła nabierają różowego przejrzystego blasku.

Dziób też zbieleł, spłowieł, wydaje się przezroczysty jak ze szkła. Nogi, niegdyś krwistoczerwone, zakończone różowymi pazurkami, stały się niemal srebrzyste z lekkim odcieniem różowości. Łuski kruszą się, spadają, zamieniają w biały pył.

Pustynne słońce pozbawiło moje oczy pigmentu. Złociste niegdyś tęczęwki stały się białe z czarnymi kropkami źrenic, jak oczy piaskowych jaszczurek. Wychudłam. Od dawna nie znoszę już jaj i nie muszę troszczyć się o bezpieczeństwo potomstwa.

Moje ostatnie jajko było nie większe niż ziarno fasoli.

Nie wylęgł się z niego pisklę.

Rozbiłam je i zjadłam.

Karłowate jajko to starość.

Niekiedy dokarmiam pisklęta młodych gołębic, którym zawsze brakuje pokarmu. Gruchaniem i biciem skrzydeł ostrzegam je przed węzami, lisami i krogulcami.

Co rano krążę wokół miasta patrząc, jak pożera je pustynia. Piach

nawiewany przez wichry wypełnia ulice, osiada na dachach łamiąc je i przyduszając. Wpełza do domów i grobów.

Rano strząsam z siebie kurz nawiewany nocą z pustyni. Krztuszę się, parskam, kicham.

Niewidzialne drobiny kneblują nozdrza i krtań. Kąpię się rzadko, przeważnie tylko wiosną, gdy padają skąpe, ciepłe deszcze, a struga przeobraża się w rzekę. Wkrótce pustynia ostatecznie pogrzebie miasto, zasypie je wydmami wyższymi od wież, od ściany z kamiennych ciosów, pod którą chętnie odpoczywają koziorożce.

Kiedyś latałam nad morze, przelatywałam nad zielonymi kotlinami figowych, pomarańczowych i oliwnych gajów. Teraz kotliny zszarzały wypalone promieniami słońca, a kanały pozbawione są wody.

Wiele razy próbowałam polecieć dawnym szlakiem na wybrzeże, ale nad miastem obezwładniał mnie pulsujący, rozgrzany wiatr. Okrężałam kamienną ścianę, zlatywałam nad strugę. Czyściłam pióra i pazury. Przeczesałam gęsty puch na piersiach, wydrapywałam złuszczone drobiny skóry z okolic dzioba, oczu, uszu.

Kamienne kolumny. Leżę wygodnie na wyżłobionym przez słońce i wiatr kapitelu obserwując okolicę i niebo. Przesuwam się z boku na bok, rozkładając jak najszerzej skrzydła. Prostuję nogi.

Wspomnienia, jakieś okruchy i szczegóły pamięci, mgliste obrazy, zdarzenia. Tęsknię.

Om z brązowymi, niemal czerwonymi skrzydłami spada wirującym skrzętem. Jest tuż, tuż.

Gładzi dziobem moją szyję i piersi, namiętnie zaciska swój dziób na moim dziobie, całuje.

Przymykam oczy w zachwycie. Po chwili znów widzę szaro – białe skały i pustkę. Om nie żyje, nie istnieje...

Unoszę szyję, muskam pióra skrzydeł, wpatruję się w niebo. Tam zawsze krążą sępy.

Udręka samotności... Czy siła samotności?

Gołębie odlatywały i nie wracały.

Oczekiwałam ich powrotu...

Gdzie leciały? W bezkres pustyni? Nad brzeg morza? Z wysoka dostrzegały wyraźny zarys brzegów słonego morza i leciały tam wierząc, że ugaszą pragnienie? Dolatywały, a później nie miały już siły, by wrócić? Może gubiły drogę w rozpalonym pustynnym powietrzu?

Każdą śmierć początkowo przyjmowałaś jak przestrozę, by nie zginąć w podobnych okolicznościach.

Wrogiem był ogień, ogarniający pióra ognistym kręgiem, z którego nie można było się wydostać. Wrogiem była woda, gdyż skrzydła stawały się ciężkie, lepkie i bezwładne. Wrogiem była ufność, która pozwalała siadać na niskich głązach, gdzie pod łodygami lub piaskiem czaiły się węże, lisy, łasice. Wrogiem był pustynny pył wciskający się w oczy, krtań, uszy i nozdrza. Uniemożliwiający oddychanie, wywołujący kaszel, parskanie, krztuszenie, paraliżującą duszność. Wrogiem był sen tak głęboki, że nie słyszałaś sów wybierających z gniazd uśpione ptaki. Wrogiem był chłód, przenikliwie zimno zabijające młode, nie opierzone pisklęta... Wrogiem był głód...

Przeżyłam. Żyję. Jestem. Wiem, że jestem. Istnieję w tym białym wystonczonym pejzażu, jakże odmiennym od zapamiętanego, z pierwszych lat życia tam, w mieście na wzgórzach.

Drzewa, krzewy, trawy szeroko i bujnie wdzierały się w kamienne, betonowe wnętrza, wysiewając nasiona.

Drzemiesz. Ogień pustynnego słońca zapada za ostre krawędzie gór. Pamiętasz tamte chłodne zakamarki, ulice i place, kopuły, zaciszne mury i wieże, obszerne strychy, w których gnieździły się mewy, rybitwy, kawki, gawrony, sroki?

Usnęłam szczęśliwa. Jakbym znów była tam, gdzie wyklułam się z jajka o delikatnej białej skorupce.

Powrót tam jest niemożliwy, nie wyrwiesz się spomiędzy gór, pustyni i słonych morskich wybrzeży. Teraz już rozumiesz, czym jest starość. Dlatego tyle ptaków wbrew sobie pozostaje w jakimś miejscu i nie ucieka.

Nie uciekają, chociaż dygocą ze strachu. Po prostu zabrakło im sił,

by odfrunąć.

Skorpion wspina się po kolumnie. Ostry, uniesiony kolec, wymierzony jest w przesuwany się wzwyż cień rzucony przez następną kolumnę. Skorpion zbliża się, wczepiając odnóża w chropowatą powierzchnię kamienia.

Zbliży się, a ty szybkim ruchem skrzydła strącisz go w dół, zrzucisz, lecz nie dotkniesz wiedząc, że sama fala powietrza zrzuci i przerazi tchórzliwego, chociaż groźnego pajęczaka.

Miasto, z którego uciekłaś, rzadko pojawia się we śnie, a zresztą widziałaś, jak rozsypywało się, ginęło, upadało. Nie opierzone pisklęta, które już przewidziały, wpatrują się w ciebie wodnistymi oczami i kwilą prosząc o pokarm, od którego aż pęka twoje wole. I właśnie wtedy, gdy zbliżasz swój dziób wiedząc, że ich dzioby po kolei zagłębią się w twoim gardle, mury poruszają się, gniazdo ucieka w dół, w przepaść, a ty wzbijasz się ku górze wśród spadających kamieni i szkła. Przez sen uderzasz skrzydłami, jakby znowu zagrażała ci śmierć, jakby wywołały cię zgniecione, zasypane pisklęta, żyjące tylko w sennej, ulotnej pamięci.

Otoczyła cię wieczorna szarówka. Z miasta, z pustyni dochodzą głosy szakali, pohukują sowy, przenikliwie piszczą nietoperze... Nie przerażają cię, bo wiesz, że skulona na krokwi pod dachem jesteś bezpieczna.

Od niedawna śnisz o tej niezmierzonej wysokości, o której wiesz, że istnieje, bo przecież już raz zbliżyłaś się do niej, gdy zabłądziłaś na pustyni i odnalazłaś drogę dopiero następnego dnia.

Wówczas lecąc przez całą noc byłaś tak wysoko, jak nigdy przedtem. A tamten Ogromny Przejrzysty Ptak, przez chwilę lecący przy tobie, czy był złudzeniem, snem wywołanym rozrzedzonym powietrzem i zmęczeniem, czy też jawą, Ptakiem Tajemniczym i Wspaniałym, dla którego nie istnieją przestrzeń i czas?

Musnął cię skrzydłem, a ty odzyskałaś siły i w blasku poranka dostrzegłaś nagle miasto czarnego ogromnego kamienia, otoczone murami zasypanymi piaskiem, pełne szkieletów ludzi, wśród których snuły się pustynne zwierzęta i owady.

Oaza. Oślepił cię blask wody, blask życia. Ugasiłaś pragnienie i znalazłaś w sobie siłę, by powrócić do swego pustynnego miasta.

Z kolumny patrzysz w niebo... Znowu tęsknisz za wysokością, o której wiesz, że istnieje, za wysokością, na którą nigdy się nie wzniosłaś, dokąd nigdy nie doleciałaś.

A czy jakikolwiek ptak wzniósł się aż tam? Może tylko ten Przewroczysty, Przejrzysty, o którym nie wiesz, czy wówczas zaistniał w przestrzeni, czy był tylko w tobie?

Mija noc, mija dzień, znowu noc, znowu dzień. Tęsknoty, sny, strachy, przypomnienia, głosy, cisze, echa... Nie wiem już, co jest snem, co jawą, co życiem, a co śmiertelną maligną...

Gdy co rano wylatujesz ze strychu, czujesz na sobie ten sam wzrok wyleniałego lisa, widzisz jego rozwartą dyszącą paszczę i rozedrgany język. Czeka, aż nie wzlecisz w górę, lecz opadniesz w dół. Czeka od dawna wierząc, że przetrzyma cię, że wygra z czasem i z tobą, że dopadnie cię osłabioną, chorą, konającą, przytrzyma pazurami, kłami rozerwie pierś, ugasi pragnienie twoją krwią. Teraz też widzisz brązowe oczy o niebieskawym blasku, patrzące na ciebie z głodem i nadzieją.

Śmierć już mnie nie przeraża. Potrzebuję tylko więcej snu. Zanurzam się w nim chętnie, bo tam znowu jestem młoda, silna, zdolna do najdalszych lotów. Tam jestem sobą sprzed lat.

Niekiedy śnię, że jestem tamtą matową, ciemną gołębicą z przetraconym skrzydłem, którą podczas trzęsienia ziemi gwałciły wszystkie samce. Wpadają na mnie, gruchają, walą skrzydłami, wciskają się, wczepiają pazurami w mój grzbiet, aż do spełnienia. Po piórach spływa ciepłe nasienie...

Leżę pod nimi pokorna, cicha, coraz bliższa śmierci...

Otwieram oczy. Tkwię na kolumnie pośrodku miasta pochłanianego przez czas i pustynne wichry. Wokół nie ma gołębi, kawek, srok, ptaków...

Tamtą gołębicą pozostała daleko, martwa wśród stalowych lin.

Ja żyję. Jestem.

Lekka i rześka jak w młodości, kiedy wzbijałaś się w niebo z bezgraniczną wiarą, że dziś dolecisz najdalej, że wzniesiesz się tam, gdzie nikt jeszcze przed tobą nie dotarł.

Nie obudzi cię ostry głód, który co rano w tym kamiennym suchym mieście rozdzierał ci trzewia. Żołądek jest cichy, jakby nie istniał, jakbyś napełniła go wilgotnym, świeżym ziarnem, a przecież jadłaś ostatnio niewiele, zaledwie nasiona wysychających traw i kwiatów.

– Co się stało? – zagruchasz, zakręcisz się na swej belce między płaszczyzną dachu a kamienną ścianą.

Może umarłam i dlatego nie odczuwam głodu, suszenia w krtani, swędzenia skóry w miejscach wypadania piór i pulsowania w kikucie palca odgryzionego niegdyś przez kunę.

Zatrzepoczesz skrzydłami, rozejrzysz się, zagruchasz...

Nagle, jak co rano, postanowisz wnieść się wysoko, okrążyć miasto, rozgrzać się w porannym słońcu... Wylecisz przez prostokątne okno ku ledwie widocznej rzeczce sączącej się w piasku. Napełnisz żołądek i wole wodą. Szybkim gwałtownym wzlotem wzniesiesz się nad miasto, jakbyś ścigała się z innym ptakiem.

Wyżej, wyżej, wyżej, aż pokryte pyłem domy i palmy staną się ledwie widocznymi znakami.

Niebo będzie niebieskie, jaśniejące od wschodu. Dostrzeżesz drobne szaro – białe chmury powoli płynące na północny wschód.

Będiesz lekka, swobodna. Nie odczujesz ciężaru starego ciała ani oporu powietrza. Zatoczysz łuk i skierujesz się ku pustyni.

Jasny blask piasku i promienie odbite w kryształach kwarcu wydadzą ci się śladami łatwymi do zapamiętania, by wrócić tą samą drogą. Zostawisz za sobą łańcuch niskich wzgórz, z którego szarańcza zmiotła niedawno ostatnie ślady zieleni, i pomkniesz na zachód, ciesząc się słońcem pieszczotliwie rozgrzewającym twe skrzydła i plecy.

Będziesz leciała oszołomiona i szczęśliwa, że pokonujesz przestrzeń bez wysiłku, że ścigasz się z własnym cieniem, którego wypatrujesz przed sobą wśród wydm i skał.

Na krańcu pustyni, na tle oświetlonego porankiem horyzontu, dostrzeżesz szary obłok przypominający chmury szarańczy, które każdego roku ciągną tędy ku morzu. Mógł to być również dym, lecz co mogłoby płonąć w tej pustyni pozbawionej wszelkiej roślinności?

Zaciekawiona znizysz się ku ziemi, zbliżysz do zwartej chmury pyłu.

Czy to możliwe? To dwunożne istoty, pozbawione skrzydeł, których nieobecność była dla ptaków oczywista i pewna. Przetrwały, przeżyły, powracały do swych siedzib... Skąd? Dokąd? Gdzie?

Dolecisz do pierwszych szeregów tych istot, białych, czarnych, szarych, niebiesko – zielonych. Z przerażeniem zobaczysz, że nadciągają z pustyni ciemne, żelazne masywne cielska toczące się na kołach i gąsienicach. Strumień powietrza rozgrzanego ciałami uderzy cię w nozdrza i poczujesz ostry, przenikliwy zaduch potu i paliwa.

Wzbijesz się wyżej. Zrozumiesz, że ludzie wracają i że ptaki żyjące w ich sąsiedztwie znowu nie będą czuły się wolne, że kończy się dotychczasowe życie, a zaczyna życie pośród nich.

Dojrzą cię, zobaczą jak krążysz, uniosą głowy osłaniając rękami oczy przed palącym słońcem.

Zaniepokojona znowu uderzysz różowymi skrzydłami, by wznieść się wyżej.

Najstarszy podnosi dłoń i wskazuje na ciebie.

Zobaczysz w ich rękach metalowe laski, podobne do tych, które rdzewieją wśród leżących w mieście szkieletów.

Przerazisz się i szybko zawrócisz ku słońcu.

Odłożą karabiny ze złością spluwając na piasek. Najwyższy zastłoni dłonią twarz ogorzałą od słońca i zmęczoną. Przez chwilę będzie patrzył za odlatującym ptakiem. Oślepi go słońce błyszczące na horyzoncie. Zmruży starcze oczy, w których od dawna nie było już łez, zaciśnie wypłowiałe powieki.

Stałaś się purpurowym punktem, okruczem pulsującej czerwieni...

– To tylko ptak – wymamrocze spierzchniętymi wargami. – To tylko kropla krwi.

- Za daleko - mruknie młodszy, strzelając w powietrze.

Huk doda ci sił, wzniesiesz się jeszcze wyżej, ku słońcu, ku przestrzeniom, o których wiesz, że istnieją, a ku którym zawsze zdążałaś.

EPILOG

Wróciłeś z kosmicznej wyprawy, jak powracali twoi poprzednicy. Jak oni chciałeś zbadać tajemnice przestrzeni, światła i czasu. Jak oni wierzyłeś w znaczenie wiedzy i pracy, w Opatrzność, w Przeznaczenie i

przychylność Najwyższej Istoty.

Oddaliłeś się od Ziemi tak bardzo i na tak długo, że po powrocie nie odnajdujesz już na niej ludzi, a sama Ziemia wydaje ci się obcą planetą: zdziczałą, zasłaną kośćmi, rdzą i kruszejącym betonem, pełną węży i polujących na siebie drapieżników.

– Czy przetrwali jacykolwiek rozbitkowie, uchodźcy, pustelnicy? – pytasz i nie słyszysz odpowiedzi.

Rozglądasz się przerażony, nie rozumiejąc, jak to mogło się stać? Jak ludzie mogli zgotować taki los sobie i swojemu światu. I ty, tak bardzo odważny, tak mocno wierzący w ciągły postęp i doskonalenie się ludzkości – złękniesz się własnych myśli o niszczycielskiej sile człowieka...

Kosmiczni podróżnicy odczuwają głód, potrzebę zjedzenia świeżego mięsa i rozejrzą się wokół, co tu upolować, dobić i zjeść, by uspokoić żołądki.

Zastrzelony biały jednorozec pierwszy wykrwawi się w piach pustyni.

Zedrą skórę, poćwiartują, upieką... Jedzą, więc są.

Z wysoka będą ich podglądały wystraszone ptaki.

Kosmiczni podróżnicy pomyślą więc, że warto je schwytać i wrzucić do garnka. Pamiętają przecież, że są smaczne i kruche.

Jastrząb spływający ze skały na rozpostartych skrzydłach dostrzeże błyszczący prostokąt pełznący pod górę i szarą sylwetkę w hełmie skuloną za kierownicą. Transporter przystanie i na zbocze wysypią się ścigający z karabinami... Wieczna obława na tych, którzy myślą inaczej.

Jastrząb odfrunie ostrzegając przed nimi przeciągłym kwileniem. Wówczas ty, Uciekinier, na stromej i niepewnej ścieżce, szukający kryjówki po drugiej stronie przełęczy, spojrzysz w chmury, zatrzymasz się w blasku lub szarości dnia...

Może właśnie wtedy zobaczysz jaskółkę z grudką mokrej gliny w dziobie, gołębia, kawkę, srokę, sójkę lub jakiegokolwiek innego ptaka. Może usłyszysz powitanie, wezwanie, wyznanie, przestrożę, prośbę – te wszystkie skrzydlate słowa, na które wcześniej nie zwracałeś uwagi, i cho-

cięż przez chwilę poczujesz się mniej samotny.

Ucichnie wrzawa wron buszujących w gałęziach, rozgardiasz wróbla i sikorkę, rozmowy i zaloty gołębi.

Przejrzysty Ptak – Tułacz, Wieczny Wędrowiec przybędzie z krańców galaktyki, przemknie pomiędzy nami, między życiem a śmiercią.

Dotknie naszych losów, narodzin i umierania.

Przyleci i odleci.

Koniec